

KAROLINA KASPRZAK-DIETRICH

BANDYTKA

KAROLINA KASPRZAK-DIETRICH

BANDYTKA

© Copyright by Karolina Kasprzak-Dietrich

Korekta: Karolina Szastok

Okładka: Studio Million

Skład: Katarzyna Krzan

ISBN: 978-83-954942-1-5

Wydawca: Karolina Kasprzak-Dietrich



Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2022

Patronat medialny:



Tę książkę dedykuję Annie Bottazzoli. I z tej strony chcę jej też podziękować za szybką, acz skuteczną naukę języka włoskiego.

– Tatusiu, dlaczego mama nie chciała z nami jechać? – Dziewięcioletnia Basia zrobiła smutną minę, jakby cały czas nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jej mama, aż tak dużo czasu spędza w pracy, a dla rodziny nigdy go nie ma.

Ojciec dziewczynki – Jarosław Wędzikowski wielokrotnie jej tłumaczył, że mama pełni ważną funkcję prokuratora. Bezskutecznie. Basia nadal nie mogła zrozumieć, dlaczego jest tak pochłonięta pracą.

Siedziała na miejscu pasażera, otulona pasami bezpieczeństwa, i obserwowała leśne widoki za oknem.

– Tatusiu, tu jest tak pięknie. Zielono i tajemniczo. Ten las chyba nigdy się nie skończy. Jakbyśmy błędzili, ale ja wiem, że z niego wyjedziemy. Mamie by się spodobało.

Jarosław Wędzikowski jechał ze swoją córką do malutkiej miejscowości Anastazewo. Przemierzali starym fordem focusem combi wąskie, leśne ścieżki, co jakiś czas zahaczając kołami o stare, spuchnięte korzenie. Razem z córką podskakiwali na fotelach samochodu, jak na trampolinie.

– Ale nas wytrząsa – rzucił Jarosław.

Zaraz potem Basia uderzyła głową o boczną szybę.

– Zabolało cię, córuś? – zapytał zatroskany.

Była jego oczkiem w głowie, wyczekaną, jedyną córką. Widział w niej cały świat i przelał na nią całą swoją miłość. Na żonę próbował wcześniej, ale Krystyna nie była zainteresowana amatorami męża.

– Przepraszam. Postaram się tak nie pędzić. – Jarek wyhamował.

– Tatuś, jedź. Nie przejmuj się, nic się nie stało. Nie mogę się już doczekać, kiedy będziemy na miejscu. – Basia, jak na dziewięciolatkę, była bardzo dojrzała i potrafiła składać ładne i mądre zdania.

Jarek nieraz miał wrażenie, że rozmawia ze sporo starszą dziewczyną. Jej refleks, logika i szybki tok myślenia był wynikiem jego poświęcenia i czasu, który córka spędzała przed komputerem. Czasem zachowywała się wręcz jak nastolatka.

Krystyna – mama Basi, nigdy nie miała dla niej czasu. Ciągle się gdzieś spieszyła, ciągle była spóźniona. Tylko praca, praca i jeszcze raz praca. Była obowiązkowa i rzetelna, ale Jarek w głębi serca czuł, że celowo ucieka w nadmiar zadań i oddala się od rodziny. Tak, jak gdyby rodzina jej przeszkadzała. Czasem odnosił wrażenie, że Krystyna się ich wstydzi. W dodatku od paru lat, odkąd przejęła stanowisko prokuratora, stała się absolutnie niedostępna, wręcz nieosiągalna. Nie można było się do niej dodzwonić. Jej telefon był ciągle zajęty, a jak w końcu się udało, to odrzucała połączenie.

Jarek przez cały okres trwania małżeństwa starał się zabiegać o jej wdzięki, przypodobać się. Dawał z siebie wszystko, spełniał każdą jej zachciankę, ale Krystyna była zimna jak sople lodu. Odzywała się do niego tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebowała. Próbował z nią o tym rozmawiać, ale reagowała nerwowo. Kończyło się na bezradnym machnięciu ręką. Potem zamykał się w swoim pokoju, i pochłaniał kolejny podręcznik wędkarza.

Pozostawała nieczuła i niewzruszona jego staraniami. Na

wszystko zamykała oczy i ani jej się nie śniło uchylić powieki. Robiła wszystko, może i nieświadomie, żeby Jarek czuł się mało ważny, i to jej się udawało. Zmieszany z błotem i zignorowany czasem się czuł jak prawdziwe gówno.

Z kolei Basia była dla Krystyny koniecznością, którą musiała tolerować, ale której nie potrafiła pokochać, bo nie kochała jej ojca.

Tak bardzo marzył, żeby Krysia go przytuliła, pochwaliła, lecz to marzenie nie chciało się ziścić. Odrzucony nieraz płakał w białą poduchę. Krystyna udawała, że nie słyszy, nie chciała słyszeć. Wczesnie rano wstawiała, ubierała się w fatałaszkę z najnowszej kolekcji i wychodziła do pracy. Nie piła w mieszkaniu kawy, nie jadła śniadania, jakby ściany mieszkania i wszystkie w nim przedmioty ją parzyły. Wracła możliwie jak najpóźniej, zwykle po dwudziestej drugiej, kiedy Basia z Jarkiem, na miniaturowym łóżku w pokoju dziewczynki, otuleni byli już głębokim snem.

To na nim ciążyło większość domowych obowiązków: sprzątanie, gotowanie, a przede wszystkim wychowywanie córki. Tylko raz się pożalił, tylko jeden raz. Co usłyszał z ust żony? *Zrobisz, to wychowuj*. Nie miał wyjścia, nie chciał mieć wyjścia. Kochał córkę. Zajął się wychowywaniem Basi najlepiej jak mógł, a Basia była mu za to wdzięczna.

Z dnia na dzień narastała w nim złość, mimo wszystko cały czas kochał Krysę. Próbował o tym nie myśleć, starał się nie analizować. Jediną nagrodą za jego trud była bezinteresowna i szczerą miłość córki. Przytulała go bladymi rączkami i mocno całowała w polik, a kiedy mówiła małymi, słodkimi ustami: *kocham cię*, Jarek zapominał o zmęczeniu. Nieraz zarwał noc. Zdarzało się, że przez

całą dobę przesypiał zaledwie dwie, trzy godzinki. Pracował w fabryce na trzy zmiany, w dodatku często robił nadgodziny. Nie chciał siedzieć u żony w kieszeni, bo i tak już go wystarczająco poniżała. *Pani prokurator żoną robotnika fizycznego, koń by się uśmieł* – mawiała ona i jej ojciec Hieronim Sadowski. – *Zaprzepaściłam sobie życie.*

Nie chciał, żeby tak myślała. Chciał jej zaimponować, zaskoczyć ją. Dlatego kupił domek w Anastazewie. Kiedy Krysia była małą dziewczynką, wraz z rodzicami przyjeżdżała tam na wakacje. Potrafili przez dwa miesiące wczasować się w ośrodku Mikroma. W dodatku niedaleko ośrodka mieszkała jej babcia Stasia. Krysia miała wiele pięknych wspomnień związanych z tym miejscem. Długo żałowała, że ośrodek zbankrutował, a plaża, na której kiedyś roiło się od turystów, teraz pozostawała dzika.

Dziś było jak zawsze. Przyszedł z nocki o szóstej trzydzieści. W pracy dostał w kość. W mieszkaniu było ciemno i głucho. Włączył żarówkę, która delikatnie zaznaczyła mu drogę do łóżka. Bardzo szybko zasnął twardym, ale krótkim snem. Basia obudziła go o siódmej rano, błagając o śniadanie. Powoli wybudzał się ze snu, nie wiedział, co się dzieje. Czuł się jak w transie, nie potrafił określić jaki był dzień, czy był ranek czy wieczór. Wstał chwiejnie i zrobił córce herbatę. Wiedział, że Basia nie da mu już zasnąć. Był zmęczony, przez moment miał wrażenie, że zemdleje. Gdy sięgał po chleb, zrobiło mu się ciemno przed oczami i szybko złapał się granitowego blatu. W mieszkaniu byli sami – Krysia zdążyła wymknąć się do pracy, jak zawsze po angielsku. Zdecydowanie uciekała przed odpowiedzialnością.

Basia wypita herbatę i zjadła kromkę chleba z czekoladą. Była dopiero dziewięcioletnią dziewczynką, nie rozumiała, że ojciec całą noc pracował i jest zmęczony. Zaczęła aranżować najróżniejsze zabawy: gra w makao, potem szachy, które okazały się za nudne. No to może warcaby, bierki? Na końcu wyciągnęła ogromną planszówkę Monopol. Załamywał ręce, ale bawił się z nią. Kiedy jego powieki zrobiły się ciężkie i zaczął przysypiać, Basia skoczyła mu na kolana.

– Tatuś, jedźmy gdzieś.

– A gdzie chcesz jechać? – Przewrócił oczami.

– Do Anastazewa, chcę do lasu i nad jezioro – krzyknęła w euforii.

– No to dalej, szykuj się mała, spadamy stąd – oznajmił z radością, ale ręce mu opadły.

– Hurra, ale super. Kocham cię, tatusiu.

Te słowa go wybudziły. Nie oglądając się za siebie wskoczyli do auta.

Nie żałował, że kupił domek na wsi. Wziął kredyt, chociaż wysoka rata trochę go przerażała. Dodatkowo czekała go prawdziwa batalia z remontami. Jednak kochał wieś, uwielbiał łowić ryby, a do tego pragnął uszczęśliwić żonę i córkę, choć na ten moment z zakupu domku na wsi cieszyli się tylko córka i on. Wieś była typowo letniskowa – dzieliła się na dwie części, które przecinała droga asfaltowa, prowadząca ze Słupcy do Orchowa. Jedna część, bardziej zaludniona, leżała nad Jeziorem Budzisławskim, a druga część nad Jeziorem Powidzkim. Wybrał działkę nad Jeziorem Powidzkim, ze względu na wyludnienie. Chciał kupić kawałek ziemi,

ale w rezultacie kupił domek. Lepszego miejsca nie mógł sobie wymarzyć.

– Widzisz, mama dużo pracuje, nie ma dla nas czasu. – stwierdził Jarek, jakby dopiero teraz znalazł odpowiedź na wcześniejsze pytania córki. – Musi gonić groźnych bandytów, potem zamyka ich do więzienia i znowu goni następnych groźnych bandytów. Rozumiesz, córuś?

– Tatuś, a jak jej się nie uda złapać takiego bandyty, to co wtedy?

– Mama jest mądrą kobietą, zazwyczaj wszystko się jej udaje. Ty jej się udałaś. Zobacz, jaka zdolna dziewczyna z ciebie wyrosła.

– Tęsknię za mamą. Ona nigdy nie ma dla nas czasu, to strasznie przykre...

– Ja też za nią tęsknię, ale taki nasz los. Musimy się z tym pogodzić.

Jarosławowi zrobił się niewesoło, ponieważ był więcej jak pewien, że Krystyna nie wie, co to tęsknota za rodziną. Z pewnością za nimi nie tęskniła, raczej cieszyła się wszechobecnym luzem. Czasem był na nią cholernie zły, miał ochotę ją ukarać, jakkolwiek, ale ukarać. Lecz czasem było mu jej żal, wybaczał żonie i wmawiał sobie, że to normalne, że taką ma pracę. Czasem też się obwinał – czuł się winny, że Krysia musi dzielić z nim swoje życie. Stać ją było na kogoś lepszego. Dlatego nie żądał od niej zbyt wiele, zadowolął się każdym słownym ochłapem, który rzucała w jego stronę. Cieszyło go nawet pytanie: *gdzie jest cukier?*, albo polecenie: *kup kawę*.

Gdyby nie tamten mocno zakrapiany festyn, gdyby nie to, że Krysia wypła o dwa kieliszki za dużo i na moment straciła głowę. Nie

poszłaby z nim do łóżka i zapewne nie zaszłaby w ciążę. Inaczej ułożyłaby sobie życie. A on... Co by było z nim? Może nie miałby tak prestiżowej żony, ale za to wiedziałby, co znaczy kochać ze wzajemnością. A Krysia pewnie miałaby męża na swoim poziomie i ze swojego świata. Może adwokata, sędziego albo policjanta. No właśnie, policjanta... Ryszard Kaszuba, to wszystko jego wina.

Bezradnie pokiwał głową, spoglądając na gęste korony drzew, które łączyły się po przeciwnych stronach leśnej ścieżki, przez co tworzyły nad jego starym samochodem specyficzną pergolę.

– Tato, a w tym Anastazewie jest internet? – Basia przerwała jego kłębiące się myśli. Najprawdopodobniej zrozumiała, co dzieje się w jego sercu i tym pytaniem chciała przerwać jego wewnętrzne rozterki.

– Nie. I chyba długo nie będzie. – Uśmiechnął się i zapytał: – Dasz radę?

– Nie bardzo.

Zaczęli się śmiać.

– Damy radę. – powiedzieli niemal równocześnie.

– Wiesz tato, ostatnio na Gadu-Gadu poznałam nową koleżankę. Ma na imię Meer, ale to nie jest jej prawdziwe imię. Jak naprawdę ma na imię to nie wiem, ale wiem, że jest miła. Wiesz, wychowuje się w rodzinie zastępczej. Jej mama umarła, kiedy Meer miała roczek. A tata jej nie chciał.

– Basiu, czy ty nie jesteś za mała na taką nowoczesność? Internet jest niebezpieczny. Gadu-Gadu jeszcze bardziej. Nigdy nie wiesz z kim rozmawiasz. Zdajesz sobie z tego sprawę? Ktoś, kto zmienia swoje imię albo nadaje sobie inne, nie jest do końca

normalny. Musi mieć jakiś problem z akceptacją siebie. Z poczuciem tożsamości.

– Wiem, to znaczy też tak sądzę, ale ja tylko dwa razy w tygodniu wchodzę na GG, zresztą, to ja pierwsza ją zaczepiłam. Myślę, że zmienia swoje imię dla większej anonimowości, napisała mi, że jak poznamy się bliżej, to się przedstawi.

– A ile ma lat ta twoja koleżanka?

– Dwanaście. Jest ode mnie trzy lata starsza. I to jest prawda. Chyba...

– Chyba? Basiu, uważaj, widzisz, mama ciężko pracuje, ja ciężko pracuję, nie zawsze możemy cię sprawdzać. Czasem musisz sama się pilnować.

Basia udała, że tego nie usłyszała, nie chciała kolejnych i bezsensownych, jak dla niej, tłumaczeń.

– Tato, a Meer będzie mogła kiedyś do nas przyjechać?

– Nie wiem, czy mama się zgodzi.

– Tutaj, do Anastazewa, do naszego domku. Sam mówiłeś, że kupiłeś go dla mnie. Pamiętasz? Tak mówiłeś.

Basia patrzyła na ojca czarnymi oczami, które w tym momencie wydawały się wielkie, groźne. Mimo że Jarek patrzył na przednią szybę, kątem oka widział jej zadziorne spojrzenie. Urodę miała po nim, malutki nosek, szerokie usta i bardzo pulchne policzki. Wyglądała jak mały chomiczek albo raczej jak myszka. Tak zwykle na nią mówił: *moja myszka*. Pomyślał o internecie jak o złu koniecznym, które mogło zagrażać jego małej myszce. Z drugiej strony internet to kopalnia wiedzy. W dodatku Gadu-Gadu zdobyło absolutne mistrzostwo w kwestii marketingu. Pozwalało poznawać

ludzi z drugiej części Polski. Komunikator GG był jedyną aplikacją na świecie, którą wykorzystano w kosmosie. Użytkownicy mieli możliwość zadawanie pytań astronautom z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Teza była nieco na wyrost, ponieważ pytania były moderowane i nie było bezpośredniego połączenia. Mimo tych wszystkich zalet bał się o Basię, bo wiedział, ile niebezpieczeństwa niesie za sobą internet. Jego zdaniem była na tą całą nowoczesność za mała.

– Jasne, że będziesz mogła ją zaprosić. Tylko najpierw będę musiał ją poznać. Zgadzasz się?

– Dobrze, tatko. Widzisz, ja nie mam zbyt wielu koleżanek, czasem czuję się bardzo samotna. Bardzo samotna – podkreśliła Basia.

– Meer. – Jarek powtórzył. – Ma imię jak wróżka z telewizji.

– Może jest wróżką.

Jarek przypomniał sobie swoje dzieciństwo. Za jego czasów o samotności nie było mowy. Brodzili z kolegami w podeszczowych kałużach, a potem skakali z dziewczynami przez skakankę albo gumę. Zawsze wygrywał. Dziewczyny były wściekłe, ale i tak kolejnym razem zapraszały go do zabawy.

– To były czasy – powiedział bardziej do siebie.

– Co tatusiu?

– Tak sobie wspominam. Kiedyś było jakoś fajniej, wiesz? Chociaż niebezpieczeństwo zawsze gdzieś tam czyhało.

– Tato, a co to jest niebezpieczeństwo? Tak dokładnie.

– To jest, jak ktoś komuś chce zrobić krzywdę.

– Ale ja to wiem, chcę usłyszeć, co dokładnie oznacza to słowo.

– Poczekaj, nie wiem, co to dokładnie oznacza. – Jarek na moment się zamyślił. Gdyby w tym głębokim lesie był internet, z chęcią odpaliłby laptopa, żeby przeczytać definicję niebezpieczeństwa. – To jest jakieś... działanie destrukcyjne, wywołane na przykład siłą natury, albo człowiek może też wywołać takie działanie destrukcyjne, może kogoś skrzywdzić na przykład.

– Czyli człowiek może być niebezpieczny?

– Dokładnie, dlatego twoja mama tak dużo pracuje. Niektórzy ludzie są niebezpieczni i trzeba ich zamknąć w więzieniu.

– Czyli... mama bardziej woli spędzać czas z ludźmi niebezpiecznymi niż z nami. Tatusiu, mam rację?

Jarek nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć córce. Zaskoczyła go.

– Mama po prostu ich goni, a nam dzięki temu nic nie grozi.

Zaległa cisza. Do samego domku, położonego w głębokim lesie, jechali w milczeniu. Obydwoje pomyśleli o tym samym...

Radio już dawno straciło zasięg, a Jarek przerywając myśli swoje i córki włączył jedyną płytę, jaką miał w aucie – Judas Priest.

– Fajne to! – Basia podkręciła głośność.

– To były czasy. Koncerty, tanie wino. – wyszeptał, a głośna, ciężka muzyka go zagłuszyła.

Pierwsze co zrobiła, wchodząc do domu, to zdjęła obcisły żakiet od Gucciego, którego sam dół zdobila błękitna, delikatna baskinka. Jedwabna koszulka obszyta koronką wylądowała na krześle zaraz za żakiem. Jeszcze stanik i będzie wolna. Poczwała upragniony luz. Jej biust falował, a ona, nic sobie z tego nie robiąc, ponieważ

wiedziała, że jest sama w domu, paradowała od salonu do łazienki i z powrotem. Cieszyła się swobodą.

– I dobrze, nikt mi dupy nie będzie tru! – powiedziała do czterech ścian.

Na zegarze wybiła godzina szesnasta. Zdejmując wąską spódnicę, próbowała jednocześnie zdjąć rajstopy samonośne. W efekcie zahaczyła je paznokciem i poleciało oczko od samej pięty aż po kolano. Machnęła obojętnie ręką i wyjęła z torebki telefon. Nokia 5800 XpressMusic stanowiła jej nową zabaweczkę. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak do tej pory radziła sobie z Nokią 6310, chociaż dla wielu ludzi Nokia 6310, to cały czas był telefon, o którym mogli tylko pomarzyć. Starą Nokię oddała córce. Basia wydawała się być zadowolona, najbardziej cieszyła ją niebieska obudowa. Była, jak to mówiła, *fajowska*. Córka nie była zbyt wymagająca, nie marzył jej się najnowszy model telefonu ze sklepu firmowego, tak jak pociechom znajomych. Nie była zmanierowana drogimi zabawkami, chciała po prostu mieć komórkę i być w stałym kontakcie z ojcem i znajomymi. Uwielbiała wysyłać nowej koleżance z Gadu-Gadu, przeróżne grafiki.

Natomiast Krystyna musiała mieć najnowszy model telefonu, musiała mieć najnowszy model auta, najnowszą kolekcję ubrań – wszystko musiała mieć najnowsze. Była pionierką, bo tak wychowali ją rodzice. Jedyńaczka, której nigdy niczego nie brakowało. Od urodzenia była gadżeciarą, nie potrafiła się tego wyprzeć i nie udawała przed samą sobą, że jest inaczej. Lubiła przedmioty z wyższej półki, toteż zawsze, kiedy jej mąż przyszedł do domu z jakimś bblem, karciała go i wyśmiewała za absolutny brak gustu.

Taka była, i nic za to nie mogła. Może dlatego los się na niej zemścił. Może dlatego musiała wyjść za mąż za Jarka Wędzikowskiego. Zwykłego chłoptysia, bez majątku i bez wykształcenia, który w dodatku nie grzeszył urodą i niczym jej nie imponował. Nienawidziła nazwiska Wędzikowski i nie przejęła go po mężu. Tak jak mawiał jej ojciec: *Sadowska, musi być Sadowską*. Tylko dlaczego właśnie ojciec zmusił ją do tego ślubu? Nie raz zadawała sobie to pytanie.

Mogli jakoś inaczej to załatwić. Mogła urodzić Basię i oddać ją do okienka życia albo rodziny zastępczej. Mogła zostać samotną matką, przecież w tych czasach nie jest ciężko o opiekunkę. Przyjęła rozkaz ojca i od dziewięciu lat nie mogła się odnaleźć w małżeństwie, nie mogła przyjąć do świadomości tego, że jej mąż naprawdę jest jej mężem. Oszukiwała się. Żyła obok rodziny i ani myślała się do nich zbliżyć. Mentalnie była panną. Nie miała na to wpływu. Tak się czuła.

Ciesząc się nowym telefonem wysłała do koleżanki po fachu, Joli Majerowskiej, zdjęcie zakupionego w kwiaciarni storczyka w imponującej doniczce. Był wyjątkowo piękny: biały i dodatkowo nakrapiany brązowymi kropkami. Lecz to nie o storczyka chodziło. Krystyna dodatkowo chciała pochwalić się koleżance nową, kryształową doniczką wysadzaną cyrkoniami Svarowskiego.

Piękna, ty to masz gust!

Bardzo szybko dostała odpowiedź zwrotną.

Też tak sądzę.

Co robisz?

Siedzę w ogrodzie, bierz tyłek w troki i wpadaj do mnie.

Krystynę rozochociła ta propozycja, bo od dawna nie widziała się

z Jolą, a ona jako jedyna ją rozumiała. Nie karciała jej i nie dogryzała nieznośnymi uwagami, jaką to jest złą matką i jeszcze gorszą żoną. A Krystynie głównie chodziło o to, żeby ktoś ją zrozumiał.

Na dworze od samego rana był skwar. Krystyna nie chciała dłużej siedzieć w ciasnym, rozgrzanym mieszkaniu. Włożyła najmodniejsze w tym sezonie białe, lniane szwedy do samej ziemi. Szeroki pasek Versace, z wielką okrągłą klamrą, podkreślał jej wąskie biodra. Dodatkowo zwracał uwagę na płaski, wysportowany brzuch. Szpilki Kazar z ostrym czubkiem dodały jej kilka centymetrów. Jedynym mankamentem dzwoniastych spodni było to, że szerokie nogawki zakrywały piękną i wypielęgnowaną skórę na zgrabnych i długich nogach. Wzruszyła bezradnie ramionami. *Moda rządzi się swoimi prawami, nic na to nie poradzę.* Założyła sportowy stanik ze złotym napisem Gucci i tak ubrana wyszła z mieszkania.

Czuła się jak w czasach liceum. Swoboda i jeszcze raz swoboda. Cieszyła się, że jedzie do koleżanki. Będąc sama w mieszkaniu, znowu by to robiła, znowu rozpamiętywałyby, jak by to było, gdyby... Gdyby na przykład udało jej się stworzyć związek z Ryszardem Kaszubą i to z nim doczekałaby się potomstwa. Może umiałyby pokochać swoje dziecko. Może byłaby inną, lepszą, bardziej odpowiedzialną matką.

W pracy była rzetelna i niezawodna, cieszyła się ogólnym poparciem i szacunkiem. Prywatnie, kiedy tylko przekraczała próg swojego mieszkania, nie potrafiła zebrać się ogarnąć. Nie lubiła swojej rodziny i nie chciała jej polubić. Nie potrafiła, choć czasem próbowała. Nie wychodziło. Basia w każdym calu przypominała jej Jarka, identyczne poliki, nos i usta. Nie potrafiła otoczyć jej miłością.

Nie potrafiła jej przytulić, pocieszyć, udobruchać. Za bardzo widziała w niej swojego męża. Uważała, że Basia musi sobie sama radzić, a w razie czego ma ojca.

Zatrzasnęła drzwi i grzecznie przywitała się z sąsiadką z naprzeciwka.

– Pani Krystyno, co za figura, tylko podziwiać – wykrzyknęła z podziwem sąsiadka.

– Staram się dbać o formę i o siebie. Rano gimnastyka, zdrowa dieta.

– Z pewnością, pani jest idealna!

Sąsiadka się uśmiechnęła, a Krystyna na szczęście nie usłyszała jej myśli. Prawda była okrutna – mimo że Krystyna Sadowska cieszyła się sporym uznaniem jako prokurator, to do miana „matki” wiele jej brakowało. Sąsiedzi z bloku ciągle o niej plotkowali, ciągle poddawali krytyce jej podejście do rodziny. To dlatego, że nie raz patrzyli na włóczącą się pod blokiem samiusieńką Basię, która zazwyczaj miała umorusaną buzię i brudne rajstopki. Poplątane włosy prosiły się o fryzjera. Na szczęście czas leci, a dzieci rosną, toteż Basia z czasem nauczyła się sama dbać o siebie. Jednak ciągle włóczyła się bez opieki. Nawet do kościoła na spotkania przed Pierwszą Komunią chodziła sama, tylko od czasu do czasu z matkami swoich kolegów ze szkoły, ewentualnie z ojcem.

Nie świadoma tego, co myślą o niej inni, bo sąsiedzi byli dla niej mili, wskoczyła do swojego żółtego Fiata 500 i z piskiem opon odjechała spod bloku. Włączyła Britney Spears i otworzyła szyberdach, który w tym samochodzie zamontowany był na specjalne życzenie Krystyny. Sporo ją to kosztowało, musiała

dopłacić dziesięć tysięcy, ale na takie specjalne ulepszenia nie było jej szkoda pieniędzy. Pędziła do Budziszawia na spotkanie z jedyną przyjaciółką od serca, której mogła zdradzić najgłębiej skrywane tajemnice. Droga mijała jej szybko i spokojnie. Za Powidzem na szosie zrobiło się pusto. Krystyna, widząc tabliczkę z napisem Anastazewo, bezwiednie przyłożyła rękę do piersi. Przypomniała sobie babcię Stasię, która tutaj mieszkała, dzieciństwo i czas spędzony w tym miejscu. Co roku przyjeżdżała tutaj na wakacje. Na bite dwa miesiące. Teraz widząc opuszczoną stację kolejową, bezradnie pokręciła głową. *Że też nikt z tym nic nie robi.*

Gęste drzewa zakrywały częściowo powybijane szyby, a tynk z każdej strony się sypał, prosząc o renowację. Podziurawiony dach wskazywał na to, że nie ma zainteresowanych inwestorów. Opuszczona stacja PKP Anastazewo czekała na nowego właściciela od jakichś dwudziestu lat. O ile Krystyna dobrze pamiętała, to w roku osiemdziesiątym szóstym zawieszono dojazd wąskotorówki do tej miejscowości, najprawdopodobniej ze względu na zły stan torowiska.

Jarek się uparł, żeby zakupić tutaj działkę, może myśli, że tym samym kupi moją miłość. Cóż, nadaremne jego trudy, po moim trupie – myślała, wyjeżdżając z Anastazewa i kierując się w lewo, w kierunku Budziszawia. Za jakiś kwadrans w końcu będzie mogła się wygadać.

– Co tam, lalka? – Jola od lat właśnie tak zwracała się do Krystyny. Krystyna w tym momencie „rosła”, a Jola doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Zdarzało jej się odpowiedzieć: *jaka tam lalka, stara baba ze mnie, ale tak naprawdę, wcale tak nie myślała.*

– Jaka tam lalka, zmęczona życiem, stara baba jestem.

– Ty wciąż to samo, figura jak Barbie, i to po ciąży, płaski brzuch, wąskie biodra. Wyglądasz jak małolata na dyskotecce, w dodatku nieskazitelna cera, cycuś glancuś. No właśnie, jędrne cycki... – Jola niegrzecznie się uśmiechnęła. – Niejeden chciałby je wymasować.

– Nie ten, co ja bym sobie życzyła. Ideał.

– Myślisz o Ryszardzie? Pamiętaj, kochanie, ideały są jak gwiazdy, można je podziwiać, nie można ich zdobyć.

– Pamiętam, ale gdybym wtedy tyle nie wypła, gdybym...

– Nie miałybyś tak pięknej córki.

– Nie potrafię być matką!

– Ekhm... A jak w pracy? – Jola zmieniła temat, nie miała ochoty kolejny raz pocieszać Krystyny.

– W pracy dobrze, nic specjalnego się nie dzieje.

Krystyna poczuła się rozczarowana tym, że Jola nie dała jej się wyżyć.

– To się ciesz, u nas co chwilę coś. A to włamanie, a to pobicie, a to groźby karalne.

– Gniezno jest nad wyraz spokojne. – Krystyna usiadła na leżaku i wyciągnęła nogi do przodu.

– Znaleźliście tę zaginioną dziewczynę. Jak jej tam było, Sandrę Malinowską? To chyba twoja sąsiadka? – podpytywała Jola.

– Nie, ale cały czas szukamy. Ile można? Podejrzewam, że wkrótce umorzemy śledztwo. To już prawie rok. Może gdzieś wyjechała, może uciekła. Kto to wie?

– A co na to rodzina zaginionej?

– Przestali się kontaktować z policją. Poddali się.

– Czytałam o tym. Moim zdaniem ktoś stoi za jej zaginięciem. Gdybym ja prowadziła to śledztwo, padłabym na ryj, ale bym się nie poddała.

– Daj spokój, dosyć mam problemów.

– Może napijesz się kawy? Przepraszam nalałam ci wody, a nie zaproponowałam kawy.

– Wystarczy woda. Zimna woda, najlepiej wylej mi kubek zimnej wody na głowę.

– Widzę, że znowu wchodzimy na niebezpieczne tory. Co u Jarka, co u Basi?

Krystynie zrzęda mina. Dzisiaj Jola po raz pierwszy ją zawiodła. Ilekroć zaczynała od lat wałkowany temat, tylekroć Jola próbowała go zmienić. Najwyraźniej nie chciała rozmawiać o emocjonalnych rozterkach Krystyny. Za to chciała dać jej do zrozumienia, że ma rodzinę i na tym powinna się skupić.

– Basia okay, zdała do czwartej klasy. Ma nową koleżankę. Poznały się na Gadu-Gadu. Jarek poświęca jej sporo czasu.

– Bo ty go nie masz?

– Bo ja go nie mam! – Krystyna przytaknęła.

– Nie boisz się o Basię? Spędza na necie sporo czasu. Ta koleżanka to taka pewna? Poznałaś ją?

– Nie, nie poznałam. Basia twierdzi, że jest w porządku. Jarek też tak twierdzi. Po co mam się zastanawiać? Szkoda czasu.

– Krysiu, odradź jej tę znajomość, w ogóle internet, Sama widzisz, co się dzieje. Co ty wiesz o tej dziewczynie? Wiesz gdzie mieszka? Ile ma lat? Czym się interesuje?

Krystyna jednym duszkiem wypła wodę, którą poczęstowała ją

koleżanka. Ostatnie kropelki wytrząsnęła na zielony trawnik. Sama nie rozumiała, dlaczego to zrobiła, pierwszy raz w życiu wykonała taki ruch.

– Jola, ja nie umiem tego ogarnąć, ja nie chciałam dziecka, nie chciałam rodziny. Gdyby nie ten wiejski festyn w Budziszawiu i spora ilość wypitego alkoholu, wierz mi, w życiu nie poszłabym z Jarkiem do łóżka. Czuję się przez niego wykorzystana. W dodatku zrobił mi dziecko, a ja nie chciałam tego dziecka, Jola, nie chciałam. – Krystynie zanosilo się na płacz. – W dupie mam Basi koleżanki i to, co będzie. Kurwa, no co ma być?

– Przez tyle lat nie zrodziło się w tobie macierzyńskie uczucie? Krysia, przez tyle lat nic nie czujesz? Jola postanowiła być w stosunku do Krysi bardziej empatyczna.

– Nie i nie pytaj dlaczego, nie wiem. Po prostu nie wiem. Nie potrafię kochać Basi. Jarka wręcz nienawidzę.

– Rozmawialiście o tym?

– Nie mam odwagi. Udaję, że ich kocham, staram się.

Jola przetarła swoje policzki, tak jakby tym samym chciała zgarnąć z nich milion piegów i łzę.

– Nie ma łatwo – powiedziała.

– Kto?

– Twój mąż.

– Nie rozumiem.

– Pęknie, prędzej czy później pęknie. – Jola patrzyła na Krysi tajemniczo i jeszcze raz potarła swoje policzki.

– Nie rozumiem – powtórzyła Krysia.

– Mieć taka piękną żonę i żyć z nią na zasadzie „patrz na mnie

i mnie nie dotykaj”. To jest trudne. Pęknie.

Przyglądała się Krystynie jeszcze przez moment. Jej spojrzenie było pełne troski, współczujące, ale i podejrzliwe. Krystyna tego nie zauważyła, kolejny raz się rozmarzyła. Patrzyła na najdalszy punkt w ogrodzie Joli, gdy przy przekwitającej forsycji pojawił się Ryszard Kaszuba. W dodatku zbliżał się do niej.

Pięć lat później

Zamaszystym krokiem weszła do kaplicy. Czarny szal, który zarzuciła na szyję, chronił jej brodę przed dokuczliwie niską temperaturą. Jednak styczniowy mróz zdążył już poprzecinać jej policzki, nos i czoło. Trzy kroki za nią szedł jej ojciec i to on, jako ostatni, zamknął ciężkie, żeliwne drzwi od cmentarnej, dziewiętnastowiecznej kapliczki. Wszyscy zaproszeni na uroczystość pogrzebową goście byli już obecni. Ławki wypełniły się po same brzegi, a tłum gapiów stojących pod tylną ścianą, utworzył solidny parkanik.

Dominika nie spoglądając do tyłu, przedzierała się przez gęsty tłum ludzi. Podejrzewała, że to dalsi znajomi jej mamy z pracy bądź uzdrowieni pacjenci ze szpitala.

Nie zwracając uwagi na ojca, usiadła w ostatniej ławce. Nie chciała być zauważona przez innych. Uklękła na twardym, dębowym klęczniku. Bolały ją kolana – szczupła budowa ciała i kościste pozbawione fałdek skórnych kostki, nie lubiły tej pozycji. Twarz zakryła rękoma, na których zaraz też wsparła się ciężka głowa. Była rada, że nic nie widzi. W ciepłych łzach poczuła ukojenie. Organista czynił pierwszą próbę organów, dźwięki były nieregularne, wręcz chaotyczne, jakby organista po raz pierwszy uczestniczył we mszy świętej. Po chwili odstłoniła oczy, złożyła ręce i splótła palcami z taką siłą, że poczuła przeszywający ból nie tylko w kolanach. Kostki niemiło chrupnęły. Niby nic nie czuła, a wszystko ją bolało. Na złożonych rękach oparła czoło. Po kilku sekundach poczuła znajomy zapach lawendy. Ojciec, jak nigdy przedtem, chciał tego dnia być

blisko niej. Czarnym szalem zasłoniła sobie twarz, w szczególności czerwone, zapłakane oczy. Po chwili grafitowy kołnierz ze sztucznego lisa, który okalał jej szyję, zrobił się mokry, a ona poczuła nieprawdopodobny dyskomfort. Czuła jakby dookoła szyi owinał się obślizgły wąż i chciał ją za moment udusić. Te wrażenie jednak nie powstrzymało słonego wodospadu, który wylewał się z jej oczu. Cały czas płakała, jej łzy nie znały dna.

– Karteczka! – rzuciła przez rzadko dzierganą czarną wełnę.

– Co? – Ojciec nachyliwszy się do jej ucha, starał się szeptać.

Jej nos był zapchany, woń lawendy nadal ją drażniła, a teraz wydawała się jeszcze bardziej intensywna. Miała ochotę wstać, uderzyć ojca w twarz i wyjść. Nie zrobiła tego! Zdrowy rozsądek wygrał z kotłującymi się w niej emocjami.

– Karteczka. Musimy dać księdzu karteczkę. Msza. Zamówiłam za mamę mszę – wydukała, wiedząc, że ojciec tego nie zrobił. Takie katolickie rytuały zawsze go bawiły i nigdy nie brał ich na poważnie. Całe życie było dla niego jedną, wielką zabawą. Nawet konsekwencje tej zabawy, były dla niego powodem do radości. Cały czas mieszkał w nim mały Rysio, nie pozwalający, aby stał się Ryszardem.

W kapliczce, na tle chaotycznej muzyki dobiegającej z ciężkich organów, odbywał się głośny koncert łkań. Postacie w czarnych płaszczach były „przyozdobione” białymi bawełnianymi skrawkami materiału, które zdawały się fruwać w powietrzu, podczas podawania dłońmi odzianymi w czarne rękawiczki. Obecni żałobnicy wzajemnie chcieli się wesprzeć. Tylko ojciec nie uronił ani jednej łzy. Trzymał się pionu i teraz dumnie wstał. Wziął od córki karteczkę i wyprostowany

jak na szczudłach, dostojnym krokiem, nie rozglądając się na boki, przeszedł przez całą kapliczkę. Kierował się ku ambonie.

Na środku kościółka, między drewnianymi rzędami ławeczek, stała dębowa trumna – nawet na moment się przy niej nie zatrzymał. Nie dotknął górnego wieka, nie przeżegnał się. Szybko ją minął, wyraźnie było widać, że ta uroczystość była dla niego konieczną formalnością. Pragnął by było już po wszystkim, zachowanie wszystkich obecnych gości śmieszyło go. Taki był Ryszard Kaszuba, ojciec Dominiki Patyczak-Kaszuba.

Ksiądz wyszedł z zakrystii, stanął na ambonie, a wtedy dzwonek zadzwonił trzy razy. Wszyscy obecni wstali. Ostentacyjnie zachowujący się wdowiec, wracając z zakrystii szybkim krokiem, nie zdążył już usiąść. Grymas niezadowolenia pojawił się na jego twarzy. Stanął obok córki, i dopiero w tym momencie dostrzegł trumnę. Szybko, niedbale się przeżegnał. Jego dłonie wykonały nieregularny taniec i z pewnością nie zakreśliły krzyża. W kapliczce cały czas pojawiały się podnoszone do oczu chusteczki. Wreszcie rozległy się głośne dźwięki organów. Dominika poczuła ulgę – zrozumiała, że organista wie, co robi. Choć przed momentem w to wątpiła. Muzyka sakralna zaczęła osuszać jej łzy. Dominika ostatnio rzadko chodziła do kościoła, na pogrzebach nie bywała, to była pierwsza msza pogrzebowa w jej życiu. Nie była świadoma tego, że organista wydając wcześniej chaotyczne, pojedyncze dźwięki ćwiczył, przygotowując instrument.

Ostatnio w nic nie wierzyła. We wszystko, w co wierzyła wcześniej, nagle zwątpiła. Kątem oka z nienawiścią spoglądała na

ojca, a potem na trumnę, by znowu z nienawiścią spojrzeć na ojca – jej oczy biegały jak wahadełko.

W jej głowie zarysował się obraz chwili, którą miała zapamiętać do końca życia. Tej, która trwale podzieliła ją z ojcem – Ryszard Kaszuba z kochanką w ostrej, niecodziennej akcji, kiedy jego żona, po kolejnych nie dających efektów chemiach, leżała w szpitalu.

Stał tyłem do Dominiki i zabawiał się erotycznym sprzętem ze sporo starszą od siebie i sporo grubszą blondynką, Marzeną Wejcherowską, właścicielką wrzesińskiego zakładu pogrzebowego. Zresztą jedyne w tym miasteczku.

Wtedy Dominika nie po raz pierwszy i nie ostatni miała ochotę splunąć pod jego nogi. Teraz, kiedy na niego patrzyła, ponownie miała na to ochotę. Jego widok przyprawiał ją o mdłości, a tamten obraz wracał.

To był czysty przypadek. Drugie półrocze klasy maturalnej, kolejne wagary – jak zawsze obiecały sobie z koleżanką, że to już ostatni raz. W szkole wokół niej i Oli atmosfera zrobiła się nieprzyjemnie niebezpieczna, obydwie były zagrożone z pięciu przedmiotów, w dodatku bez większej chęci do nauki. Będąc w centrum Wrześni przypadkowo, raczej z nudów, weszły do sklepu z trumnami. Temat śmierci zaczął je od niedawna interesować i szukały jakiejś inspiracji. Ciekawiła je ideologia satanistyczna. Ola zakupiła nawet „Biblię” la Vey’a. Ideologia towarzystwa, w którym Dominika odnalazła spokój i równowagę, była dla niej czymś nowym, bezpiecznym, fascynującym. Lgnęła do niego jak mucha do lepu. Ola przed samym wejściem do sklepu z trumnami zapytała:

– Wiesz, jak właścicielka nam pozwoli, to z chęcią przymierzę się

do jednej z trumien. Położę się i pozwolę właścicielce zamknąć wieko. Co ty na to?

Oleę ciekawiło wszystko co inne, złe i zakazane. W tej przyjaźni to ona była motorem napędzającym do złych zachowań i nieprzestrzegania reguł. Dominice to imponowało, zwłaszcza w tym momencie. Jej rodzice od dawna toczyli między sobą wojnę, a kiedy jej mama zachorowała na raka płuc i oczekiwała cudownego uzdrowienia, Dominika czuła się jeszcze bardziej osamotniona. Całe dnie spędzała w domu bez żadnego nadzoru. Ojciec znikał, zdarzało się, że nie wracał na noc. A kiedy wracał późnym wieczorem, to udawał wielce zmęczonego i nie próbował podjąć żadnego tematu z córką. Czuła się jak powietrze. Wieczorem, po pracy, zazwyczaj wypijał butelkę piwa i kładł się do łóżka.

– Kurczę, ja się boję, chyba bym nie umiała. Życie jest takie piękne, wolę nie kusić losu. Tym bardziej teraz, gdy... moja mama...
– Dominika tłumaczyła się jak dziecko, bojąc się odrzucenia. – Zrobię ci zdjęcie. Wystarczy mojego angażu? Damy je potem na portal.

Dominika mówiła szybkim potokiem słów, żeby Ola nie próbowała jej więcej namawiać na położenie się w trumnie. Nie chciała wypaść przed koleżanką na tchórza, ale jeszcze bardziej nie chciała położyć się do trumny. Nawet, jeżeli to byłoby tylko dla żartów. Wizja leżenia w trumnie paraliżowała ją i powodowała niechciane dławienie się śliną.

– Spoko. Rozumiem.

Na moment zamilkły. Szły ulicą Brzozową. Było wtedy tak samo zimno, jak dzisiejszego dnia. Nie miały ani czapek, ani szalików.

– Wyrobisz się z nami – dodała po chwili Ola. Mówiąc „nami”, miała na myśli stowarzyszenie wrzesińskich satanistów, które właśnie teraz przeżywało prawdziwy renesans. W gębarzewskim lesie, niedaleko Gniezna, odkryli niewielki bunkier i to tam zdecydowali się wspólnie spotykać i odprawiać czarne msze.

Dodatkowo Dominika spodobała się głównemu założycielowi tego ugrupowania, Frankowi Mikito, a Ola dostała zadanie, by zwerbować ją do sekty. Zadanie okazało się nad wyrost proste. Chora matka, wiecznie zajęty ojciec, jedynaczka. Łatwy łup i łakomy kąsek, a dla Dominiki wybawienie.

Dominika żwawym krokiem przekroczyła próg sklepu. Obydwie pragnęły się ogrzać. Już od wejścia zastała tam niecodzienny, szokujący widok. Pulchna blondynka w kusej, czerwonej koszulce leżała okrakiem w białej trumnie. Nie miała na sobie majtek, jej nogi były rozsunięte, nurzała się w białym atłasie wykończonym koronką i wyciągała ręce do mężczyzny, który stał tyłem do drzwi wejściowych. Mężczyzna, podobnie jak kobieta, nie miał na sobie bielizny, a w ręce trzymał srebrne, błyszczące kajdanki. Machał kutasem na wszystkie strony, wykonując dziwny taniec. Dominika stała jak zamurowana. Olę ogarnął dziki śmiech.

– Marzena, drzwi, nie zamknęłaś drzwi... Dziecko, co ty tutaj robisz?! – wykrzyknął i momentalnie zbladł. Potem zaczął krzyczeć, próbował się tłumaczyć, chwycić Dominikę. Bezskutecznie. W pewnym momencie sam nie wiedział, czy gonić córkę po sklepie, czy stanąć w miejscu i zakrywać dłońmi nagie przyrodzenie.

Od tamtego dnia Dominika nie zamieniła z ojcem ani jednego słowa.

Teraz, podczas ceremonii pogrzebowej, stojąc blisko ojca w kaplicy, zastanawiała się, czy w trumnie, w której leży jej matka, jej ojciec też oddawał się seksualnym przyjemności z właścicielką sklepu. Wyobraziła sobie, co by było, gdyby wtedy tam nie weszła. Może jej matka jeszcze by żyła. Nie potrafiła się wtedy powstrzymać – wyjęła z kieszeni czarnej puchowej kurtki telefon komórkowy i zrobiła ojcu zdjęcie w jednoznacznej sytuacji. Natychmiast wysłała je matce. Tego samego dnia, późnym wieczorem, matka Dominiki zmarła.

Potem Dominika czuła się wszystkiemu winna i tak już zapewne zostanie. Wiedziała, że wysyłając do matki zdjęcie, zabiła ją. To był impuls. W tamtym momencie nie potrafiła inaczej. Ojciec krzychał: *nie, nie rób tego, to ją zabije!* Może wiedział, jak to się skończy. Uklęknął wtedy, próbował chwycić ją za kostkę, błagał.

– Nie rób tego. To ją zabije – powtarzał w kółko.

Wyrwała się i z płaczem wybiegła ze sklepu. Czuła, że ojciec ma rację. I za to najbardziej go znenawidziła. Wielki pan policjant, który dał się kupić mafii, przez co został zwolniony dyscyplinarnie, który nigdy się nie mylił. Uśmiechnęła się szyderczo przez łyzy. Tym razem też się nie pomylił, chyba że to był cholerny zbieg okoliczności. I matka tak czy siak, tego dnia miała umrzeć. Może właśnie tego dnia jej świeczka miała zgasnąć, a może jeszcze by się paliła.

Poczuła, że rośnie jej temperatura i to, co od niepamiętnych czasów zachwycało jej bogobojną matkę, zrobiło się zamazane. Nagle przestało ją interesować, czy kapliczka, w której się znajduje, jest wybudowana na planie krzyża. Zatarły jej się obrazy wnętrza kościółka. Czerwona wypalana cegła i czarna chrzcielnica przestały

być widoczne. Nie zastanawiała się, czy projektantami wnętrza byli artyści niezwykle wrażliwi na piękno sakralne. Nie widziała bogatych motywów roślinnych ani kolorowych witraży, które zazwyczaj ocieplają surową atmosferę architektury gotyckiej. Rzeźby i płaskorzeźby znikły za mgłą, masywna mensa na dwóch kolumnach stała się niewidoczna, w końcu przestała widzieć księdza, a na końcu trumnę. Zamknęła oczy i legła jak długa na czerwony welur wyściełający ławkę, a potem zsunęła się na ziemię.

– Niech ktoś zadzwoni po karetkę! – krzyknął jej ojciec. – Domi, Domi, moja Domi, nie rób mi tego.

Piętnastoletnia Basia położyła się na wznak na dywanie w piwnicy.

– Wygodnie ci? – Meer wydawała się być zatroskana.

– Jasne – odpowiedziała Baśka.

– Gdzie jest Jarek?

– Nasz tatuś? – Basia celowo tak powiedziała, chciała, by Meer czuła się zachwycona.

– „Nasz tatuś”, jak to pięknie brzmi. Dziękuję wam.

– Nie ma za co, polecamy się! Na zewnątrz rąbie drewno, żeby było nam ciepło. Jest opiekuńczy, nie to co matka.

– Zauważyłam. – Meer pogłaskała Basię po głowie. Zaczesała jej kruczoczarne włosy do tyłu i pocałowała w czoło. – Nie kłamałaś. Moja kochana.

– Kocham cię Meer, bardzo. – Spojrzały na siebie porozumiewawczo. Uśmiechnęły się do siebie i tylko one wiedziały, co ten uśmiech znaczy.

– Basia? – Meer położyła się obok Basi. – Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, chciałabym przypieczętować naszą przyjaźń.

– Jak chcesz to zrobić? – Basia obserwowała latającą nad nimi muchę.

– Nożem. Lubisz noże, sama tak mówiłaś.

– Lubię noże. Nie ukrywam. Jak to będzie wyglądać?

– Natnę twoją skórę na zgięciu kciuka, swoją też natnę. Będziemy twardo trzymać się za ręce, aż nasza krew się zmiesza.

– Boję się bólu – zawahała się Basia.

– Nie bój się, im większy ból, tym większa rozkosz. Już zawsze będziemy siostrami.

– Chciałabyś ją poznać?

– Siostrę? Tak, ale kiedy to nastąpi, będzie już za późno.

– Ja też zawsze chciałam mieć siostrę, ale moja matka bała się o swoją figurę. Myśli tylko o sobie i o swoim wyglądzie. Laleczka Barbie.

– Nic jej z tego wyglądu, to pustak!

– Pustak. – Basia powtórzyła niczym echo.

– Nie szkoda wam tego dywanu? Jest ładny, piwnica to nie jest odpowiednie miejsce na taki miłusi dywan. – Meer nagle zmieniła temat, głaskając dywan w kolorze nieba.

– Tata go kupił dla mamy, do salonu. Mamie się nie podoba. Stwierdziła, że jest tandetny i kiczowaty i że ojciec ma sobie wsadzić go w dupę. Dlatego wylądował w piwnicy.

– Mamie się nie podoba? – Meer wybuchnęła śmiechem. – Bo nie jest ze złota?

– Bo nie jest ze złota, bo tata go kupił, bo chuj ją wie?

– Nic się nie zmieniło?

– Taaa... Jak zawsze ma mnie w dupie, o nic nie pyta. Niczym się nie interesuje. Jest wiecznie zajęta i musimy z ojcem radzić sobie sami. A radzimy sobie jak widzisz, spędzamy razem mnóstwo czasu. Jest dobrze, jutro idziemy na grzyby, poznam matecznik w tutejszym lesie. Tata wszystko mi pokaże. Powiedział, że wszystkiego mnie nauczy.

– Mogę iść z wami?

– Zawsze. W końcu za moment będziemy siostrami.

Zaniosły się śmiechem.

– Dokładnie.

Pięć lat później

Oprawca nachylił się nad jeszcze ciepłym ciałem kobiety i pieścił swoim wzrokiem jej bladą twarz. Gładził kciukiem jej idealną linię warg i lekko zadarty nos. Rozchylił powieki, by spojrzeć w jej oczy. Jego ofiara patrzyła w jeden punkt. Kat uklęknął na betonowej podłodze, zaraz przy drobnej brunetce. Miała jeszcze wyczuwalny puls, chociaż był nieregularny, a jej ciało leżało nieruchomo – widocznie w tym momencie oddawała ostatnie tchnienie. Potem wstał, wyprostował się jak żołnierz na rannym apelu i zaczął sprzątać. Z kilku drewnianych, częściowo spróchniałych i wyżartych przez korniki schodów, pozbierał rozrzucone buty. Czerwone, lakierowane kozaczki, odbijały światło żółtej żarówki. Otworzył żeliwne drzwiczki od dwudziestoletniego pieca, który już wprawdzie dwa razy był spawany, ale na szczęście cały czas działał. Ze szczelin posypał się popiół. Wrzucił buty ofiary do środka pieca. Na czerwone kozaczki położył karton po mleku bez zakrętki i dwie kartki papieru. Drasnął zapałką i próbował zająć ogniem jedną z białych kartek. Kiedy poczuł zapach dymu i ogień zajął się na dobre, dołożył dwa porąbane wcześniej drewnienka i kilka listewek z kiepskiej palety.

– Widzisz jak o ciebie dbam, nie będzie ci tutaj zimno.

Znowu się nad nią nachylił i szepnął jej do ucha:

– Żegnaj, mała! Ja nie mam ojca, a twój ojciec nie ma ciebie.

W piecu paliło się miarowo, a dźwięk jaki się z niego wydobywał przypominał tłuczenie kół rozpędzającego się pociągu. To pobudziło wyobraźnię kata. Oprawca usiadł na betonowej podłodze, podkurczył nogi i schował głowę między kolana. Ścisnął je mocno,

jakby tym samym chciał się odmóżyć. Przypomniawszy sobie przykazanie piąte z „Biblii” la Vey’a: *Szatan nakazuje zemstę, a nie nadstawianie drugiego policzka*. Energicznie wstał. Dywan był ciężki, zdaje się, że cięższy od ofiary.

– Kolejny raz muszę ją sprawdzić, kolejny raz złożę jej dar.

Nerwowy, głośny śmiech wypełnił piwnicę.

Kawiarenka Incognito, położona w samym sercu pierwszej stolicy Polski. Ewelina rozejrzała się dookoła siebie, podziwiając odnowione kamienice i wymyślne maskarony, które zdążyły się wybrudzić od smogu. O tej porze roku, jak co sezon, tłum turystów przemierzał ulice Gniezna. Można było usłyszeć język ojczysty Niemców i Włochów. Między nimi, od czasu do czasu, pojawiał się francuski.

– Jeszcze trochę i sama nauczę się szprechać w jakimś języku. I to bez żadnych korepetycji – Ewelina skomentowała czerwcowy kolorowy gwar na ulicach Gniezna.

– Zazdrościsz naszej kierownicze, że tak pięknie włada językiem włoskim? – Marzena sarkastycznie dopytywała.

Zatrudnione w kawiarence dziewczęta wiedziały o tym, że Dominika Patyczak, ich kierownicza, uczęszcza na kurs włoskiego. Wiedziała też o tym nowo zatrudniona Kamila, która podobnie jak kierownicza, tego dnia wzięła sobie wolne.

– Nie ma czego – dodała po chwili Marzena. – Jedyne, co opanowała do perfekcji, to wulgaryzmy i obelgi.

– Zazdroścę, że tak pięknie potrafi nas obrazić i nic sobie z tego nie robi. Ja tak nie umiem. Niektóre słowa nie potrafiłyby

przejsć mi przez gardło. Nawet w obcym języku. Ewelina czuła do kierowniczkę złość, ale nadal czuła do niej pewien szacunek.

– Cwaniara. Myśli, że jesteśmy głupie i że się nie domyślimy. Wielka mi różnica, *cretini* a kretyn.

– Sprzątamę, sprzątamę i do domu – Ewelina rzuciła do Marzeny. Chciała powolutku uciąć ten temat. – Masz rację. Szkoda gadać. I tak mamy dzisiaj fart, kierowniczkę ma wolne, sama w to nie wierzę.

Marzena tańczyła walca z ogromniastym mopem zbudowanym z kolorowego trzonka i sfilcowanych szarych sznurków, tworząc na białych płytkach okręgi.

– Nie wydaje ci się to dziwne? Wystraszona odebrała telefon, jak nigdy schowała się do socjalnego i, wychodząc z niego, oznajmiła, że musi wyjść: *cześć, pa, hej*. To do niej niepodobne. Strażniczka porządku na urlopie! – Ewelina postawiła na stolyczku plastikowy dzbanek z wodą, którą miała napić pelargonie. Palcem wskazującym próbowała podnieść wrzynające się w jej ramiona, czarne lamówki swojego czerwonego uniformu. – Specjalnie kazała mi uszyć taki ciasny uniform, ona faktycznie mnie nienawidzi – powiedziała do siebie Ewelina.

– Zdzira! – Marzena wręcz zaśpiewała.

Obgadywanie kierowniczkę za jej plecami sprawiało jej frajdę. Tak samo też robiła nieobecna Kamila, która po zabiegu wycięcia pieprzyka postanowiła się urlopować. Tylko Ewelina cały czas grała Dobrego Samarytanina. Nawet głupim bajdurzeniem nie chciała dać upust swoim emocjom.

– Może po prostu utylam. Skończmy ten temat, proszę!

– Nasza wredna Domi! Włoska Barbie o włoskim temperamentem. Ty gruba świnia, ja tępą jak but. *Przepraszam nie mogę obrazić buta, bo to ulubione części mojej garderoby.* – Marzena z sarkazmem zacytowała nieobecną kierowniczkę.

Obie dziewczyny ryknęły śmiechem.

– Daj sobie spokój. Najważniejsze, że dzisiejszy dzień upłynął całkiem sympatycznie. Zobacz jak sobie świetnie poradziłyśmy, klientów multum, pełne kieszonki napiwków, których nie będziemy musiały oddać, jak to Domi twierdzi, na szczytny cel.

– Szczytny cel: integracyjna imprezka w naszej kawiarence, koń by się uśmieł. Jej cichy układ z szefem, seks na parapecie, żeby kasa została w firmie. Podejrzewam, że Domi ma spore premie za te niehumanitarne pomysły. Kto to widział robić integracyjną imprezkę w miejscu pracy. Kpina w biały dzień!

– Jest dajką szefa? To niemożliwe, to są wasze insynuacje, Marzena, nie wymyślaj. – Ewelina doskonale wiedziała, że koleżanka ma rację, ale celowo udawała niedowiarka. Uważała, że życie intymne, to sprawa indywidualna każdego człowieka.

– Dobra, dobra, ja swoje wiem! By się wstydził, ma taką ładną żonę... wiesz co, masz rację, zmieńmy temat, nie chcę sobie strzępić języka. Jestem dumna z tego dnia. W sumie to mam w pompie, kto do niej zadzwonił i dlaczego musiała wyjść. Najważniejszy jest efekt jej nieobecności, czyli?

– Nasza radość! – wykrzyczały równocześnie.

Ewelina zajęła się ścieraniem okruszków ze stoliczka, zapominając już o tym, że przecież miała podlać pelargonie.

– Zdążyła nas jednak obrazić. *Idioti, cretini, muovetevi culone*

stupide. – kontynuowała pulchna kelnerka. – Kurczę, naprawdę ma nas za głupie. Przecież nawet dziecko potrafiłoby to przetłumaczyć.

– Trzeba jej wybaczyć. Ciężkie dzieciństwo i jeszcze cięższe zabawki. – Marzena nie potrafiła przestać, jakby ten temat jej pasował, chciała urągać, by sobie ulżyć.

– Michał mi powiedział, że *culone* znaczy dupa. – Ewelina potrafiła przetłumaczyć wszystkie obelgi, którymi obrzucała je kierowniczka, a to dlatego, że jej narzeczony doskonale znał włoski.

Od lat pracował za granicą. Codziennie do niego dzwoniła z nowym powiedzeniem Dominiki, które zapisywała na karteczce. Michał jej tłumaczył, a potem dawał jej długi wykład, że ma się zwolnić z tej nędznej roboty i przyjechać do niego do Holandii. Nie chciała. Przyczyn było dużo, a najważniejszą, dla której postanowiła zostać w Polsce, była chora na alzheimera babcia. Ewelina zdecydowała, że dożywotnio będzie się nią opiekować.

– Nie wybaczymy, nie potrafimy. – Marzena cały czas przekomarzała się z Eweliną.

Według niej Ewelina była zbyt dobra i wszystko każdemu wybaczała. Była staroświecka, to nie czasy na pobłażanie takich czynów jakich chwytala się Domi. Jej zdaniem takiego prostackiego zachowania i poniżania bliźniego się nie wybacza. Wręcz trzeba ukarać w myśl zasady oko za oko, ząb za ząb.

– To z mora nad zmorami, wkrótce los się nad nią zemści. Zobaczysz!

Marzena tańcząc nadal z mopem dopowiedziała jeszcze krótko:

– No i musisz przyznać mi rację.

Była w siódmym niebie, że po raz pierwszy w miejscu pracy

może bezkarnie naśmiewać się z Dominiki. W jej obecności nigdy by się nie odważyła. Dziś sama Dominika stworzyła kelnerkom dogodne warunki. Po raz pierwszy od lat kawiarenkę zamykały bez żadnego nadzoru i głupkowatych uwag kierowniczkii.

– A nie pamiętasz już, jak rano dała tobie do wiwatu? *Schudnij grubasie, bo ci się mleko w cyckach zważy, a do mnie: Weź sobie zoperuj ten nos, bo haczysz gości.*

Marzena z minuty na minutę dodawała rozmowie dramaturgii – niby nie chciała już rozmawiać o Domi, ale nadal to robiła.

– Nadal bronisz kata? – Marzena figlarnie spoglądnęła na Ewelinę i czekała, co ta odpowie. Miała dziką satysfakcję, że może gadać co ślina przyniesie jej na język.

– Marzena, już dość. To nie tak. Ja chcę skończyć porządki w kawiarence i wrócić do domu. Mój mąż przyjechał z Holandii zaledwie na dwa dni, moja babcia ma alzheimera i zapewne dała mojemu narzeczonemu bardziej do wiwatu niż Domi nam... Szkoda spalać energię na gadanie o naszej żmijce. Domi to Domi, przecież wiesz, jakby to ona powiedziała: *Królowa jest tylko jedna, a paziów może mieć tysiące.* Sama widzisz, bezrobocie w Gnieźnie rośnie, a cefalki na stole razem z nim. Sprzątnijmy ten bajzel i spadajmy stąd. Zresztą, na dłuższą metę byłoby bez niej nudno!

Marzena jakby tego nie słyszała.

– Jasne, twoja babcia. Przepraszam, zapomniałam. Gorzej jak z dzieckiem, co?

– Gorzej... Wczoraj wmówiła sobie, że ma skrzydła. Usiadła na parapecie i chciała zeskoczyć z okna. Z pierwszego piętra, wyobrażasz to sobie? – Ewelina zaczęła składać krzesła, by

umożliwić Marzenie dostanie się mopem pod stół. – Potem zapraszała spikera z telewizji do domu na kawę. Kiedy spiker nie reagował, poczuła się ignorowana, więc z całej siły walnęła kubkiem z kawą w telewizor. Michał był w szoku. Na szczęście telewizor przetrwał jej frustrację, chociaż nie wiem jakim cudem. Chyba dopiero teraz oczka mu się otworzyły. On tam, w Holandii, zarabia na budowę domu, a ja tu męczę się z babcią. Na własne życzenie, ale ja tego chcę. Koszmar i paranoja, wszystko w jednym. Najgorsze jest to, że ja kocham babcię i w życiu nie mogłabym z zimną krwią oddać jej do domu późnej starości. Tyle mnie nauczyła. Modlitwy, zasad, jednym słowem: życia. Robiła mi okapniki do wosku i prowadziła na roraty. Przecież kiedyś była zdrowa. I teraz mam ją oddać do DPS-u jak jakiś zużyty przedmiot? Nie, po moim trupie. Natomiast Michał... Czasem odnoszę wrażenie, że właśnie po to przyjeżdża do Polski. Chce mnie zwerbować do Holandii, więc ja go pytam, co z babcią? I wiesz co? On wtedy milczy.

– Chwała ci za to! – Marzena odstawiła mopa na bok, energicznie chwyciła w rękę zielony, plastikowy dzbanek z wodą. Postanowiła wyręczyć koleżankę i podlać czerwone kwiatki, o których ta zapomniała.

Tak wyglądała ich współpraca, jedna wyręczała drugą i na odwrót. Marzena lała małe strumyki wody do czarnej ziemi. Podlewała czerwone pelargonie rosnące w okrągłych, wysokich, betonowych donicach, tak samo jak śmietnik, na trwałe przymocowanych z gruntem. Ewelina w tym czasie zamykała ogromne biało-czerwone parasole z napisem Tyskie. W tym momencie potknęła się o wiadro z pieniącą wodą i zakłęła.

– Michał jest niesprawiedliwy, nie sądzisz?

– Co? – Marzena podeszła do śmietnika, żeby wyjąć z niego czarny, wypełniony po same brzegi worek z komunalnymi odpadami.

– Kuźwa, ale much!

– Michał jest niesprawiedliwy – powtórzyła Ewelina. – Wyobraź sobie, że robi wszystko, żebym wyjechała z nim do Holandii. Nie ma za grosz wyrozumiałości. Tylko kasa i kasa. Podchodzi do mnie, przytula i mówi: *Szkoda, że pracujesz w kawiarence z tą zołą.* Rozumiesz coś z tego?

Powtarzała w kółko to samo, było widać, że bolał ją ten temat. Chciała, ale nie mogła zrozumieć narzeczonego.

– Opowiadasz mu o tym, jak traktuje ciebie Domi, to co się dziwisz?

– Jasne, nie raz mu ryczałam do słuchawki. Potem tego żałowałam, bo wiem, że źle znosi mój płacz. Tylko po jakimś czasie zapominam o tym, że żałowałam i, przy kolejnej rozmowie telefonicznej, znowu mu płaczę do słuchawki. Co mam ci powiedzieć? Każdy ma dzień słabości.

– Wiesz, to tylko facet, patrzy na swoje szczęście i na swoją wygodę, bo na pewno nie patrzy sercem na dobro twojej babci. Faceci nie mają serca. Dla niego to stara, schorowana kobiecinka, problem. Kumasz? Problem trzeba rozwiązać, tak technicznie. Wiesz o co chodzi? Kocha cię, chce mieć cię tylko dla siebie. Ja mu się nie dziwię. Problemy się rozwiązują, a że postęp cywilizacyjny, to i o rozwiązanie szybciej.

– Ja tego nie rozumiem. Wiesz, babcia tyle dla mnie zrobiła. Moja mama zbyt wcześnie umarła, więc babcia przejęła jej obowiązki.

Nauczyła mnie robić zaprawy, sprzątać, gotować. Kochać bliźniego jak siebie samego. To dlatego przymykam oko na występki Domi. Próbuję spojrzeć na nią, tak wiesz... – Chwilę się zastanowiła. – Tak po bożemu. – Ucieszyła się w duchu, że potrafiła to tak określić. – Tak zapewne nakazałaby babcia, wybaczać.

– Staram się to zrozumieć, ale jednak nie pojmuję. Wiesz co, ja powinnam być facetem, chyba dlatego jestem sama, bo myślę jak facet.

Ewelina dalej drażyła temat, pragnąc, żeby ktoś w końcu przyznał jej rację.

– Nawet szyć na maszynie i cerować skarpetki mnie nauczyła. Jestem jej za to wdzięczna. Nie wspomnę o haftowaniu na tamborku. Kto dziś posiada taką umiejętność?

– No widzisz, tylko w Polsce nikt ciebie za to nie doceni. Co innego w takiej Holandii. Tam zarobiłabyś na haftach niemały majątek.

– Kasa to nie wszystko.

– Ale wszystko bez kasy to chuj. O kurwa. O kurwa! – krzyknęła przerażona. Właśnie odeszła od ostatniej donicy i zaczęła czyścić śmietniczek. – Ewelina, ja pierdolę.

– Co się stało?

– Spójrz.

– O ja pierdolę. O ja pierdolę.

– Co to kurwa?

– Język... to jest ludzki język. O ja pierdolę!

– Nie wierzę! – Ewelina zasłoniła usta. – Kolczyk! To język Domi!

Prokurator Sadowska podkurczyła nogi, a kolana schowała pod brodę. Spojrzała na melanzowe płytki imitujące stare drewniane dechy, fugi cały czas były nie zrobione. Mąż Krystyny, Jarosław Wędzikowski, zmarł nie zdążywszy ich zaślepić. Nie zdążył też zamontować cokolików, które miały chronić wymalowane ściany. *Nieważne – pomyślała Krystyna. – Ten model płytek nie wymaga fug.*

– Kurczę, Jarek! – krzyknęła w głuchą otchłań.

Wszelkiego rodzaju beże, brązy i szarości towarzyszące płytkom, niedawno położonym w domku na wsi, powodowały, że większość dekoratorów i wykonawców miałoby problem z doбором odpowiedniego koloru fugi. Krystyna przyglądała się wszystkiemu dookoła, jakby była w tym domku po raz pierwszy. Kolejny raz katowała się w myślach. *Ja też nie byłam zdecydowana, mała dziewczyna w ciele dorosłej kobiety, pogubiona jak drobne pieniądze w dziurawej kieszeni.* – Próbowwała otrząsnąć się ze złych myśli, bezskutecznie.

– Jarek, dlaczego nie potrafiłam cię pokochać – zapytała białych ścian. Miała ochotę kolanami zmiażdżyć sobie głowę.

Z pokoju Basi dobiegały ją ciężkie dźwięki emo rapu. XXXTentacion, dwudziestoletni raper, który został brutalnie zamordowany przez dwóch nigdy nie schwytanych łobuzów. *Dobrze mu tak, tak powinien skończyć każdy damski bokser* – pomyślała.

Odkąd przed dwoma miesiącami zmarł jej mąż, Sadowska nie mogła dojść do siebie. Nigdy go nie kochała, nie zdążyła pokochać. Miała taką możliwość, ale z niej nie skorzystała, a teraz na wszystko było już za późno. Od siedemnastu lat nie mogła się przemóc, wręcz

brzydziła się mężem. Tak było, ale w życiu wszystko się zmienia. Dlatego teraz tak bardzo za nim tęskniła. Zrozumiała, co straciła i ile lat bezpowrotnie przeleciało jej przez palce. Dopiero po jego śmierci domyśliła się, jak bardzo cierpiał Jarek, jak bardzo raniła go swoją obojętnością. Tyle razy przychodził do niej z prośbą o rozmowę, o dotyk, o czułość. O najzwyczajniejsze przytulenie. A ona tyle razy go besztala i przepędzała jak niechcianego kundla przybłądę.

Gdyby nie Basia już dawno by od niego odeszła. To dla córki ciągnęła tę farsę. Teraz z perspektywy czasu stwierdziła, że jej małżeństwo nie była żadną farsą, to było dla niej wybawienie. Gdyby nie Jarek nie rozumiałaby, co to znaczy bezinteresowna, niekończąca się miłość. Bo taką miłością obdarzył ją mąż.

Barbara Wędzikowska, jedyna córka Krystyny i Jarosława, była zbuntowaną nastolatką, nad którą Krystyna nie potrafiła teraz zapanować.

Przez te wszystkie lata obecność Basi cementowała małżeństwo Krystyny i Jarka. Krystyna tkwiła w tym związku twardo jak kamień z nadzieją, że kiedyś ta lawina ruszy. I ruszyła, Jarek zmarł.

Miała sporo okazji, aby odejść od męża, ale nie potrafiła. Była leniwa. Poza tym, mimo niechęci do męża, tworzyła z nim rodzinę.

Najpierw, gdy Basia była malutka, Jarosław stanął na wysokości zadania i spędzał z nią całe dni. Na każdym kroku wyręczał żonę, wiedział, że Krysia nie poradzi sobie ze wczesnym macierzyństwem. Ona musiała stale się doszkalać, kształcić. Basia rosła, a Krystyna stawała się leniwa i nie chciało już jej się rozwodzić. Uznała, że dobrze jest, jak jest. Nadal była w stosunku do córki i męża oschła.

Jednak teraz chciałyby być blisko córki, lecz córka już tego nie potrzebowała.

Jarek nie był nachalny, pozwalał jej zachować dla siebie trochę intymności. Starał się nie przekraczać tej granicy, nie pchał się w jej życie z buciarami. Jej świat pleciony platoniczną miłością do byłego narzeczonego kwitł, i to trzymało ją przy życiu.

Wyimaginowana miłość, którą darzyła Ryszarda Kaszubę, dodawała jej energii do życia i pozwalała zapomnieć o tym, że zakładając rodzinę, znalazła się w prawdziwym potrzasku. Czasem miała wrażenie, że jest w więzieniu. Marzenia o Ryszardzie potrafiły przyprawić jej jałowe życie. A myśli o tym, że kiedyś będą razem, zwiastowały lepsze jutro. Czasem marzyła o nim tak intensywnie, że zacierały jej się granice rzeczywistości. Budziła się i miała wrażenie, że obok niej, zamiast Jarka, śpi Ryszard. Do swojego małego, intymnego świata, nie wpuszczała nikogo: „wstęp wzbroniony”, w szczególności dla najbliższej rodziny. Kiedy Ryszard wkraczał do jej głowy, wszystko dookoła stawało się nieistotne. Nieistotne było to, czy Basia zjadła kolację, czy odpowiednio spakowała tornister do szkoły, czy ma potrzebne przybory, czy odrobiła lekcje, w końcu, czy umyła zęby. Dla Krystyny to wszystko nie było ważne, ponieważ było oczywiste. Uważała, że jak ona sama to potrafi, to paroletniej córce nie trzeba tego tłumaczyć. Faktycznie, nie trzeba było jej tego tłumaczyć, bo był Jarek, który wyręczał Krystynę na każdym kroku. To on nauczył Basię jeździć na rowerku, to on chodził z nią na basen, to on robił jej śniadania do szkoły. Krystyna stale się spieszyła, stale była w biegu. *Prędko, prędko, bo nie zdążymy*, a wieczorem: *jestem zmęczona, dajcie mi spokój*. Zmykała do

sypialni, kładła się na łóżku pod białą pościelą i marzyła o tym, jakby to było, gdyby była żoną Ryszarda. I tak przeleciało jej kilkanaście lat małżeństwa. Macierzyństwa nie pamiętała, nigdy go nie czuła. Nie dotykała Basi, bała się. Nie słyszała bicia jej serca.

Kiedy Basia była prawie dorosła, a Krystyna summa summarum pogodziła się z zaistniałą sytuacją, Jarosław najzwyczajniej w świecie zmarł, a jej dopiero wtedy otworzyły się oczy. Po jego śmierci zrozumiała, jak bardzo była beznadziejną żoną i matką. Jak wiele mogła i ile nie zrobiła. Najgorsze było to, że wcześniej nie była tego świadoma. *Za późno, na wszystko jest już za późno* – myślała. Powiedzenie „lepiej późno niż wcale” zaczęło ją śmieszyć.

Brak kontroli nad córką, która wyrobiła sobie zbuntowany temperament, nie pozostawiał Krystynie nadziei na to, że będzie dobrze. Basia była na tyle dorosła, że potrafiła wytyczyć niewidzialną granicę, która na metr parzyła Krysie jak rozżarzony węgiel z ogniska. Miała dobrą nauczycielkę – własną matkę.

Spoglądała bezwiednie na melanzowe płytki i szukała w myślach odpowiedzi. Była młoda, głupia i niedojrzała, wręcz szalona! Rozstanie z Ryszardem, chamski festyn w Budziszawiu, nadmiar alkoholu, pierwszy lepszy facet, niechciana ciąża. Nie miała wyjścia. Jej ojciec, Hieronim Sadowski, nakazał ślub, jak on to twierdził: *lepiej być w byle jakim związku małżeńskim, niż samotną matką, bo co powiedzą sąsiedzi*. Z takiego założenia wychodził Naczelnik Urzędu Skarbowego we Wrześni. Musiał mieć wszystkich pod kontrolą – taki był w pracy. To samo tyczyło się jego żony i jedynej córki. Matka Krystyny, Zofia, musiała się przystosować. Miała słaby charakter i była też kruchego zdrowia. Miesiąc po ślubie Krystyny zmarła.

Może z troski, może z bólu. Zauważała w oczach córki nieszczęście i lęk. Nie chciała na to patrzeć. Kiedy weselni goście krzyczeli *gorzko, gorzko*, to Krystyna odwracała od Jarka twarz i udawała, że poprawia sobie sukienkę.

– O ironio! – krzyknęła. Głośna muzyka emo rapu biegnąca z Basi pokoju, wygłuszyła ten okrzyk.

Przez prawie osiemnaście lat Krystyna uważała, że jej ojciec się pomylił, była na niego wściekła, że zmusił ją do ślubu. Rzadko go odwiedzała, nawet po jego śmierci nie potrafiła stanąć nad jego grobem.

Może się nie mylił, może dobrze mnie znał i wiedział, że to Jarek jest dla mnie najbardziej odpowiednim mężczyzną. Teraz Krystyna widziała to wszystko inaczej. Może przejrzał Jarka, albo go wyczuł i wiedział, że taki mężczyzna przejmie większość obowiązków domowych. Dzięki czemu będę mogła się realizować w pracy, awansować.

Prokurator Sadowska siedziała na zimnych płytkach i nie wiedziała co o tym wszystkim myśleć. Dlaczego więc ojciec w kółko powtarzał, że *samotna matka to hańba dla rodziny*? Może chciał ją pocieszyć? Utwierdzić w przekonaniu, że mogła trafić gorzej? Krystyna nie mogła usłyszeć żadnej odpowiedzi.

Spojrzała na swoje kolana, już nie były takie gładkie i lśniące jak kiedyś. Drogie balsamy Diora nie potrafiły poradzić sobie z upływem czasu. Skóra na łokciach też zrobiła się chropowata, brunatna i pomarszczona. Widoczny cellulit przypominał Krystynie o tym, że nic w życiu nie jest trwałe. Uroda, młodość – wszystko przemija,

pozostaje dobre serce, ale jej nic już nie pozostało. *STOP! Nie mogę się dołować, nie teraz!*

Prokurator Sadowska nie chciała przejść nazwiska po mężu, ale wyraziła zgodę na to, żeby ich córka nazywała się Wędzikowska. Długo nie potrafiła wypowiedzieć na głos tego nazwiska. Aż do teraz. Odgarnęła kasztanowego loka z czoła i położyła się na zimnych płytkach. Miała ochotę je pocałować, i zaczęła to robić. Gorącymi pocałunkami przeproszała płytki za to, jak fatalną była żoną, jaką niewdzięczną i okrutną. Gdyby Jarek nagle ożył, starałaby się wszystko naprawić i odbudować. Miała wrażenie, że za moment oszaleje.

Jarek robił wszystko by ją uszczęśliwić. Chciał zadowolić wiecznie niezadowoloną żonę. Wszystko, co robił, wywoływało w Krystynie szyderczy śmiech. Na zasadzie „po co to robisz i tak mam cię w dupie”.

Nie wiadomo dlaczego zaczęła wspominać babcię Stasię. Po śmierci męża coraz częściej o niej myślała. Może dlatego, że coraz częściej odwiedzała Anastazewo. To w tej miejscowości Jarek kupił domek i sam go wyremontował. Wiedział, że Krysia spędziła tutaj najpiękniejsze lata swojego dzieciństwa. Wiedział, że wraca wspomnieniami do tego miejsca. Chciał ją zaskoczyć, udobruchać. Może z uporem maniaka wierzył, że rozkocha ją w sobie.

Policzki Krystyny zarumieniły się ze wstydu. Wstydziła się siebie.

Babcia Stasia zapewne w grobie się przewraca – pomyślała. Wszystkie jej nauki i cenne wskazówki o tym, żeby szanować drugiego człowieka poszły wniwecz.

Babcia, zgarbiona, chodząca o lasce, zawsze znajdowała dla

Krysi czas.

Daleko mi od niej – myślała. – Ja nigdy nie miałam czasu dla Basi, Boże, jaka ja jestem beznadziejna! Przecież miałam dobry przykład. Jej nieustanne wewnętrzne dialogi sprawiły, że przez moment zaczęła się o siebie martwić.

Jestem taka mądra, a zarazem taka głupia.

Wydobywające się z pokoju Basi dźwięki muzyki były coraz głośniejsze i tym samym coraz mocniej dokuczliwe. Burzyły Krystynie spokój ducha, którego tak bardzo potrzebowała. Teraz już nawet nie słyszała swoich myśli. Nie mogła ogarnąć piętrzących się w jej głowie wspomnień, analiz, wniosków.

Jarek nie miał lekko, płacił raty kredytu i remontował stary domek, ledwo wiążąc koniec z końcem. Najpierw wyremontował dach, sam zwałił eternit i położył blachodachówkę, potem wymienił stare okna. Całą posesję ogrodził siatką, wzdłuż której gęsto zasadził szmaragdowe tuje, które codziennie podlewał. Posadził też kilka drzew owocowych i krzewów ozdobnych. Zdarł stare, stuletnie dechy z podłogi, położył panele, w niektórych pomieszczeniach płytki, podwiesił sufity. Był na tyle ambitny, że od Krystyny nie wziął ani grosza. Sumiennie pracował na dwa etaty. Czasem nie spał, ale nigdy się nad sobą nie użalał. Udało mu się, domek nadawał się do zamieszkania. Melanżowymi płytkami zdążył wykończyć salon z kominkiem, a potem zmarł. Krystyna nie zdążyła mu podziękować za to, że jest. Znosił jej kaprysy, tolerował egoistyczne podejście do życia. Kiedy on kupował płyty karton-gips, Krystyna w tym czasie zasilala konto Sephory. Jednorazowo, na zakupione kosmetyki, potrafiła wydać więcej niż Jarek w markecie budowlanym.

Basia na maksa podkręciła dźwięk znienawidzonej przez Krystynę muzyki. Nowe okna w orzechowych ramach zaczęły dudnić i się trząść.

– Możesz ściszyć? – Krystyny słowa odbiły się echem o zamknięte drzwi pokoju córki. – Możesz ściszyć?! – krzyknęła jeszcze głośniej. Echo zrobiło replay. Kolejny raz odgarnęła kasztanowego loka, a on odbił się i wrócił na idealnie wyregulowaną brew, zaznaczoną makijażem permanentnym.

Wstała z podłogi i energicznym krokiem ruszyła do pokoju córki. Nagle dźwięki ucichły. Krystyna otwierając drzwi od Basi pokoju, zrozumiała, dlaczego w domu nagle zrobiło się głucho. Basia siedziała w rozkroku na obrotowym krześle, w bezprzewodowych słuchawkach na uszach. Malowała sobie zbyt długie, jak na gust Krysi, paznokcie u rąk na kruczoczarny kolor. Sosnowe biurko z każdej strony było umorusane czarnym lakierem. Basia zdawała się być tym nieprzejęta.

– Czego chcesz? – zapytała matkę dość ostentacyjnie, nie zaszczycając jej ani jednym spojrzeniem. Delikatnie przesunęła słuchawkę z ucha, jakby chciała ją słyszeć.

– Ścisz to! A co w szkole?

– Jajco. Masz jakiś problem?

– Pytam. Tylko pytam. Drugi raz powtarzasz klasę, niebawem matura. Twój dziadek przewraca się w grobie. Basia, kiedy ty się opamiętasz?

– Dziadziuś, dziadziuś, stary gnój, a może byś powiedziała, że mój ojciec, co? Może to tata przewraca się w grobie? Nie, ty nawet

o nim nie wspomnisz. On był dla ciebie głównem, nie istniał. Tylko dziadziuś. Wiesz co? Mam w dupie dziadziusia, rozumiesz?!

– Basiu, co ty wygadujesz? Ja tylko pytam, co w szkole. Rozmawiaj ze mną.

Basia założyła nogę na nogę.

– Zatem odpowiadam: jajco. Nadażasz? Ogarniasz temat? Jestem w trakcie egzaminu komisyjnego. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, co się wokół ciebie dzieje? Wyjdź!

Policzki Krystyny oblały się czerwienią. Jak mogła nie wiedzieć, że Basia jest w trakcie egzaminu komisyjnego? Dlaczego? Od dawna czuła, że zaniedbuje córkę, ale śmierć Jarka uświadomiła jej, jak bardzo losy Basi są jej odległe.

– To dlaczego się nie uczysz? Znikasz na całe noce, teraz słuchasz muzyki, malujesz paznokcie. Ucz się!

– Próbuję się odmóżdżyć. Wyjdź.

Krystyna opuściła ręce, czuła, że nic nie może.

– Dlaczego mnie tak traktujesz? Basiu, porozmawiajmy.

– Wyjdź. Przepróś i wyjdź. Ile raz mam ci powtarzać, niczego cię nie nauczyli na studiach? – Basia nie czekała na odpowiedź. – Ty naprawdę jesteś tępa.

– Basiu. – Krystyna próbowała zachować spokój – Jak te egzaminy? Radzisz sobie?

– Wyjdź, nie ośmieszaj się. To jest dom, nie sala rozpraw. Spokojnie, nie ma tutaj dziennikarzy. Wyjdź.

Nie pozostało jej nic innego jak zamknąć drzwi i odejść. Nie potrafiła rozmawiać z Basią i nie potrafiła na nią wpłynąć. Czuła, że nic nie może, dokładnie tak jak z Jarkiem. Jego też nie potrafiła

wskrzesić. Dużo potrafiła: poprowadzić i zamknąć na ostatni guzik najtrudniejsze śledztwo, potrafiła poskromić niesfornych policjantów i załadować za kratki prawdziwych przestępców. Była wszędzie pierwsza i skuteczna, ale nie potrafiła wypracować sobie zdrowych relacji z córką, nie umiała jej podejść. Bezradnie zamknęła drzwi i wróciła na sam środek wcześniej wysiedzianych płytek. Kolejny raz miała ochotę zapłakać, i to zrobiła. Nigdy wcześniej nie czuła się tak podle. Poprawiła sobie plisy w spódniczce od Fendiego i kucnęła na płytkach. Dopiero po śmierci Jarka zobaczyła, jakie trudności wychowawcze sprawia Basia. Z tym że Jarek nigdy się nie skarżył. Dla niego córka była idealna, wręcz nieskazitelna. Łączyła ich szczególna więź, która widoczna była gołym okiem. Stanowiła coś, czego Krystyna nie potrafiła pojąć. Potrząsała głową, nie potrafiła ogarnąć bałaganu na „swoim własnym podwórku”. Wcześniej tego nie widziała. I to jeszcze bardziej ją irytowało.

Jarek nad wszystkim trzymał pieczę. Gęsta łza pociekła jej z policzka, rozprysła się na melanżowej płytce i wpłynęła w otwartą fugę. Spłynęła następna. Krystyna zaczęła je rozcierać palcem, tworząc na podłodze nieregularne serce. Poczwała się jak mała dziewczynka, kiedy patykiem na wodzie, w jeziorze powidzkim, tworzyła podobne serduszka, które po sekundzie znikwały. Wtedy, podobnie jak dziś, nie do końca wiedziała, komu jej szkicuje. Czy Maciusiowi z pierwszej C, czy Szymusiowi z drugiej G. Z wyplakanych łez próbowała napisać imię... „J” zmieniało się w „R”, i na odwrót. Przez ostatnie lata kochała Ryszarda, ale teraz kiedy nie było przy jej boku Jarka, to on okazał się jej największą miłością.

W torebce rozległ się dzwonek, telefon rwał się, jakby chciał

wyskoczyć. Krysia podeszła do skórzanej aktówki i, brodząc ręką w dokumentach, zaczęła szukać małego, prostokątnego urządzenia.

– Halo, Sadowska – powiedziała, nie zerkając na wyświetlacz.

– Krysia... – Charkotliwy głos kolegi z pracy, przypomniał jej o obowiązkach. Tak bardzo nie chciała mieć tych obowiązków. W tym momencie pozazdrościła wszystkim emerytom i bezrobotnym.

– Przyjedź na róg Farnej z Rynkiem.

– Co znowu? Jest dwudziesta trzydzieści, mnie też należy się odpoczynek, nie sądzisz? – Tak bardzo jak lubiła Leona Krajewskiego, tak bardzo w tym momencie chciała przerwać rozmowę, pokłócić się z nim i wyłączyć telefon.

– Ozorek! Masakra jakaś.

Leon był nieugięty. Wiedział, że Krysia przechodzi teraz trudny okres, był blisko niej, bliżej niż ona myślała. Rozumiał ją, czasem bez zbędnych słów. To on jako pierwszy poinformował Krysę, że Jarek dostał zawału i został przewieziony do szpitala. To Leon był w tym przeklętym dniu w sądzie i przywiózł Flaminga na rozprawę. Flaming to gnieźnieński recydywista. Oszust wyłudający kredyty. Złapany na gorącym uczynku przez pracownice banku. Chciał posłużyć się skradzionym dowodem osobistym. Tym samym wpadł jak śliwka w kompot. Skradziony dowód okazał się dokumentem tożsamości stryja pracownicy banku. Kiedy Leon odstawił łotra na salę sądową, na korytarzu pod drzwiami dwieście trzy, gdzie Krysia zmagala się z oszustem „na wnuczka”, stał jej mąż. Miał wielki bukiet czerwonych róż. Na oko Leona jakieś pięćdziesiąt, może i więcej. Leon podszedł do niego, zapytał jak zdrówko. I wtedy Jarek mocno schwycił się za serce, bukiet czerwonych róż wypadł mu z ręki.

Karteczka z napisem „Kryisia, kocham Cię” umieszczona na bukiecie pofrunęła jakieś trzy metry dalej.

Potem pogotowie, szpital i zakład pogrzebowy. Kryisia, obecna na rozprawie, nie miała o niczym pojęcia. To on reanimował Jarka, a następnie musiał ją zawiadomić o jego śmierci. Widok załamanej i bezradnej Kryisi, jej zrezygnowana mina, mina jakby skończył się świat, do końca życia pozostanie w jego pamięci.

– Co ty pieprzysz? – krzyknęła do słuchawki.

– Przyjedź, to nie jest rozmowa na telefon. Znaleźliśmy ludzki język, wyszarpany i zakolczykowany. Zawijaj kiece, czekamy.

– Co ty bredzisz, Leon!

– To co słyszałaś. Jest język, nie ma ciała. Kryisia, czekam.

– Nie wierzę. Co to, kurwa, jest? Poczekaj, już lecę. O ja pierdołę.

Takich wulgaryzmów używała w skrajnych przypadkach, a mogła je w swoim życiu policzyć na palcach jednej ręki. Roztrzęsiona wiadomością od Leona otrzepała plisowaną spódniczkę, otarła łzy i wybiegła z wiejskiej chatki. Miała do przebycia jakieś trzydzieści kilometrów, gnała przed siebie. Jedyne czego żałowała w tym momencie to tego, że w Jarka suzuki samuraju nie ma twardego szyberdachu, tylko stara, miejscami poprzedziera plandeka. Gdyby dach był wykonany z blachy, mogłaby umieścić na nim przenośnego koguta.

W Witkowie dość długo stała na krzyżówce. Z bezradności i nudów przeglądała się w przednim lusterku. Gdyby miała przy sobie pomadkę, z chęcią by jej użyła. Zerknęła w boczne lusterko, bo w przednim odbijała się tylko szara plandeka. Popatrzyła na

kierowcę, który siedział w samochodzie stojącym tuż za nią. W lusterku odbijały się jego wielkie, niebieskie oczy. Była pewna, że już je gdzieś widziała, może nawet kilka razy. Hipnotyzowały ją. Były tajemnicze i przenikliwe. Dziwne. Na tle śniadej cery jego błękitno-niebieskie oczy przypominały brzeg morza na lazurowym wybrzeżu. Na skórze Krystyny zjeżyły się włosy, i nie było to wynikiem otwartego okna i wieczornego chłodu. W spojrzeniu mężczyzny wypisana była wyjątkowa tajemnica.

W dłoni kurczowo trzymała teczkę z zebranymi dowodami, których było niewiele. Krystyna Sadowska wtargnęła do pokoju dwadzieścia siedem, gdzie Leon Krajewski pseudonim Bolo i Włodzimierz Leśniak, potocznie nazywany Widziu, rozmawiali, próbując ustalić motyw sprawcy – w najlepszym wypadku samego sprawcę. Lista podejrzanych z minuty na minutę się wydłużała. Wieści o znalezionym w śmietniku, siłą oderwanym języku z kawałkiem krtani, rozeszła się po Gnieźnie z prędkością światła. Średnio co pięć minut na policyjny numer faxu przychodziły z innych posterunków nowe informacje o rzekomym sprawcy. Telefon prawie eksplodował od nadmiaru połączeń. Leon w rezultacie odłożył słuchawkę tak, żeby nikt nie mógł się dodzwonić. Nie miał ochoty kolejny raz słuchać dziwnych opowieści, że na terenie Gniezna grasuje wilkołak. Albo że sąsiad przebiera się w nocy za Draculę i morduje mieszkańców miasteczka. Na zegarze wybiła dwudziesta trzecia pięćdziesiąt, kolejna wypita mała czarna nie pozwalała im zasnąć i ochłonać.

– I dobrze – powiedziała Krystyna, widząc ich wielkie jak pięć

złotych oczy.

– Co dobrze?

– A nic tam, mówię sama do siebie. Coraz częściej mi się to zdarza, chyba zaczynam świrować.

– Krysia, przejdzie ci, zapomnisz. Nie rozpamiętuj tego, na co w tym momencie nie masz wpływu.

Krysia nie podjęła tematu.

– Słuchajcie, czas nas goni. Mamy wyrwany, najprawdopodobniej siłą, język. Nie mamy ciała poszkodowanej, nie wiemy czy jeszcze żyje, ale wszystko wskazuje na to, że język należy do zatrudnionej w kawiarence Incognito kierowniczką, Dominiki Patyczak. Co ustaliliście? Udało wam się w ostatniej dobie kogoś przesłuchać? Coś już wiecie? Cokolwiek?

– Na razie echo, znaczy się śmiech na sali. Kilka anonimowych telefonów z trywialnymi informacjami. Parę faksów, ale to nic specjalnego. Nie ma ciała, więc to nie będzie proste śledztwo. Tak jak wspomniałaś, język ozdobiony srebrnym kolczykiem z czerwonym oczkiem należał do Dominiki Patyczak. I to jest pewne, potwierdził to medyk sądowy i technicy. Kierowniczka o bardzo despotycznym charakterze. Miała więcej wrogów niż włosów na głowie. Można by wymieniać w nieskończoność. Spójrz na listę. – Leon podsunął Krystynie białą kartkę z zapisanymi drobnym maczkiem rzędami imion i nazwisk.

– Na tym etapie nie wiemy, kto mógłby to zrobić i czy Dominika Patyczak jeszcze żyje. Sprawca mógłby uszkodzić jej przetyk, mogło dojść do przerwania żyły głównej, mogła mieć żyłki przetyku i umrzeć na miejscu. Może żyje i w tym momencie jest obdzierana

ze skóry? Można by tu domniemywać w nieskończoność. W stu procentach nie można stwierdzić, że Dominika Patyczak nie żyje. Cały czas jej szukamy. Rozmawiałem z jedną z kelnerek zatrudnionych w kawiarence, niejaką Ewelina Wąs, powiedziała mi niewiele. Jest w szoku. Druga pracownica, Marzena Madaj, będąca w tym dniu w pracy razem z Ewelina, leży obecnie w szpitalu. Jej organizm nie poradził sobie ze stresem, widok był odrażający, zresztą sama wiesz. Lekarze wprowadzili ją w stan śpiączki farmakologicznej, jak na razie nie ma z nią kontaktu.

– Kiedy planują ją wybudzić?

– Za tydzień, dwa, na ten moment pozostała nam Ewelina Wąs.

– Tydzień, dwa? – Krystyna się zatrwożyła, zmarszczyła brwi, przez co wyglądała jak wkurzony lew. – Za tydzień chce mieć koniec śledztwa i nie zamierzam go umorzyć.

– Mam nadzieję, że prędzej czy później dowiemy się czegoś więcej. To kwestia czasu.

Krystyna spojrzała na listę podejrzanych. Faktycznie, to co powiedział Leon, okazało się prawdą. Lista zdawała się nie mieć końca.

– Zauważysz listę podejrzanych?! – Zniecierpliwiona prawie krzyknęła. Potem jakby się zreflektowała – Kurczę, zauważcie to, bo do świąt Bożego Narodzenia tego nie rozszyfrujemy.

Po raz pierwszy zachrypnięty głos kolegi ją drażnił. Być może od wczoraj już była poirytowana, a może rozeźliło ją to, że Basia poprzedniego dnia po głupiej sprzeczce nie wróciła na noc do domu. Sama nie wiedziała, co się z nią dzieje i co ją drażni. Po śmierci Jarka nie potrafiła znaleźć swojego miejsca na ziemi.

– To ci zawęzę, bez stresu – powiedział Leon jeszcze bardziej zachrypniętym głosem. W dodatku drapał się po łysej głowie i najprawdopodobniej nie wiedział, co chce powiedzieć.

Krystynę oblażyły wyimaginowane mrówki, chciała rzucić szarą teczkę na podłogę i wyjść. Leon Krajewski udając, że nie widzi jej zdenerwowania, kontynuował:

– W pracy była nielubiana, generalnie każda z zatrudnionych tam dziewczyn źle jej życzyła.

– Ile było zatrudnionych w kawiarence?

– Łącznie z Dominiką cztery: Ewelina Wąs, Marzena Madej, Kamila Stos, z tym że Kamila przychodziła do kawiarenki tylko wtedy, kiedy było więcej pracy. W dodatku od tygodnia miała urlop. To cały kwartet, który tam pracował. Dominikę wykluczamy, wiadomo, sama by się nie okaleczyła. Zresztą nawet jeśli, to raczej bez języka nie pokazałaby się na ulicy, podobno dbała o każdy szczegół w swoim wyglądzie – dodał, spoglądając wymownie na Krystynę.

– Sprawdźcie tę Kamilę Stos. I to jak najprędzej.

Leon kiwnął głową na znak, że przyznaje Krystynie rację.

– Dominika mieszkała w kamienicy, która niby szła do rozbiórki. Wychodzi na to, że właściciele tej kamienicy też nie lubili swojej lokatorki. Sąsiadka wręcz jej nie znosiła. Tak twierdzi Ewelina Wąs. Nie wiem ile w tym prawdy. Co tam jeszcze, co tam jeszcze... – Leon znów drapał się po głowie. Krystyna zwróciła się do drugiego kolegi.

– Widzisz, może ty coś ustaliłeś?

– Od dwóch miesięcy uczęszczała do szkoły językowej.

Szlifowała język włoski. Ponoć wyjazd do Włoch był jej marzeniem. Dziś rano przeszukaliśmy jej mieszkanie. Niestety nic specjalnego nie znaleźliśmy, nie była typem samotnika, ale przyjaciół miała niewielu.

– Nic nie znaleźliście? Co ty pieprzysz? Komputer, laptop, maile, telefon, stare fotografie? Bibeloty? Wszystko jest ważne!

– Telefon zapewne miała przy sobie, nasi koledzy z cyber próbują go namierzyć. Komputer i laptop w telefonie, takie czasy, wszyscy tak mają. Cały czas szukamy punktu zaczepienia. Na razie odbijamy się jak piłeczka pingpongowa.

Widziu na moment się rozmarzył, uwielbiał grać w ping-ponga, generalnie wszystko mu się z tym kojarzyło. Wszystko, co go spotykało, sprowadzał do gry w ping-ponga. Widząc minę Krystyny, szybko się zreflektował.

– Krysia, spokojnie. Ruszemy z miejsca, daj nam czas.

– Coś jeszcze? – Tym razem Krystyna spojrzała w sufit, wyglądało na to, że z góry założyła, że Leon z Włodzimierzem nic więcej jej nie powiedzą. W pokoju nastąpiła niezręczna cisza. Po chwili Widziu kontynuował:

– Co jeszcze? – powtórzył pytanie Krystyny, żeby wypędzić z pokoju narastające napięcie. – Na kursie języka włoskiego grupa, do której trafiła Dominika, nie wiedzieć dlaczego, hejtowała ją. Nikogo nie mogła sobie zjednać. Wiecznie wystrojona damulka. Ludzie takich osób nie lubią.

– Debilizm! – Krystynie nie dopisywał humor. Policjanci nie lubili jej w takiej wersji. Leonowi zachciało się śmiać, ponieważ Włodzimierzowi krótkie „debilizm”, wypowiedziane przez

rozkapryszoną prokurator, wyraźnie zatkało gębę. Postanowił go wyręczyć.

– We wczesnej młodości miała powiązania z grupą satanistyczną, ale bardzo krótko. Nie możemy ustalić tożsamości jej rodziców, ani żadnych koniugacji rodzinnych, nie pochodziła z Gniezna. Mieszka tutaj od czterech lat, ale pochodziła z Wrześni. Tyle!

Krystyna, na samo słowo Września, poczuła silny skurcz żołądka. Leon wiedział, że tak będzie. Dlatego tę informację chciał zostawić na później. Potem oblała się rumieńcem. To z tej miejscowości pochodziła, to tam mieszkał i cały czas mieszka jej Ryszard, to tam zostawiła swoje serce. Starła się zachować powagę, ale ten kto ją znał wiedział, że to ją bardzo dużo kosztuje.

– Trzeba odszukać jej korzenie, rodzinę. Odnaleźć i przesłuchać członków grupy satanistycznej. O ile jeszcze są satanistami, podobno z tego się wyrasta – oznajmiła, myśląc z nadzieją o Basi.

– To ideologia, nie wiem czy tak się wyrasta. Jak zło zamieszka w człowieku, to puszcza silne korzenie.

– Może ktoś z tej sekty maczał w tym palce? Ludzie tego pokroju organizują czarne msze, kochają pentagony i inne tego typu zabawy.

– Widziu zabrał głos i spojrzał dumnie, jakby oczekiwał oklasków.

– Może... – Krystyna się zamyśliła. – Może to ktoś z włoskiej mafii, może z polskiej. Może Dominika miała z nimi jakieś powiązania? W końcu uczyła się tego języka.

– Myślisz? – Leon podrapał się po podbródku.

– Słuchajcie, nie jest tajemnicą, że oni dopuszczają się takich czynów. Wydłubują oko, bo ktoś za dużo widział, obcinają języki, bo

ktoś za dużo powiedział. Ucho, jak ktoś za dużo słyszał. Takie mają schematy.

– To co, chcesz w to zaangażować włoską policję?

– Gdyby Patyczak miała obywatelstwo włoskie, to by było łatwiej zaangażować w to śledztwo włoską policję, ale sami wiecie, jak oni pracują. Sami musimy to ogarnąć. Proszę abyście jeszcze raz przeszukali jej mieszkanie, zdjęcia, stare fotografie. Pamiętnik, klaser, kurwa, cokolwiek. Leon, na Boga!

– Jasne, wszystko jasne, cierpliwości. Daj sobie na wstrzymanie, niecała doba upłynęła od tego bestialskiego czynu. Od razu Krakowa nie zbudowali!

– Dobra, bez nerwów. – Krystyna samą siebie chciała uspokoić. Raz jeszcze przestudiowała listę podejrzanych. Teraz wydała jej się bardziej czytelna, a nawet krótsza. Może dlatego, że Bolo i Widziu bardziej nakreślili jej najważniejsze informacje o zaginionej właścicielce języka. – Jak to kamienica „niby do rozbiórki”? Nie rozumiem, Leon, weź wytłumacz mi to wielkimi literami.

Dopiero teraz spostrzegła na liście znajome jej nazwisko: Przemysław Majewski! Wiedziała mniej więcej, co w trawie piszczy. Afera z braćmi Majewskimi goniła aferę, jednak nikt nie mógł znaleźć na nich haka. Nadal byli bezkarnymi, opiewającymi w luksusach, gnieźnieńskimi biznesmenami. Potrzebowała bardziej szczegółowych informacji. Sama nie wiedziała, jak zakończyła się sprawa z wyrzuconymi na bruk lokatorami, o której było głośno nawet w telewizji. Nie śledziła tego.

– Co ci mam powiedzieć? Nie udawaj, że nie wiesz. Mieszkasz w Gnieźnie, to znasz braci Majewskich. Co roku kupują kamienicę

i co roku przekształcają ją na hotel, wykurzając przy tym lokatorów. Sprawa była nagłośniona w „Sprawie dla dziennikarza”, ale wszystko po czasie umilkło. Nadal tak robią.

– Łotry. Myślicie, że mogliby mieć z tym coś wspólnego?

– Kamienica przy ulicy Dąbrówki, w której Dominika Patyczak wynajmowała mieszkanie, jest najprawdopodobniej ostatnią kamienicą, której Majewskim cały czas nie udaje się przerobić na hotel. A to tylko i wyłącznie dlatego, że Dominika Patyczak i mieszkająca tam Teresa Rosenberg, dwie ostanie, w dodatku bardzo niewygodne, lokatorki, pozostawały nieugięte. Drzwiami wyrzucane, wchodziły oknem. Wiesz, na zasadzie: na złość, a będziemy mieszkać. Choćby im gwoździe pod bosc nogi rzucali, to one po nich chodziły i miały właścicieli w nosie.

Krystyna uważnie słuchała, więc Leon kontynuował:

– Bracia Majewscy. Jeszcze przed niecałym rokiem stosowali się do różnych chwytów poniżej pasa, na przykład wyłączyli lokatorom wodę na dwa miesiące, tłumacząc się, że jest jakaś tam nieistniejąca awaria. Po paru dniach rozłożyli na korytarzu wielkie drewniane bale, tym samym tarasując przejście do mieszkań. Nie można było swobodnie się poruszać. Wtedy też znajdowali super wytłumaczenie, a mianowicie mówili, że będą remontować dach. Prawie wszyscy mieszkający w kamienicy lokatorzy pouciekali. Zwłaszcza kobiety w ciąży i te z wózkiem. Jedynie Teresa Rosenberg i Dominika Patyczak chciały pokazać, że są nie do wykurzenia. I pokazały. Z tym, że Patyczak zniknęła. Teresa Rosenberg to dziewięćdziesięcioletnia staruszka, schorowana i samotna. Nie wiadomo, ile jej tam jeszcze zostało. To Dominika stanowiła dla braci

Majewskich prawdziwą przeszkodę. W dodatku widywano ją tu i ówdzie z jednym z nich, tym starszym Majewskim. Jednak to poszlaki i nie do końca sprawdzone informacje, zero faktów.

– Zdaje się ten starszy to Przemysław? – podsunęła Krystyna. Doskonale wiedziała, że najstarszy Majewski ma opinię flirciarza, w Gnieźnie mówiono o nim, że dyma wszystko, co się rusza. W dalekiej przeszłości miała okazję osobiście poznać tego typu. Do dziś na swoich pośladkach czuła jego spocone, gorące dłonie. Nie na rękę jej było brnąć w to śledztwo, rozgrzebując takie gówna. Nie rozmawiali jeszcze z żadnym z Majewskich, a już czuła smród.

– Dokładnie tak. Z tego co wiem, to Majewscy trudnią się czym popadnie, nawet lichwą. Oczywiście od wszystkiego umywają ręce, wszystko co robią, robią w białych rękawiczkach. To znaczy mają swoich mułów. Nieuchwytni.

– W takim razie oni jako pierwsi idą na odstrzał. – Bolo wstał od biurka i skierował się w stronę stołu z dzbankiem wypełnionym zimną herbatą. Nalał sobie płynu i przez ułamki sekund stał się niedyspozycyjny i tym samym usprawiedliwiony. Pił wielkimi łykami, jakby wrócił przed momentem z Sahary.

Powieki Krystyny powoli przestawały być posłuszne. Zielone oczy, które zazwyczaj miały czysty błysk, w tym momencie raziły matem. Widziu trzymał w ręce zdjęcie blado sinego języka. Patrząc na nie miał ochotę zwymiotować. Pracował w policji kilkanaście lat, ale po raz pierwszy miał do czynienia z czymś tak makabrycznym. W dodatku czyn miał miejsce w jego rodzimym mieście.

– Podziwiam odwagę Hannibala – wydukał, dławiąc się śliną.

– Chcesz? – Leon chciał poratować kolegę szklanką wody.

– Nie, dzięki.

– Słuchajcie, jest późno, nie ma co gdybać. Sprawdzamy monitoring. Dokładnie, sekunda po sekundzie. Ktoś musiał wrzucić ten język do blaszanego śmietniczka. Miejskie kamery musiały coś zarejestrować. Bo te w kawiarence, to ponoć atrapy! Macie nagranie? – Krystyna dopytywała, przecierając oczy.

– Mamy. Już coś tam przejrzałem. O godzinie czternastej w kawiarni zrobił się tłok, jeden wielki chaos. Nie było widać śmietnika, ludzie obecni w kawiarni chyba byli w zмовie i celowo go otoczyli. Jedno wielkie koło utworzone przez przechodniów i gości kawiarenki. Nie wiedzieć dlaczego. Zbieg okoliczności? Niektórym to nawet dobrze twarzy nie widać. To nie będzie takie proste śledztwo. Choćbyśmy się zesrali, to nie uda nam się przesłuchać wszystkich gości obecnych tego dnia w kawiarence, o przechodniach nie wspomnę. Czeka nas niezły seans.

– Pomyśleć, że tydzień temu opłaciłem Netflix'a. Rany! – Włodzimierz się zaśmiał.

– Nie miejsce i nie czas na żarty, ale Widziu, przyznaję, to było śmieszne. – Na Krystyny ustach pojawił się blady uśmiech. – Skoro oglądałeś z grubsza te nagranie, to...? Ktoś wyjątkowo podejrzany przykuł twoją uwagę? – zapytała ziewając. Prokurator Sadowska nie przestawała przecierać oczu.

– Tutaj cię pocieszę. Tak, nawet dwóch albo i trzech. Z tym że jeden gościu najbardziej przykuł moją uwagę. W dodatku znam go z widzenia, ty też go znasz. Jest na liście. Henryk Zawisza, stary gnieźnieński DJ, obecnie nigdzie nie pracuje. To znaczy dorabia dorywczo na weselach i festynach. Siedział w kawiarence od

samego rana, potem na moment wyszedł. Szedł za Dominiką jakieś kilkadziesiąt metrów. Potem wkroczyli na ulicę, na której nie było monitoringu. Około szesnastej wrócił do kawiarenki i siedział w niej przy jednym kuflu piwa, aż do samego zamknięcia. Chociaż tłumaczy go to, że był to jego codzienny rytuał. Tak właśnie spędzał wolny czas. Kawiarenka Incognito od rana do wieczora, z małą przerwą na spacer po uliczkach pierwszej stolicy. Hmm... – Włodzimierz na moment się zamyślił. Analizował to, co przed chwilą powiedział.

– Co w tym jest dziwnego? Zapytała Krystyna, bo już nie dochodziły do niej żadne informacje. Była zmęczona.

– To, że bacznie ją obserwował. Krysia, rozważam każdą możliwą opcję. Jest jeszcze jeden podejrzany gościu, w ten dzień rozmawiał z Dominiką. Stał przy płótkach i ewidentnie ją zaczepiał, przerywał jej pracę. Ona wydawała się nie być zainteresowana rozmową z nim. Po chwili odszedł i już nie wrócił. To było mniej więcej o godzinie jedenastej. Kelnerki zeznały, że Dominika około godziny dwunastej w południe odebrała telefon i nagle, ni z gruszki, ni z pietruszki, jak nigdy, oznajmiła przestraszona, że musi wyjść. To był pierwszy raz, jak opuściła miejsce pracy bez podania ważnego powodu.

– Pod latarnią najciemniej. Co to za gościu, ten, który rozmawiał z Dominiką przez parkanik?

– Dowiem się.

– Sprawdzajcie, sprawdzajcie i szukajcie. Podobne zbrodnie w ostatnim czasie? – Zmęczenie zmusiło Krystynę do zadawania

pytań wyuczonymi sloganami z książki. Była zmęczona, w dodatku nic w tym śledztwie nie było oczywiste i jednoznaczne.

– Kilka lat temu oderwana ręka, ciała nigdy nie odnaleziono. Dwa lata wcześniej pływające oko na Jeziorze Powidzkim, pamiętasz?

– Tak. To śledztwo również zostało umorzone z braku dowodów. Z tym, że to inne województwo.

– Pięć lat temu dwie zaginione nastolatki. Nigdy nie odnaleziono. No i kilkanaście lat temu twoja sąsiadka, Sandra Malinowska.

– Już nie przesadzaj. Co ty tworzysz za seriale? Tasiemce jakieś. To nie „Moda na sukces”.

– Pytasz, odpowiadam.

– Może jeszcze mnie oskarżysz?

– Faktycznie jesteś dzisiaj zgryźliwa, idź się wyspać powiedział niby w żartach, ale nie żartował.

– Czy to jakiś psychopata chce o sobie przypomnieć? Oby to nie była prawda, psychopaci zazwyczaj są nieuchwytni.

Na te słowa Włodzimierza, Bolo z wielkim hukiem odłożył pustą szklankę do zlewozmywaka i wrócił na swoje krzesło.

– To się okaże. Mam nadzieję, że prędzej czy później odnajdziemy ciało. Kurczę, musimy, bez dwóch zdań! Może faktycznie za wszystkimi niewyjaśnionymi zbrodniami stoi jedna i ta sama osoba?

– Za moment dziennikarze nas zjedzą, a pierwsza stolica straci turystów.

– Albo i zyska. Wiesz, ludzi ciągnie do zła. To znaczy do czegoś, co jest inne – poprawił się Widziu.

– Chłopcy, bez przekomarzania się. To co? Jakie macie na jutro

plany? – Spojrzała na Leona.

– Ja bym pojechał do sąsiadki Dominiki, Teresy Rosenberg. Może się dowiem czegoś ciekawego. Może ktoś odwiedzał Dominikę? Może ktoś podejrzany? I jeszcze raz wyślemy ekipę do mieszkania poszukiwanej, niech plądrują.

– To ja sprawdzę szkołę Alfę, wykluczmy to, co nam zalega na liście i jest dopisane ołówkiem.

– W takim razie mnie przypadło to najgorsze, czyli wizyta u Majewskiego. Los się na mnie mści.

Krystyna bezradnie opuściła ręce.

– Jak chcesz... – Leon zrobił słodki dzióbek. – To ja mogę...

– Spoko, dam radę, trochę adrenaliny mi nie zaszkodzi. Może potrzebuje tego bardziej niż mi się wydaje. Chłopacy, pamiętajcie zasadę, że diabeł tkwi w szczegółach.

– To ja wiem, Kysiu, wszystko wiem.

– I przesłuchaj raz jeszcze Ewelinę Wąs i przede wszystkim Kamilę Stos. Jak będzie trzeba to nawet kilka razy. Najlepiej jak pojedziesz do Eweliny i wypytasz o Kamilę. – Jeszcze raz zwróciła się do starszego aspiranta Leona Krajewskiego: – Nie narażaj jej na stres i nie zapraszaj tutaj. Dosyć już przeszła.

– Jasne, szefowa.

– Chcę kawy – rzuciła na samym końcu i powtórzyła: – Naprawdę chcę kawy.

– Trzeba było tak od razu. Mówisz, masz. Z tym, że zimna. – Bolo podsunął jej pod sam nos nieupity kubek swojej kawy. – Zrobiłem sobie, ale wybrałem herbatę, zresztą też zimną.

Nie lubił, kiedy Krystyna była taka oficjalna. Rozumiał to, ale

w takich momentach czuł do niej awersję. Wolał ją w wersji pogubionej, oczekującej pocieszenia, małej dziewczynki.

– Nieważne, kofeina w każdej postaci jest cool. Dawaj. Jakbyście przy okazji zobaczyli jutro na ulicy moją córkę, to proszę, aresztujcie ją. Gówniara okłamuje mnie, wmawia, że ma egzaminy.

– A nie ma?

– Podjechałam do szkoły i okazało się, że nikt z tego rocznika nie ma egzaminu komisyjnego, dlaczego ona mnie okłamuje? Kłamie mi w oczy i myśli, że będę to łykać, jak świeże bułeczki. Co ja mam z nią zrobić?

– Przełożyć ją przez kolana?

– Nie mogę się z nią dogadać. Podstarzała alternatywka, już dawno powinna z tego wyrosnąć. Kto to w ogóle wymyślił?

– Postęp – odpowiedział Leon Krajewski. – Postęp to wymyślił. – Spojrzał na nią, zmrużył oczy. – Twój mąż dawał sobie z nią radę.

Poczuł, że zastrzelił tym stwierdzeniem Krysę. Pożałował tych słów, jednak nie zaprzestał dyskusji.

– Aresztować? Ona ma prawie osiemnaście lat, za moment nic nie będziesz mogła! Weź się za nią póki możesz, są przecież specjalne ośrodki do takiej problematycznej młodzieży. Ile ci jeszcze zostało? Niecałe pół roku? A zegar bije. Ding dong!

– Nawet mnie nie denerwuj, chociaż ty, błagam. Jutro jadę do Majewskiego, bogacza i potentata. W podstawówce trzy razy powtarzał klasę. I na co było mi się uczyć? Może faktycznie to nie ma sensu?

– Ja tego nie powiedziałem. – Bolo zauważył z uśmiechem na ustach. Cieszył się, że napięta sytuacja się wyklarowała. Był rad, że

Krysia nie zwróciła mu uwagi po niesmacznym komentarzu. A propos Jarka, Basi i cudownej więzi, która ich łączyła. Było mu wstyd, że pozwolił sobie na taką spontaniczną, intymną wypowiedź w towarzystwie drugiego gliny. Włodzimierz nie był tak blisko z Krystyną, jak Leon. Wiedział, że z Basią są problemy, ale nie był tak głęboko wtajemniczony w rodzinne sprawy Krysi.

Krysia z bezradności i niemocy zareagowała na to obojętnością. Wiedział, że w jej sercu się kotłuje.

– Ja to powiedziałam. Sama się biczuje. Dobra, chłopaki... – Krystyna wypłała chłodną kawę jednym duszkiem. – Przynajmniej nie zasnę za kierownicą.

Zaczęła się żegnać.

– Ja spadam. Na zegarze dochodzi północ, normalni ludzie o tej porze śpią. Do juterka.

– Do juterka. Trzymaj się i niczym nie przejmuj. Dzieci rosną, potem będzie tylko lepiej.

– Dzieci rosną – powtórzył Widziu niczym echo, chociaż sam nie dorobił się potomstwa. Krystyna sprzedała im sztuczny uśmiech.

– Rozumiem, trzeba wystąpić do operatora, aby udostępnił nam bilingi. Damy chłopakom z wojewódzkiej robotę. Zróbcie to teraz, bo na to się czeka czasem i kilka dni. – powiedziała na odchodne.

– Oni już wiedzą i działają – oznajmił Bolo.

Krystyna już tego nie słyszała, zdążyła wyjść.

Leon był w szoku, że prokurator aż tak się miota. Nie szło z nią porozmawiać, jakby podczas tej rozmowy tak naprawdę nie była obecna

Już w samochodzie miał ochotę zdjąć podkoszulkę i jechać ulicami Gniezna na golasa. Tegoroczne, czerwcowe upały nie były dla nikogo łaskawe, a Leon Krajewski, posługujący się pseudonimem Bolo, to człowiek zimnego chowu. Kochał chłód, a upały w tym roku sprawiły, że czuł się jeszcze bardziej pokrzywdzony, niż w zeszłym sezonie. Jak to jego żona mawiała? Że był z niego „ruski ziomał”. Nawet w mroźne zimy nie chadzał w okryciu wierzchnim, tylko w marynarce i w dodatku odpiętej. Pod nią podkoszulek, ewentualnie T-shirt. Nie zmieniało to faktu, że w swojej garderobie posiadał jeden czarny płaszcz z flauszu. Jadzia namówiła go na zakup, kiedy jej ojciec leżał obłożnie chory w szpitalu i lekarze nie dawali mu żadnych dobrych rokowań. Na szczęście staruszek wykaraskał się z choróbka. Leon, w tajemnicy przed żoną, sądził, że stary wyga wszystkich przeżyje.

I tak wiszący w trzy drzwiowej szafie, gdzieś na samym końcu, czarny flauszowy płaszcz nie doczekał się debiutu.

Pot ściekał po czole Leona, a jak na złość klimatyzacja w jego ukochanym czerwonym Pt Cruiserze odmówiła posłuszeństwa. Nie wiedział do kogo miał mieć o to pretensje. Przeklął pod nosem i wystawił łokieć na zewnątrz. Miał gdzieś, że jadący z naprzeciwka kierowcy w bardziej prestiżowych furach, widząc go, głupio się uśmiechali.

Zaparkował na strzeżonym parkingu niedaleko ulicy Dąbrówki. To w jednej z kamienic mieszczącej się na tej ulicy wynajmowała mieszkanie Dominika Patyczak. W tym dniu samochody były ściśnięte na krawężnikach jak sardynki w puszcze. Bolo nie miał za wiele czasu, by urządzać bezsensowne bujanki, szukając wolnego

miejsca dla swojego wiśniowego „pita”. Miał w pompie, czy za dwugodzinny postój zapłaci dziesięć złotych parkingowemu boyowi, czy sześć złotych w parkometrze. Jego jedynym pragnieniem było stanąć w progu chłodnego mieszkania starej kamienicy, w której mieszkała sąsiadka zaginionej – Teresa Rosenberg. Miał nadzieję się schłodzić i czegoś dowiedzieć Czegoś, co pomogłoby ustalić, odnaleźć i doprowadzić przed sąd oprawcę Dominiki Patyczak. Bolo wyszedł z auta, ale zaraz się cofnął, gdy buchnęła na niego gorąca fala powietrza.

Szybkim krokiem przemierzył ulicę, docierając przed wejście najuboższej kamienicy w Gnieźnie. Obskubany tynk i brudne okna z częściowo oberwanymi, szarymi od kurzu firankami, raziły go w oczy jak czerwcowe słońce. Wszedł przez bramę, która zapraszała go zapachem zwiędłego moczu. O domofonie w tej kamienicy mieszkańcy mogli pomarzyć. Właściciele faktycznie nie dbali o obejście. To była jedyna tak zaniedbana kamienica w pierwszej stolicy. Zaniedbanie to było celowe, bo nie można powiedzieć, że było wynikiem braku funduszy. Wspiął się kręconymi, drewnianymi schodami na górę i stanął przed drzwiami mieszkania pani Teresy Rosenberg. Zdobit je okazałych rozmiarów, złoty numer czterdzieści pięć, umieszczony na samym środku dębowych drzwi. Zapukał, i czekał. Słyszając za drzwiami ciche krzątanie, postanowił nie ponawiać pukania.

Nikt mu jednak nie otworzył. Po chwili ujrzał mały, biały włącznik z narysowanym dzwonkiem – uśmiechnął się i pogłaskał po sporym brzuszku. Próbował odkleić przywartą wraz z potem podkoszulkę. Jeszcze raz spojrzął na biały włącznik. Przypomniał sobie czasy

dzieciństwa, kiedy raz w tygodniu, przeważnie w piątek, odwiedzał, mieszkającą w kamienicy podobnej do tej, swoją babcię Zdzisławę. Zawsze miał wtedy dylemat: czy białe włączniki umieszczone przy drzwiach służyły do włączenia światła i oświetlenia ciemnego korytarza, czy jako prywatny dzwonek zwiastujący nadejście gości. Zawsze bał się tego sprawdzić. Raz się odważył i dostał od sąsiadki babci porządną reprimendę Pani Władysława nie przebierała w słowach. Nieważne dla niej było to, czy Leon jest małym dzieckiem i mógł się pomylić. Dla niej najważniejsze w tamtym czasie było to, że Leon zerwał ją z fotela i zmusił do przerywania ulubionego serialu „Izaura”. Wredne, samotne babsko, które szukało tylko zaczepki. Od tego czasu, będąc w kamienicach, wolał pukać niż dzwonić. Po parunastu sekundach jego zadumy ukazała się, w lekko uchylonych drzwiach, mała, zgarbiona staruszka w siwych loczkach. Nawet nie słyszał, kiedy się otworzyły – wspominał, rejestrował wewnątrz korytarza, a przede wszystkim włączniki. Spoglądał też na zaplombowane żółtą taśmą drzwi od mieszkania Dominiki. Wiedział, że za jakąś godzinkę jego znajomi technicy policyjni i policjanci z kryminalistyki kolejny raz tutaj zawitają. I miał nadzieję, że tym razem coś znajdą.

Niska, zgarbiona staruszka ubrana była w niebieski fartuszek pokryty kwietną łąką, z dwoma, symetrycznymi kieszonkami po bokach. Wyglądała nadzwyczaj łagodnie, a nawet rozkosznie.

– Witam. Czekałam na pana – powiedziała bez większego namysłu.

– Również witam. Starszy aspirant Leon Krajewski. Możemy porozmawiać?

– No, chyba po to pan tu przyszedł, nieprawdaż?

– Tak, dokładnie. To co, wpuści mnie pani do mieszkania? – zapytał, kiedy kobieta świdrując go wzrokiem nie wykonywała żadnego gestu.

– Zapraszam. – Otworzyła drzwi na oścież. W mieszkaniu unosił się zapach świeżo zrobionej konfitury truskawkowej. Bolo wszedł pewnym krokiem jak do siebie.

– Ale zapach, jak kiedyś u mojej babci. Truskawki?

– Tak, dziś z samego rana byłam na targowisku. Chciałam zdążyć z zakupami przed panem. Reflektuje pan na konfiturkę? Jest pyszna.

– Jasne.

Kobiecinka skryła się w kuchni. Zza wielkich oszklonych drzwi, Bolo obserwował skrawek niebieskiego materiału, z którego uszyty był fartuch. Staruszka tańczyła przy piecu kaflowym i, uderzając haczykiem w fajerki, wydawała nieprzyjemne, nieobce Leonowi dźwięki. Spojrzał na ścianę na której wisały stare portrety nieznanym mu osób. Była też niezła kolekcja myśliwskich trofeów i kilka starych wiszących zegarów. To wszystko przywołało w nim obrazy z dzieciństwa. Podobny wystój gościł w mieszkaniu jego babci. Podobny stary kredens z kolekcją kryształów, szafonierka, w której babcia trzymała wykrochmalone serwety i pościele. Oraz powojenna szafka z porcelanową zastawą. Zamknął oczy. Wydawało mu się, że kolejny raz odpływa, jednak starsza kobiecinka w siwych loczkach nie pozwoliła mu na to. Wyłoniła się z kuchni ze srebrna tacą, którą ścisnęła w dłoniach jak największy skarb.

– Słucham. – Spoczęła na pikowanym fotelu z bordowego

weluru, naprzeciwko policjanta. Wcześniej płożyła na stole tacę. Stał na niej dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą, dwie puste filiżanki i talerzyk z herbatnikami. Oraz miseczka z konfiturą. – Proszę się częstować. Uwielbiam maczać herbatniki w konfiturze, kiedyś to był rarytas. Oj, nikt już tego nie pamięta. – Kobiecinka na moment zamilkła, ale pauza nie trwała zbyt długo. – Teraz... teraz to herbatniki ze sztucznym dżemem dostępne są w każdym sklepie, ale to nie to samo.

– Oj nie! – dodała.

– Dominika Patyczak. Znała ją pani? – Bolo nalał sobie kawy do filiżanki i schwycił w swoje dłonie miseczkę wypełnioną smakowitą konfiturą. Truskawki zachowane były w całości. Nabrał na drobną łyżeczkę jedną z nich i wsunął w usta. Mlaskał jak czteromiesięczny bobas, który dopiero poznaje smaki.

– Tak i to bardzo dobrze... Wszystko słyszałam, straszna zbrodnia. Nawet jeśli ona żyje to.... Straszne. – Kobiecinka obniżyła głowę jakby chciała schować się pod stół. – Wie pan, ja różne rzeczy widziałam i rozmaite sytuacje przeżyłam, ale taka zbrodnia! Nie wiem, czy Hitler by się odważył.

– Oj, myślę, że by się odważył. – Leon, nie zbaczając z tematu, a to w tym wypadku było trudne, bo temat drugiej wojny światowej interesował go od zarania, wrócił do wcześniejszego wątku.

– Jaka ona była? Miała znajomych? Ktoś ją odwiedzał? Widziała pani kogoś podejrzanego? Słyszała pani jakieś awantury? Ktoś podejrzany kręcił się pod jej mieszkaniem?

Kobiecinka na moment zamknęła oczy. Bolo czekał cierpliwie, siorbiąc kawę, próbował wyobrazić sobie, co usłyszy za moment.

– Domi, nie była taka zła... – Zamilkła. – To znaczy, miała sporo za uszami i szczerze potrafiła dać do wiwatu. Miała zbyt długi język. Nie przebierała w słowach, ale wie pan. Młoda to głupia.

– To są pani słowa: *To okropna kobieta, żądna władzy i pieniędzy.*

– Tak o niej mówiłam, ale to było dawno. Wtedy jak ona... – Kobieta zamilkła. – To nie do końca prawda. Wtedy mi się wydawało, że się sprzedała. Teraz jak jej nie ma, to inaczej na to wszystko patrzę. Nikt nie zasłużył na taką śmierć.

– Dlaczego się sprzedała? Co ma pani na myśli?

– Te jej liczne romanse. Rozumie pan? Nierządnicę zawsze budzą pogardę wśród starszych osób, a ja do młodych się nie zaliczam.

– Dokładnie, ale do rzeczy. Co chce pani przez to powiedzieć?

– Wie pan, właściciel kamienicy, jeden z braci, Przemek Majewski przychodził do niej... w wiadomym celu. Bardzo mnie to irytowało. No wie pan, robili to i owo. Wszystko było słychać, ściany grube, ale kamienica pusta. Odgłosy się niosą. Potem Domi chodziła dumna jak paw, przestała mówić mi „dzień dobry”, a wcześniej już z daleka pierwsza wołała.

– Mieli romans? Przecież on ma żonę, katolik, co tydzień w kościele. – Bolo przeciągnął. Odstawił pustą filiżankę na tacę, ale miseczkę z konfiturami ciągle ścisnął w dłoni.

– Uprawiali seks. To dlatego Majewski przestał nam dokuczać. Niby byłam za to wdzięczna Domi, ale z drugiej strony nią gardziłam. Ta dziewczyna powinna się szanować. Takim sposobem za daleko

się nie zajdzie. Jak to się mówi: pieniądze dupy nie trzymają się kupy.

– Powiada pani, że Majewski i Domi mieli romans. – Leonowi spodobała się zdrobnienie „Domi”, brzmiało sympatycznie, a i sprawniej można było wypowiedzieć.

– Tak. Ten Majewski to zboczeniec. Gdyby pan słyszał te odgłosy.

– Hm... dobrze, że nie musiałem tego słyszeć. Znała pani jej rodziców? Wie pani, gdzie mieszkają? Odwiedzali ją?

– Nigdy ich tutaj nie widziałam, ojciec mieszka we Wrześni, to stamtąd pochodzi Domi. Wiem też, że Domi nosiła nazwisko po matce, jak nazywa się jej ojciec, nie wiem. Matka nie żyje.

– To dziwne...

– To znaczy Domi miała nazwisko dwuczłonowe, ale używała tylko pierwszego członu, Patyczak. Jak nazywa się jej ojciec, nie wiem. Nie wiem nawet, jak ma na imię, nigdy jej o to nie pytałam.

– Czyli ojciec jej nie odwiedzał i nie wie pani jak wygląda. A czym się zajmował?

– Wiem tyle, że wdał się w jakieś machlojki, to znaczy czarne interesy, i sama nie wiem, jak toczą się jego losy. Domi nie chciała go znać, a tym bardziej o nim opowiadać. – Szybka odpowiedź sąsiadki spowodowała, że Leon uwierzył bez cienia wątpliwości.

– Rozumiem. Postaramy się to sprawdzić, to znaczy dojdziemy do tego, kto jest ojcem Domi, trzeba go o wszystkim powiadomić.

– To oczywiste.

– Ktoś jeszcze się tu kręcił? Ktoś, kto szczególnie zwrócił pani uwagę?

– Pewnego dnia przyszła do niej Magda Majewska, żona tego Majewskiego, i strasznie na nią nakrzyczała, groziła jej. Dowiedziała się o romansie Domi z jej mężem. Zupełnie nie wiem skąd. Afera na całą kamienicę, a jeszcze wtedy mieszkało tu trochę lokatorów. Nasza Domi nie wzięła jej gróźb na poważnie. Na drugi dzień znowu przyjęła Majewskiego w mieszkaniu.

– Kiedy dokładnie?

– Jakieś kilka miesięcy wstecz, mieszkali tu jeszcze Szymkowski i Woberscy. Mogą poświadczyć.

– Myśli pani, że to Magda Majewska mogła zrobić jej krzywdę?

– Sama nie wiem, to drobna, krucha blondynka. Nie dałaby rady. Domi nie należy do kobiet, którym pluje się w twarz. To bardziej ona mogłaby zrobić krzywdę Majewskiej. Sama nie wiem. – Kobięcinka zamknęła oczy, jakby chciała sobie coś przypomnieć. – Jednak po tym, przez jakiś tydzień, Domi chodziła przestraszona. Dziwne, ale to od tego momentu przestała mówić mi „dzień dobry”, a co gorsza, nawet nie odpowiadała. Bałam się o nią, ale wcześniej bałam się jej. To naprawdę dziwna kobieta była. Czasem to obdarowywałyby cię pocałunkami, a czasem to bez kija nie podchodź.

– No właśnie, skąd ta pewność: była czy jest?

– Wyrwany język? Raczej już „była”. – Kobięcina rozłożyła bezradnie ręce. – Ja umarłabym z bólu.

– Jak często bywał tu Majewski?

– Bardzo często. Trzy, a nawet cztery razy w tygodniu. Ten Majewski to prawdziwy zboczeniec. Czasem to miałam wrażenie, że ją wiąże i knebluje, ale jej to chyba grało. Nie krzyczała, tylko gadała do niego po włosku: *maniaco, maniaco*, a on do niej: *non piangere*

trombami. Nie wiem, co to oznacza. – Leon przypuszczał, że to jakieś brzydkie słowo – Jednak to wszystko było takie dziwne. Może to taka moda? – Spojrzała na Leona, jakby oczekiwała odpowiedzi, ale on milczał. – Kiedy od niej wychodził, całowali się w policzek i umawiali na następne spotkanie. Chyba było jej dobrze.

– Rozumiem. Czyli rozmawiali ze sobą po włosku?

– Domi znała włoski, chodziła na kurs, jej marzeniem było stąd wyjechać. I to właśnie do słonecznej Italii.

Bolo starał się zapamiętać wszystkie ważniejsze informacje. Zajęty jedzeniem konfitury, nie miał możliwości notować. Był usatysfakcjonowany zebranymi informacjami, ale nie przestawał wypytywać dalej.

– Coś jeszcze pani pamięta? Inni odwiedzający Dominikę Patyczak? Podejrzane typy spod ciemnej gwiazdy?

– Wie pan, Domi nie była lubiana, ale to nie znaczy, że nie była towarzyska. Kilku mężczyzn. Z pół roku temu był u niej niejaki Franek, Dominika mawiała do niego *Miki*. Podejrzany facet z górami długich, ciemnych loków na głowie i w skórzanej kurtce z ćwiekami. On nie pochodził z Gniezna, chyba z Wrześni, stamtąd skąd pochodziła Domi. Znajomy z liceum, czy jakoś tak. Kiedyś tam często ją odwiedzał, ale potem Domi przestała mu otwierać drzwi, a on przestał przychodzić. Ostatni raz był u Domi pół roku temu i od tamtego czasu go nie widziałam.

– Powiada pani Franek Miki. Przychodził do niej sam? – Bolo w tym momencie odstawił miseczkę z konfiturą i jednak postanowił wyjąć swój notesik, by wszystko zapisać. Nie chciał przy tym narobić niepotrzebnego bałaganu i poplamić welurowego fotela.

– Franek, „Miki” to pseudonim. Czasem przychodził w towarzystwie niejakiej Oli. Nazwiska nie znam.

– Rozumiem i dziękuję, to są bardzo ważne informacje. Ktoś jeszcze przychodzi pani do głowy?

– Jest jeszcze blondynka z sąsiedztwa, mieszka w kamienicy obok. Niejaka Wanda Wasilewska. Sporo starsza od Domi, ciągle ubierała się na czarno, nawet w upały. Tydzień temu też tu była, na termometrze trzydzieści stopni na plusie, a Wandzia w czarnym golfie.

Bolo zdębiał, czarny kolor ubrań w taki upał jak dziś przyprawił go o mdłości. W dodatku golf. Zaczął odciągać od swojego spoconego ciała przylegającą podkoszulkę. Tym gestem chciał dać wyraz temu, jak bardzo irytują go informacje, które właśnie przekazała mu pani Teresa.

– To była jej koleżanka. – Bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Tak, nie wiem czy dobra, ale była częstym gościem u Domi. Kłóciły się, wyzywały, ale nadal intensywnie spotykały ze sobą.

– Kto pani zdaniem mógłby dokonać tak makabrycznego czynu?

– Nie mam pojęcia. To straszny czyn, czy można zrozumieć mordercę? Każdy mógłby to zrobić, ale do tego trzeba odwagi.

– Dokładnie.

– Może i można zrozumieć mordercę, może w każdym z nas drzemie morderca. Co pan myśli? Przeżyłam drugą wojnę światową. Nie raz miałam ochotę zabić, zazwyczaj szwaba. Rozumiem taką chęć. – Kobieta nerwowo pomachała głową. Nie potrafiła odpowiedzieć policjantowi na zadane wcześniej pytanie, za to teraz

weszła na swój ulubiony temat: wspomnienia z drugiej wojny światowej... Leon poczuł się sprzedany.

– Ale nie zabiła pani? – Leon podpytał staruszkę, żeby choć odrobinę historii zechciała mu opowiedzieć.

Druga wojna światowa to był jego konik, maturę zdawał z historii, a w jego mieszkaniu od książek z tą tematyką uginały się półki. Zapragnął posłuchać jakiejś krótkiej opowieści na tle wojny polsko - niemieckiej. Nie zawsze wierzył książkom, czasem historie tam opisane wydawały mu się nieprawdziwe i podkolorowane. A teraz miał okazję usłyszeć coś z ust świadka tamtych czasów. Tym bardziej, że powojenny wystrój w mieszkaniu staruszki i jej wiek świadczył o tym, że posiada wiedzę. Gdyby nie ambicje jego ojca, porucznika Krajewskiego, zostałby nauczycielem historii.

– Nie, nie zabiłam nikogo, ale było blisko. To było w czterdziestym drugim. – Kobięcinka widząc, że policjant oparł głowę na zagłówek fotela, delikatnie się uśmiechnęła. – Mieszkałyśmy w małym domku na wsi, pod Kijowem. Ja, moja matka i moja babka. Trzy samotne kobiety. Zarówno mój dziadek, jak i mój ojciec zginęli na froncie w czterdziesty pierwszy. To był taki niechlubny hitlerowski plan, zwany operacją „Barbarossa”. Niemcy szli na Moskwę zdecydowanym krokiem i pewni byli zwycięstwa. Mój ojciec i dziadek należeli do Armii Czerwonej. Bronili Kijowa jak przystało na honorowych patriotów. Hitlerowi wciąż było mało, wciąż chciał więcej. Zdobywał rejon, za rejonem, miasto za miastem. Piął się do Moskwy, jak pająk na nitce. Los jest mściwy i sprawiedliwy, mam nadzieję, że będzie taki w przypadku Domi.

– Też mam taką nadzieję. Co było dalej?

– Głuptasy rzuciły się na Związek Sowiecki jak z motyką na księżyc. Nie pomyśleli o tym, że tam są takie srogie zimy. Głuptasy – powtórzyła Teresa. – Wszystko mieli, broń, czołgi, amunicję. Nie przewidzieli oczywistego!

– Dokładnie. Hitler nie był takim dobrym strategiem jak o sobie myślał – wtrącił się Leon. – Niemieccy żołnierze nie byli tak zahartowani jak żołnierze rosyjscy. Zima i mróz ich przegoniła jak kot myszkę. I nie zdobyli Moskwy.

– Uciekali przed mrozem jak sarenka przed myśliwym. – Kobiecinka zaczęła się śmiać. – Przegoniła Niemca siła wyższa.

– Z tym, że zdążył narobić bałaganu. – Słusznie zauważył Leon.

– Oj zdążył, zdążył – kontynuowała. – Jestem w połowie Żydówką, a w połowie Rosjanką. Ściślej, to urodziłam się w Leningradzie, ale potem mieszkaliśmy pod Kijowem.

– Była pani w samym sercu afery.

– Tak. Do tego zmierzam. Mieszkałyśmy więc w samym środku lasu, w małej wiosce. Tam się skrywałyśmy przed Niemcami. Dookoła śniegu na pół metra, za oknami było białe jak na Antarktydzie. Wie pan, kiedyś zimy wyglądały zupełnie inaczej niż teraz, zwisające soople lodu, dywany śniegu, nawet płatki śniegu lecące z nieba wyglądały dokładnie tak jak na obrazkach. No i stało się najgorsze z możliwych. Do naszego domku, gdzie w piecu kaflowym skrzeczał ogień, a zapach zebranej latem mięty unosił się jak zwycięstwo, ktoś zapukał do drzwi. Słysząc było szuranie ciężkiego obuwia, przeraziłyśmy się. Nasz dom odwiedziło kilku żołnierzy Wehrmachtu. Babcia, najstarsza z rodu, położyła palec na usta, żebym była ciszej. Od samego rana biegałam wesoło w kółku

ciesząc się, że wielkimi krokami zbliża się Dzień Świętej Katarzyny. Tego dnia zazwyczaj z babcią zarabiałymy ciasto na pierniki. Zawsze udawało mi się namówić ją na kilka pierniczków upieczonych na rozgrzanej płycie kaflowego pieca. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie. – No więc, położyła palec na usta i gestem ręki kazała mi wejść do szafy. Byłam tak przestraszona, że posusiałam się w majtki, a wcześniej mi się to nie zdarzało. Miałam wtedy ze dwanaście lat. Do naszego domu pokrytego strzechą wkroczyło kilku niemieckich żołnierzy. Nie zapomnę ich srogich spojrzeń i zaciętych warg. Wszystko widziałam przez szparę w szafie. Weszli do piwnicy umieszczonej w podłodze, czasem służyła jako schron. Zaczęli wyjmować nasze zapasy na zimę. Zjadali błyszczącą, czerwoną kielbasę, którą skrzętnie chomikowaliśmy na święta. Otwierali dżemy i kompoty. Jedli i pili, nic nie robiąc sobie z mojej mamy i z babki. W pewnym momencie jeden z nich wyjął pistolet i położył go na stole, podszedł do mojej matki i podwinął jej spódnicę w górę. Matka ani nie pisnęła. Miałam ochotę krzyczeć. Jednak strach mnie dławił. – W kobiecinki oczach pojawiły się łzy. – Zrobił to. Ten gnój to zrobił. Na oczach mojej babki, która tak samo jak ja i moja mama nic nie mogła. Po wszystkim wyszli z naszego domu zadowoleni. Zatrzasnęli drzwi i najedzeni ruszyli w dalszą drogę. Nie wiem, gdzie szli i czego szukali. Zdawało się, że odłączyli się od reszty wojska. Może byli tak samo zagubieni i wystraszeni jak my. Może to byli dezercerzy? Nigdy nie wrócili. Matka przez całą noc płakała. Potem popłakiwała przez cały następny tydzień. Właśnie w tamten dzień miałam ochotę wyjść z szafy, schwycić leżący na stole pistolet i zabić tego szwaba. Albo

choć potem ich odnaleźć i wszystkich, jeden po drugim, pozabijać. Nie zrobiłam tego, po dziś dzień tego żałuję. Rozumiem mordercę.

– A ja rozumiem panią. Ciekawa historia. – Bolo aż zarumienił się z wrażenia. Bardzo dużo by dał, żeby przeżyć ten okres, wszystko zobaczyć osobiście. Być w centrum akcji. Widzieć te masywne, strzelające czołgi i chowających się w bunkrach przestraszonych żołnierzy.

– Jak każda historia. Mogłabym tyle opowiadać, ale szczerze, to jestem już zmęczona, a nawet śpiąca. Pozwoli pan, że...

– Jasne, już zmykam. Czyli Wanda Wasilewska, Przemysław Majewski i Franek „Miki”? To ich pani zdaniem powinienem przesłuchać.

– Tak, i żonę Majewskiego oraz jego brata. On też tutaj był, rządziej, ale był.

– To oni dwaj...?

Kobiecinka bezradnie rozłożyła ręce.

– Trzeba ich przesłuchać i tyle. Szukać i jeszcze raz szukać!

– Będziemy szukać. Znajdziemy oprawcę.

– Mam nadzieję, że tego dożyję.

– Postaram się jak najszybciej odnaleźć tego, kto zrobił krzywdę Dominice Patyczak, zrobię to dla pani.

– To mnie nie pozostaje nic innego, jak podziękować. Dziękuję.

– Nie ma za co, taką mam pracę.

Leon wstał z fotela i zaczął szykować się do wyjścia. Staruszka zaczęła ziewać i to był dowód na to, że nie kłamała wspominając o zmęczeniu.

– Nikt więcej nie przychodzi pani do głowy? – zapytał Leon

jeszcze raz. Sam siebie miał dosyć i nie zdziwiłby się, gdyby podniosła głos, zaprzeczając.

– Na ten moment nie, ale gdybym sobie coś przypomniała, to z pewnością się do pana odezwę – odpowiedziała, ku zaskoczeniu Leona, bardzo łagodnie.

– Będę czekać na pani wiadomość, tu jest moja wizytówka. – Teresa Rosenberg schwyciła białą, sztywną karteczkę i nie spojrzawszy na nią, schowała ją do kieszonki fartuszka.

– Do widzenia.

– Do widzenia. Aha, pyszna konfitura.

– Dziękuję. Widać, ubrudził pan sobie koszulkę. – Trzęsącą dłonią wskazała na czerwona plamkę na koszulce Leona.

– To do mnie podobne, moja żona wciąż się ze mnie śmieje, że jem jak dziecko.

– Jak dziecko – powtórzyła staruszka. Stała i patrzyła jak Leon opuszcza jej mieszkanie. Zamknęła drzwi, a Leon usłyszał dwukrotne przekręcenie kluczem. Zbiegając z drewnianych, kręconych schodów starej kamienicy, bezradnie próbował wyjąć z kieszeni telefon. Niestety, jego spocona, potężna dłoń, nie mogła się tam wcisnąć. Musiał stanąć na półpiętrze. Udało mu się i telefon miał już w dłoni, w dodatku chyba telepatycznie ściągnął Krystynę, bo akurat do niego dzwoniła.

– Halo. – Cały czas stał na półpiętrze. Bał się, że z każdym krokiem będzie tracił zasięg i tak już głos Krystyny słyszał jak zza światów.

– Jadę do Majewskiego. To znaczy, za godzinę wyjeżdżam

z Anastazewa. Dowiedziałeś się czegoś? Czegoś, czym mogłabym łobuza zaskoczyć?

– Tak. To prawda, co gadają na mieście. Bzykał Domi, on i jego brat.

– Chyba żartujesz. – zdziwiła się Krystyna, ale w tonie jej głosu słychać było zadowolenie. – To super info. Lepszej bym się nie spodziewała.

– Tak zeznała pani Rosenberg. Potrafił nachodzić ją kilka razy w tygodniu, najpierw grożąc eksmisją, a potem, jak to nie pomogło, wdał się z nią w romans. I teraz pytanie: kto kogo uwiódł? Domi jego z wyrachowania czy on ją z bezradności w myśl zasady: „mieszkaj tu, ale płać mi dodatkowo w naturze”. W dodatku jego żona groziła Dominice!

– O kurczę, a to news. Spróbuję się czegoś dowiedzieć, wezmę gnojka pod włos. Super wiadomość, mamy asa w rękawie. Widzisz dzisiaj buszuje w Alfie. Potem pojedziecie do Wrześni, musimy dokopać się do jej korzeni, dawnych znajomych, namierzyć tą sektę, do której należała. Gdyby coś nas przerosło, trzeba będzie zaangażować tamtejszą policję.

– Masz na myśli Ryszarda?

– Leon, to nie tak, zresztą on już od dawna nie jest policjantem, tylko detektywem.

– Policjantem jest się całe życie.

– Zmieńmy temat, proszę. Nie psuj mi humoru, dziś się wyspałam i nawet wstałam prawą nogą. Chciałam ci powiedzieć, że mamy jeszcze coś. Coś lepszego niż zeznania pani Teresy.

– Tak, a co to takiego?

– Monitoring. Musisz to zobaczyć raz jeszcze, wiesz czasem to, co istotne, jest za pierwszym spojrzeniem nieuchwytnie.

– O co chodzi?

– Musisz jeszcze raz przesłuchać Ewelinę Wąs i jej narzeczonego.

– Jej narzeczonego? A co to ma do rzeczy? To absurd.

– Michał Krygier, narzeczonego Eweliny, kręcił się w ten dzień obok kawiarenki. Ewelina zeznała, że tego dnia opiekował się chorą na alzheimera babcią. To nieprawda, tego dnia, kiedy znaleziono język, Michał kręcił się pod kawiarenką, potem szedł za Dominiką. Wszystko się nagrało. Trzeba go przesłuchać. W końcu Ewelina była gnębiona przez szefową, mieli motyw.

– No to coś mamy. Kurczę, może tak go bolało cierpienie narzeczonej, że sam postanowił wymierzyć sprawiedliwość i... wyrwał język w zamian za obelgi.

– Może tak, a może nie! Nie wrócił się do kawiarenki, nie wrzucił języka do śmietnika. Albo zrobił to ktoś za niego, albo może to być czysty przypadek. Dlaczego więc kłamią? – Krystyna mówiła coraz bardziej podniesionym głosem. – Trzeba go przesłuchać. Jedź na posterunek, prześledź nagranie, a potem pojedź po Krygiera. Ja jadę do Majewskiego – dodała już trochę ciszej.

– Słyszę, że jesteś bojowo nastawiona.

– Bojowo. I jeszcze coś. Namierzyłam adres zamieszkania Kamili Stos, mieszka w Obórcie.

– Ja właśnie idę do Wandy Wasilewskiej to koleżanka Dominiki. Nie miałem tego w planie, ale Teresa mi powiedziała, że dobrze by

było ją przesłuchać. Nie zamierzam niczego dopisywać do listy, tylko odhaczać. Potem odwiedzę Kamilę Stos i na dzisiaj dosyć.

– Do Kamili wysłałam Włodzimierza, ale nie było jej pod wskazanym adresem. To stara rudera, wygląda jak opuszczona. Do domu można wejść bez pukania, w progu zamiast drzwi wiszą firanki. Nie wiem jak ta kobieta radzi sobie zimą.

– Może na czas zimowy wstawia drzwi?

– Może. I jeszcze jedno. Kamienicę obok kamienicy, w której mieszka Dominika, całkiem niedawno kupili Majewscy, to już ich szósta nieruchomość.

– Tam właśnie idę, tam mieszka Wanda Wasilewska. To wszystko mi śmierdzi.

– A nie mówiłam! Majewscy! – Krystyna wypowiedziała nazwisko w taki sposób, jakby była pewna, że to oni maczali palce w okaleczeniu Dominiki.

– O, jabłko. – Leon spojrzał na leżące na spróchniałym schodzie czerwone jabłko. Było co prawda zakurzone, ale w końcu to była pierwsza rzecz, którą znalazł.

– Co?

– Znalazłem jabłko. Super.

– Halo, tu ziemia. – Krystyna się zniecierpliwiła.

– Kończę, mam jabłko.

– Smacznego – westchnęła ciężko prokurator.

– Dzięki, to pa. A, i pozdrów Basię, przekaż jej, żeby miała się na baczności.

– Pozdrowię szkodnika. Wczoraj wróciła w nocy, na odległość czuć od niej było alkohol i nikotynę. Jeszcze te jej malowane

czarnym flamastrem kwadratowe brwi. Ma takie piękne brwi, po co dodatkowo je podkreśla?

– Wyrośnie z tego, zobaczysz. Jeszcze wypijecie sobie kawkę razem.

– Jasne, z Jarkiem nie zdążyłam.

– Po co to robisz?

Krystyna milczała, Leon miał wrażenie, że się rozłączyła, ale nie usłyszał dźwięku przerwanej połączenia.

Znowu pociekły jej łzy, ale nie chciała tego zdradzać, chciała jak najszybciej urwać rozmowę. Nie mogła sobie pozwolić, by znowu odkryć przed Leonem swoją słabość. Musiała być silna. Rano zrobiła sobie pełny makijaż nowo zakupionymi kosmetykami i tak odpicowana zamierzała dojechać do Majewskiego. Nie chciała pokazać się rozmazana i zaryczana. W dodatku, w drodze do Gniezna, chciała odwiedzić pana Zenka Fatygę, sąsiada z Ostrowa Starego. Miała zamiar kupić od niego mendel jajek. Wiejskie jajka obiecała swojej koleżance, Joli Majerowskiej. Była prawdziwą jajcarą – surowe jajka, które wciągała co rano, tworząc wydmuszki, był jej codziennym rytuałem. *Blee!*

Droga do domu Zenka prowadziła wąską ścieżką przez gęsty zagajnik. Krystyna zawsze jeździła do niego samochodem, bo na piechotę nigdy by się nie odważyła. Zwykle chodził po jajka jej zmarły mąż. *Byłeś silny i odważny, a ja ciebie nie doceniałam* – pomyślała niemal na głos.

– Trzymaj się. – Bolo słysząc płaczliwy głos Krystyny nie chciał słuchać tego, co chce mu powiedzieć. Domyślał się. Cichutki

i zniekształcony przez łyż głoś Krystyny nie dał mu dokładnie usłyszeć jej ostatniego zdania.

Kolejny raz usiadła na podłodze, kolejny raz w tym samym miejscu. Tym razem kilka łez nie spowodowało hysterii, nie płakała. Kotłowały się w niej emocje, niezdarnie odgarniała swoje kasztanowe loki z czoła. Zaczęła robić coś, czego obiecała sobie, że nie będzie robić. Znowu zaczęła obwiniać się, że jest kiepską matką, że taka była i zapewne taka już zostanie. Wmawiała sobie, może i słusznie, że to przez nią Basia sprawiała i nadal sprawia takie problemy. Zbyt długo jest zbuntowaną, niedojrzałą mentalnie nastolatką. Różowo-zielone włosy, cztery kolczyki w nosie, z dziesięć w jednym uchu. Tatuazy bez liku. Jeden poprawiony na drugim, kilkakrotnie zmieniany. Ze żmii w słońce, z serduszka w ludzką czaszkę. I tak bez końca. Krystyna przestała już reagować krzykiem, gdy Basia dzwoniła do niej, nakazując, żeby kupiła jej po drodze z pracy krem natłuszczający lub wazelinę. Bo to było oczywiste, że chodzi o pielęgnację skóry po kolejnej dziarze.

Może to był błąd, że nie reagowała. Nie chciała wyjść na mało nowoczesną matkę. Z tym, że godzenie się na takie eksperymenty świadczyło o obojętności, a to z kolei o braku miłości. *Ja nie potrafię kochać?*

Zarysowały jej się obrazy sprzed dziewięciu lat. To wtedy po raz pierwszy Jarek zaprosił ją do domku w Anastazewie, kupił go z myślą o niej. Cieszył się, jak dziecko z czekoladki. Był taki dobry i naiwny, niewiele potrzebował do szczęścia. W tamtym czasie wydawał się Krystynie wręcz głupi.

Tego dnia, kiedy po raz pierwszy zaprosił ją do Anastazewa,

duma rozpieierała mu serce. Od samego rana do niej wydzwaniał, odebrała za szóstym połączeniem. Jak zawsze z niechęcią i ze złością.

– Czego chcesz, jestem zajęta.

– Krysieńka. – Tylko tak się do niej zwracał. Zawsze była jego Krysieńką, nigdy nie Krysią, Krystyną, po prostu Krysieńką. – Kochanie, bądź dziś moją królową, daj się zaprosić na przejażdżkę.

Wtedy Krystyna nie zdawała sobie sprawy, że jej mąż zakupił stary domek w wymarzonym przez nią miejscu. Wiedziała, że szuka działki i coś kombinuje z budową domu. Jej znajoma zatrudniona w starostwie wspominała coś o tym, że Jarek wypytywał ją o zezwolenie na budowę. Krystyna w niego nie wierzyła. Ze wszystkich jego pomysłów się śmiała, wydawały jej się trywialne. Tak samo było w tym przypadku. Wszystko cedowała na przegraną. Jej zdaniem taki człowiek jak Jarek, z takim wykształceniem, do niczego w życiu nie dojdzie. Czasem razem ze swoim ojcem Hieronimem wyśmiewała męża. Jakby oboje nie mieli serca i nie rozumieli, że to może go boleć.

– Żadna przejażdżka, żadna królowa. Ja pracuję, ciężko pracuję. Wczoraj znaleziono w miejskim parku zwłoki czterdziestoletniej kobiety. Została zasztyletowana. Nie mogę. Daj mi spokój, daj mi żyć!

Tego dnia wyjątkowo jej nie posłuchał. Podjechał pod budynek prokuratury w Gnieźnie swoim starym fordem focusem kombi i, nie czując wstydu przed jej bogatszymi znajomymi z pracy, wyszedł z niego zachowując się jak prawdziwy lord. Jakby wygrał szóstkę w totka. Gestykulował rękoma niczym szofer, zapraszając ją do

środku starego grata. Krystyna nie dość, że była wzburzona widokiem męża pod budynkiem swojej pracy, to jeszcze wstydziła się za jego wygląd. Miał rozdartą na brzuchu koszulkę i umorusane od farby spodnie. Najgorsza z możliwych wersji. Jarek nie próbował się ukrywać, nie wstydził się siebie, nie miał kompleksów. To Krystyna je miała, to ona za wszelką cenę starała się dbać o pozory. O to, żeby wszystko zawsze było zapięte na ostatni guzik. Idealne, nieskazitelne.

Jarek nie pasował do jej wizji świata.

Nie odpuszczał tematu, wręcz przeciwnie, starał się być przez wszystkich zauważony, bo szczęście wypisane miał na twarzy. Nie oglądając się na boki, wskoczyła do jego starego grata, modląc się, by nikt ze znajomych nie widział zardzewiałego samochodu i fatalnie ubranego Jarosława. I na jej nieszczęście wszyscy ważniejsi znajomi to widzieli. Po powrocie do pracy musiała skłamać, że to nie był jej mąż tylko szef firmy budowlano-remontowej, którą razem z Jarkiem wynajęli do remontu mieszkania.

– Co to za szef? W dodatku jeżdżący takim gruchotem? – podśmiewał się Olaf, zaprzyjaźniony notariusz.

Krystyna przemilczała temat, wyszła niby za potrzebą. A po powrocie na każde sarkastyczne zapytanie kolegi zmieniała temat. W dodatku czuła niechęć do tego wyjazdu – nie była ona wywołana tym, że nie miała ochoty jechać z Jarkiem. Tym, że nie mogła na niego patrzeć. Niechęć do wyjazdu okazał się być problemem złożonym. Pojawiła się w związku z innymi wydarzeniami.

Jej głowę zaprzętał Ryszard Kaszuba. Ile ona by wtedy oddała, by mogła być jego żoną. Krystyna Sadowska-Kaszuba, to miało takie

ładne brzmienie, jak muzyka. Tym bardziej uciekała w świat marzeń i iluzji.

– Teraz mam za swoje, nawet nie znam swojej córki – mówiła głośno do siebie, ciesząc się, że nikt prócz jej tego nie słyszy.

Pojechała z Jarkiem do Anastazewa i z wielkim oporem została tam na noc. Nie podobało się jej w starym domku, nie umiała udawać, że jest inaczej. Zbeształa Jarka za totalny brak gustu i brak rozsądku. Miała na myśli szykujący się remont. Dom potrzebował sporego wkładu, by doprowadzić go do stanu używalności. Stare, zmurszałe mury, pokryte grubą warstwą wilgoci, najzwyczajniej w świecie ją przerażały. Tak samo jak przerażał ją jej mąż. Chociaż on roztaczał wizję, jak chatka będzie wyglądać po renowacji. Nakreślił gdzie będzie salon, gdzie kominek, a gdzie ich sypialnia. Tę wyremontował na samym końcu. Wiedział, że Krystyna nigdy nie położy się z nim do jednego łóżka. Teraz było jej wstyd za takie zachowanie, teraz bez żadnego zastanowienia położyłaby się z Jarkiem do jednego łóżka jak przystało na żonę. Bezradnie pomachała głową.

Wtedy, na wyjeździe, dziewięcioletnia Basia wzięła ją pod rękę. Chciała pokazać jej swoją tajną kryjówkę w lesie. Widać było, że bardziej ogarnia okolicę niż Krystyna, która w tej miejscowości się wychowała. Tłumaczyła córce, że wszystko się zmienia i że lasy rosną. Po latach nic już nie jest takie same. Gubiła się, idąc znanymi niegdyś ścieżkami, które sama wydeptywała razem z babcią Stasią.

Basia to rozumiała, była bystrą dziewczynką, może i za bystrą. Tak mają dzieci, które wychowują się bez matki. Na szczęście był Jarek, który potrafił poświęcić córce czas. W niczym mu nie

przeszkadzała, jeździli razem do marketów po potrzebne do remontu materiały. W Anastazewie byli co weekend. Najpierw szukali działki do kupienia. Kiedy ceny okazały się wyższe niż Jarek przewidywał, poszukali starego domu do remontu, z niewielkim ogródkiem. Summa summarum zaprzyjaźnili się z tubylcami, których w tej całej okolicy było niewielu. Krystyna wdzięczna była Jarkowi za te wolne weekendy, które serwował jej, zapraszając Basię do Anastazewa. Nie tęskniła za rodziną, była rada, że jest sama w mieszkaniu i ma dużo czasu i swobody, żeby oddawać się marzeniom o Ryszardzie. Tak połowę życia straciła na marzenia, które nigdy się nie spełniły, i zapewne nie spełnią. Bo już nie chciała.

Tak więc Basia zaprowadziła ją w głąb lasu. Były tam inne dzieci ze swoimi matkami, większość z sąsiednich wsi: Ostrowo Stare, Tręby Nowe. No i biwakowcy z upadłego ośrodka wczasowego Mikroma. Krystyna stała jak wryta, z purpurowymi jak burak polikami. Kolejny raz było jej wstyd i kolejny raz czuła się bezradnie. Nic nie mogła, a wszystko, co mogłaby powiedzieć, działałoby na jej niekorzyść. Tamtego dnia przez pół godziny rozmowy z innymi matkami, dowiedziała się więcej o swojej córce, niż przez ostatnie dziewięć lat. Dowiedziała się, że Basia ładnie szkicuje i że buduje jak na dziewięć lat bardzo ładne zdania. Matki innych dzieci równocześnie i jednogłośnie stwierdziły, że to pewnie po mamusi. Widziały jej zażenowanie, chciały by jej było miło. Krystynie nie było miło, czuła się jakby ją spoliczkowały. Basia traktowała obce kobiety lepiej niż ją. Świadczyło o tym swobodne zachowanie córki względem nich. Tuliła się do wszystkich, tylko nie do niej. Usłyszała, że Basia lubi krupnik i kapuśniak. Mleka wręcz nie znosi. Krystyna

nie mogła zrozumieć, jak można nie lubić mleka. Wciskała córce co rano pełen kubek, a potem wywoływała awanturę, gdy Basia go nie wypila. W ostateczności musiała wypić to mleko, ponieważ Krystyna szantażowała ją na wiele sposobów. A to, że jej nie kupi Barbie, a to, że jej nie zawiezie do szkoły. *To ja mam problem* – pomyślała wtedy i od tego czasu nie próbowała nic zmienić.

Wszystkie matki uważały, że Basia jest towarzyska i lubiana, że inicjuje różne zabawy, a dzieci wręcz ją uwielbiają. Tak, tamtego dnia Krystyna stała z wielkimi rumieńcami na policzkach i niewiele umiała powiedzieć o swojej córce, bała się nawet przytakiwać. Prawie odebrało jej mowę, a przecież była wygadana. Z najtrudniejszym egzaminem ustnym bez problemu dawała sobie radę, z niejednym przesłuchiwanym bandziorem sobie radziła, a wtedy język uciekł jej do gardła. Nie wypowiedziała ani słowa. Słuchała... Pieściła swoje zmysły pochlebstwami, jakby to ona była dziewięcioletnią Basią.

Potem szła z córką z powrotem, kurczowo trzymając ją za rękę i powtarzała w kółko, że ją kocha. Mówiła tak do Basi, żeby wyciszyć swoje sumienie. Doskonale pamiętała słowa babci Stasi: *Kochać to nie słowa, kochać to czyny*.

Czy podobał jej się domek na wsi? Z tego, co nakreślił Jarek, potrafiła wyobrazić sobie, jak będzie wyglądać po remoncie. Z tym, że ona najchętniej zamieszkałaby w tym domku nie z Jarkiem, ale z Ryszardem. Tamtego dnia targały nią emocje. Nigdy tego nie zapomni. Zaraz po kolacji, którą przyrządził Jarek, zostawiła córkę z ojcem w niewyremontowanym domu, a sama udała się na opustoszałą plażę. Wzięła tylko laptopa. Nie wiedziała co w nią wstąpiło, ale napisała do Ryszarda wiadomość na Naszej Klasie.

Wyznała mu miłość, napisała mu, że tęskni i że nigdy nie przestała go kochać. Co chwilę zaglądała na profil w nadziei, że Ryszard jej odpisze. Nie odpisał. W zamian za to ją zablokował. To upokorzyło ją dokumentnie. Wtuliła twarz w srebrny piasek, który okalał Jezioro Powidzkie i miała ochotę umrzeć. Nie mogła do niego zadzwonić, żeby go przeprosić i się wytłumaczyć. Zrzucić to wszystko na impuls, działanie pod wpływem emocji. Gdyby miała do niego numer, to mogłaby go okłamać, że to nie ona, że ktoś się włamał na jej konto. Wieczorem, gdy zapłakana leżała na niewygodnym materacu i wtulała się w białą poduszkę, zastanawiała się, jak mogłaby mu to wytłumaczyć. Tylko skąd zdobyć do niego numer? Rozważała wyjazd do Wrześni. W końcu zasnęła. Po dziesięciu godzinach snu czuła się na tyle źle, że zrezygnowała z wytłumaczenia swojego nie do końca dojrzałego zachowania.

Kurcze, miałam dziewięcioletnią córkę, jak mogłam?

Po dziś dzień biła się w pierś. Jarek nie zapytał jej dlaczego płacze, nie próbował przytulić. Na twardym starym materacu, jedynym w domku, obrócił się na drugi bok i zasnął. Basia spała między nimi. Nazajutrz jako jedyna wydawała się być wyspana.

Siedząc na brązowych płytkach, chciała wstać. Podłoga ciągnęła ją w dół jak magnes. Złapała się regału z książkami. Zakręciło jej się w głowie i upadła na kolana. Usłyszała huk, jedna z książek wysunęła się z regału i spadła na podłogę. Okładka była czarna, a na niej namalowany jakiś stwór. Krystyna pierwszy raz widziała tę książkę. Z zaciekawieniem ją otworzyła. Co prawda po śmierci Jarka odkryła małą kolekcję poradników wędkarskich w jego bibliotece, o których nie miała bladego pojęcia. Niczego nie wiedziała, niczym

się nie interesowała. Jej mąż i córka byli złem koniecznym. Niegodnym żadnej uwagi. Książka, która wypadła na podłogę, zaciekała ją. Zerknęła na tytuł. „Księga Lucyfera”.

– Co to jest?

Przerzuciła kartkami. *Lepiej śmierć wybierz niż ulegnij*. Tak szybko jak otworzyła książkę, tak szybko ją zamknęła. Odłożyła z powrotem na regał, prężnie wstała na równe nogi, chwyciła leżący telefon i swoją torebkę. Wyszła, nie zamykając drzwi na klucz.

Nie zastała sąsiada od jajek, zostawiła mu tylko kartkę, że przyjedzie wieczorem. Jadąc do Gniezna spoglądała w lusterko, poduchy pod oczami z dnia na dzień robiły się coraz pulchniejsze. Krem z Estée Lauder przestał jej pomagać. W radio leciała jej ulubiona gitarowa melodia Santany „Samba Pa Ti”. Podkręciła głośność i kciukami uderzała w kierownicę. Znowu myśl o mężu i o tym, jak mogło być cudownie, przerwała jej beztroskę. Potem pomyślała o Ryszardzie. Tych dwóch mężczyzn przez całe życie przeplatało się w jej w głowie jak warkocz. Wiedziała, że prędzej czy później, a raczej prędzej, będzie musiała odezwać się do Ryszarda. Nie mają ciała Dominiki. Z tego co się orientowała, to Ryszard po tym jak zrezygnował ze służby mundurowej, stał się najlepszym detektywem w kraju. Bez współpracy z nim całe śledztwo mogłoby okazać się fiaskiem. Nie mogła na to pozwolić. Chociażby ze względu na Majewskich – miała cichą nadzieję, że to oni stoją za tą zbrodnią. Już sobie wyobrażała ich skruszone miny w momencie, kiedy wsadza ich do więzienia.

Znajdziemy ciało i wszystko będzie jasne – pocieszała się jak mogła. – *Ryszard odnajduje to, co jest nie do odnalezienia.*

To była prawda. Jego niedawno otwarta firma detektywistyczna, którą budował od podstaw, cieszyła się powodzeniem i miała bardzo dobre opinie wśród klientów. W dodatku współpracował z policją z całej Polski. Krystyna nie mogła sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy go zobaczy, usłyszy. Może wszystko do niej wróci... Czy uda się jej wytłumaczyć tę wysłaną przed laty wiadomość? Wiedziała, że po tym wszystkim pierwsza nie da rady do niego zadzwonić. Cały czas siedział jej pod spódnicą. Mógł spod niej wyjść i znowu wejść do głowy. Nie chciała dłużej o nim myśleć, marnować kolejnych lat. Teraz najważniejsze dla niej było to, by naprawić relację z córką.

Postanowiła naciskać Leona, żeby zadzwonił do Ryszarda. Był w temacie. Rozumiał się z Krystyną bez słów. Nigdy nie widział Ryszarda Koszuby i nie miał pojęcia jak wygląda. Rzadko, a raczej w ogóle, nie korzystał z portali społecznościowych. Coś tam słyszał, że były policjant zwolniony dyscyplinarnie przez układy z mafią, po półrocznym kursie założył firmę detektywistyczną i teraz idzie mu całkiem nieźle, ale tylko tyle o nim wiedział.

– Może gdyby go zobaczył, to by zrozumiał, dlaczego straciłam tyle lat – szepnęła do siebie.

Jej przemyślenia przerwał znajomy niebieskooki mężczyzna, który mijał ją, jadąc w przeciwnym kierunku. Patrzył na nią. Prosto w jej oczy. Ich spojrzenia zastygły. Znowu przez ułamek sekundy ją zahipnotyzował. Znowu poczuła chłód, a przecież był upał. Dreszcze na całym ciele nie pozwoliły jej się skupić na jeździe. I tak, aż do samego Gniezna.

Leon Krajewski skończył rozmawiać z Krystyną i, ściskając

w dłoni czerwone jabłko, wyszedł na zewnątrz prosto z chłodnego korytarza kamienicy. Gorąca fala powietrza buchnęła na niego jak ogień z pieca. Nie mógł złapać oddechu, szybko krokiem przeszedł kawałek, by znowu znaleźć ukojenie w następnej chłodnej bramie. Przywitał go upragniony chłód, a jednocześnie fetor. Zatykając nos, rozglądał się po korytarzu. Chciał odwiedzić koleżankę Dominiki Patyczak, Wandę Wasilewską, i to był jego priorytet. Spojrzał na żółtą tabliczkę z nazwiskami lokatorów umieszczoną na parterze. Pod piątką widniało zamazane i wyblaknięte, poszukiwane przez niego nazwisko. *Kurczę, co z tym RODO – pomyślał. – Czyżby mieszkańcom tej kamienicy to nie przeszkadzało?*

Udał się w poszukiwaniu mieszkania numer pięć. Rozmieszczenie mieszkań w tej kamienicy też wydawało mu się dziwne – na samym parterze było mieszkanie z numerem: jeden, trzy i siedem, na pierwszym piętrze: sześć, dwa i pięć. Podszedł do piątki i dość głośno zapukał. Za drzwiami było cicho, z mieszkania nie dobiegały żadne dźwięki. Znowu zapukał, tym razem jeszcze głośniej. Nikt nie otwierał, za to otworzyły się drzwi obok, oznaczone numerem dwa. Wyłonił się zgarbiony staruszek z laską. Na jego nosie gościła wielka kurzajka. Nie wyglądał sympatycznie, wręcz przeciwnie, wystraszył nieco Leona. Mężczyzna, jak się po chwili okazało, miał jednak szczerze zamiary. Wyciągnął do Leona dłoń na znak, że chce się grzecznie przywitać i w razie czego służyć pomocą.

– Witam, starszy aspirant Leon Krajewski. Szukam kontaktu z Wandą Wasilewską, podobno mieszka pod piątką?

– Witom, witom. Janusz Zowoda. Tak mieszkoła tu do wczoraj.

Wczoraj z rona się wyprowadziła. Z tego co pomiętom, to do Konino.

– Oj, to szkoda, a zna pan może jej nowy adres?

Staruszek wyszedł z mieszkania i stanął na przeciwko Leona. Sięgał mu do ramion, bardzo się garbił. Jego ciało się trzęsło, a laska wyraźnie pomagała mu, by nie upaść. Leon zdziwił się, że pan Janusz nie korzysta z balkoniku. Byłoby mu wygodniej.

– Łe tom, bo ja ci wim. Nie wim. Ale spieszytu jej się i to bordzo. Przyjechał samochód z naczepum i wszystko zabroł, Wondę też.

– Hm, a może ma pan do niej numer telefonu?

Mężczyzna się zamyślił. Zapatrzył się przed siebie i stał się na moment nieobecny. Po dłuższej chwili nagle wykrzyknął:

– Mom, a ci mom. Dzwoniło do mni przedwczoraj. Powinło się zapisać w telefonie, chociaż mam stary sprzęt to dziesięć ostatnich numerów się zakreśliło. Poczekoj pan, zaraz przyndę.

Leon stał cierpliwie w korytarzu i delectował się panującym w nim chłodem. Smrodu już nie czuł, chyba że Leon przywyknął. Zamknął oczy i wyobraził sobie, że jest na plaży i pije chłodne piwko, a obok Jadzia częstuje go świeżo upieczonym plackiem drożdżowym.

Staruszek ponownie wyszedł z mieszkania.

– Już jezdem. Mo pan cuś do pisonio?

– Nie, ale spokojnie, zapiszę w swoim telefonie.

Pan Janusz bardzo powoli dyktował sześć cyfr, które miał zapisane. Jak wyjaśnił, trzeci ostatni kontakt z listy połączeń przychodzących, to numer telefonu należący do Wandy Wasilewskiej. Bo drugi kontakt rozpoczynający się cyframi plus czterdzieści dziewięć, to numer należący do jego prawnika mieszkającego w Niemczech. Zresztą pokazywał Leonowi dwie

pierwsze cyfry i długi numer, żeby policjant mu uwierzył. Widać było, że staruszek zaangażował się i naprawdę chciał pomóc Leonowi. Pierwszy kontakt, który wyświetlił się w jego starym ericssonie, to był listonosz. Dzwonił poinformować, że dziś po dwunastej będzie z rentą i prosił pana Janusza, żeby nigdzie nie wychodził. Starzec zeznawał jak na posterunku.

– Już mam, zapisałem. Znał pan panią Wasilewską, może pan coś o niej powiedzieć?

– Toko dziwno dziewczucho była, na czorno się nosiła, i tych znajomych to takich dziwnych miło. Długie włosy, kolczyków pełno tu i tam. Czarne kurtki jak od szotona. Tok tyż o sobie mówili. Szotoniści czy cuś. To chybo od szotona, panie, co pan myśli?

– Pewnie tak. – Leonowi zachciało się śmiać, ale zachował powagę. – Dlaczego do pana dzwoniła?

Pan Janusz najprawdopodobniej nie usłyszał tego, o co zapytał policjant.

– Było tu jedno tako, co po włosku szprochała, ładnie, płynnie. To jej koleżonko.

– Zna pan jej imię?

– Może jokoś Dominika czy cuś, ale tu różna ludzia przychodzili, oj różna.

– Dlaczego Wanda Wasilewska do pana zadzwoniła? – Bolo powtórzył pytanie.

– Bo kozoło mi łoddać klucze od mieszkonio właścicielum. Zostowiła je pod moją wycieroczkum. Tyla. Młodzież, za nimi nie nadażosz.

– Rozumiem. Pozwoli pan. – Bolo pokazał panu Januszowi

telefon na znak, że chce zatelefonować. W tym momencie nacisnął zieloną słuchawkę i próbował połączyć się z Wandą Wasilewską. Miał cichą nadzieję, że ta odbierze telefon, że zmieniając mieszkanie nie zmieniła swojego numeru telefonu albo i tożsamości. Musiał się z nią skontaktować, nawet jeżeli będzie musiał nazajutrz przeorać cały Konin.

– Słucham. Wróżka Aida, w czym mogę pomóc? – odezwał się w słuchawce młody, piskliwy głos.

– Halo, halo. – Bolo udawał, że nic nie słyszy. Nie chciał umawiać się na wróżenie z kart przy staruszkę, którego zapewne zdziwiłoby to tak samo, jak wygląd zewnętrzny znajomych odwiedzających Wandę.

– To łona? – podpytywał Pan Janusz.

– Tu chyba nie ma zasięgu – Leon skłamał. – Muszę lecieć. Dziękuję panu za pomoc.

– Proszę bardzo, polecę się.

– Jeszcze jedno. – Leon się cofnął. Cały czas kurczowo trzymał w ręce czerwone jabłko. Tarł je o spodnie, bo zamierzał zjeść wypolerowane. – Czy Wanda była wróżką?

– Wróżkom? Łona łapało się każdej fuchy. Było krowcowom, fryzjerkum psów, czym to łona nie było. To wszystko wiotrym podszyte. Ręki opadajum.

– Dokładnie, dzisiejsza młodzież! Do widzenia. Proszę się zamknąć i czekać na listonosza. Ja już uciekam.

– Do widzeniu, do widzeniu...

Bolo był wdzięczny za numer telefonu, jakim obdarował go staruszek. Cały czas się zastanawiał, czy Wanda podszywa się pod

wróżkę, czy może komuś udostępni swój numer i ma nowy, nikomu nieznanym. Tak czy siak czuł, że prędzej czy później uda mu się skontaktować z Wandą Wasilewską, a ten kontakt mógłby okazać się kluczowy w śledztwie. Czym prędzej pospieszył na posterunek, by raz jeszcze prześledzić nagranie monitoringu. Był ciekawy, czy Michał Krygier, narzeczony Eweliny Wąs, okaże się podejrzanym w sprawie – musiał to zobaczyć, wierzył Krysi, ale musiał zobaczyć.

– Nie wierzę, nie wierzę – Ewelina powtarzała w kółko jak mantrę.

O powrocie do kawiarenki Incognito nie było mowy. Po raz pierwszy na poważnie rozpatrywała wyjazd do Holandii razem z Michałem. A tak się zarzekała, nigdy nie dawała wiary słowom, że życie może zmienić się w sekundzie świetlnej. Tylko co z babcią?

Michał krzątał się w kuchni i parzył herbatę.

– Chcesz?! – krzyknął.

– Co?

– Chcesz herbaty?!

– Raczej nie. Babcia śpi? Przepraszam, od dwóch dni jestem nieobecna, gdyby nie ty... Dobrze, że akurat teraz przyjechałeś do Polski. I dobrze, że szef przedłużył ci urlop.

– Śpi jak dziecko. Ja wiem, kiedy mam przyjechać. A szefa mam w porządku. W Holandii wszyscy są w porządku. Widzisz, problem rozwiązany. To znaczy sam się rozwiązał.

Ewelina nie do końca rozumiała, co Michał chce jej powiedzieć. Nie analizowała tego, nie miała na to siły. Cały czas rozpamiętywała

wyryty w głowie, zapewne na wieczność, widok wyrwanego, ludzkiego języka.

– Cały boży dzień przesiedziałam na krześle. Dobrze, że znicze są całodobowe, bo zapewne nie zauważyłabym jakby się wypalił. – Ewelina spojrzała na końcówkę bryły woskowej i niewielki płomień, który swoim rozmiarem dawał znak, że za moment skończy swój żywot. – Czy babcia była dziś grzeczna? – dopytywała.

– Spoko, dałem radę. Wyzwała mnie od złodzieja i ubeka, potem mnie tuliła, potem znowu mnie wyzywała. Nie mów, że nie słyszałaś?

– Nie słyszałam, serio. – Ewelina przesuwiała w dłoniach różaniec. – To już dziesiąty raz, nie mogę przestać się modlić.

– To skończ i wracaj do żywych. Halo, twój mąż cię potrzebuje.

– Jeszcze nie mąż.

– Już niedługo, w Holandii, kochanie. – Michał podszedł do Eweliny, chwycił ją w ramiona i zaczął chaotyczny taniec.

– Przestań. Co ty robisz? Obudzisz babcię, poza tym mam żałobę.

– Jaką tam żałobę. Domi cię wyzywała od grubasów, sponiewierała, a ty co...? Żałujesz jej?

– Tak. Bo nikt nie zasłużył na taką śmierć, nawet Domi.

Do kłótni na szczęście nie doszło, bo ostrą wymianę zdań przerwały dwa krótkie dzwonki do drzwi wejściowych.

– Otworzę, ty wracaj do różańca, pomódl się za mnie!

Michał delikatnie pchnął Ewelinę na krzesło, a sam udał się ku drzwiom wejściowym. Szedł energicznym krokiem, podskakując od czasu do czasu. Ewelinę to zatrwożyło, a kiedy otwierając drzwi

zaczął podśpiewywać, miała ochotę wstać i zdrowo walnąć go w głowę.

Ewelina usłyszała zachrypnięty, męski głos i to nie chęć walnięcia narzeczonego w głowę, tylko zwykła, kobieca ciekawość zmusiła ją, by dołączyć do narzeczonego i ich gościa.

– Dobry wieczór. Przepraszam, że tak późno.

Ewelina rozpoznała policjanta Leona Krajewskiego, tamtego wieczoru przybył na miejsce przestępstwa jako pierwszy. Nerwowo dzwonił po posiłki i ponaglał ich, żeby jak najszybciej do niego dołączyli. Momentami był wręcz namolny.

– Witam. Znaleźliście ciało? – zapytała, nie słuchając tego, jak policjant zgrabnie i szybko się przedstawił.

– Nie, nie znaleźliśmy ciała Dominiki Patyczak. Nie wiemy czy żyje, czy może... ale mam złe wieści. – Policjant spojrzał na Michała.

– Musimy pana zatrzymać.

– Co?! – krzyknęła histerycznie Ewelina. – Co?!

– Ja się nigdzie nie wybieram. Ja zostaje w domu, jest dwudziesta pierwsza trzydzieści, przykro mi, do jutra. – Michał podniósł głos, mając nadzieję, że tym samym przestraszy policjanta i że ten odpuści.

Skrzyżował ręce na piersiach. Stał twardo jak słup wysokiego napięcia.

Leonowi nie pozostało nic innego, jak wyjąć z kieszeni metalowe kajdanki i pomachać nimi przed nosem Michała.

– Nie ma pan wyjścia. Musi pan iść ze mną.

– Jak to, o co chodzi? – Ewelina zaczęła się trząść, Leon miał wrażenie, że za moment zemdleje. W głowie wizualizował sobie plan

reanimacji. Trzydzieści ucisków na klatkę piersiową i dwa wdechy ratownicze. Narzeczona Michała chwyciła się klamki i zaczęła głośno sapać. Przechyliła głowę na dół.

– Ewelina? Wody, wody. Widzisz, co narobiłeś, gnoju? Spadaj stąd.

Michał nie poszedł do kuchni po wodę. Czekał, aż Ewelinie samo przejdzie. Nie dawał wiary, że taka potężna, masywna dziewczyna jak Ewelina może zesłabnąć. Cały czas stał w tym samym miejscu, postanawiając pouczyć Leona, by wzbudzić w nim poczucie winy.

– Mogę wlepić panu dodatkowy mandat za obrazę stróża prawa, zatem... Proszę podać narzeczonej wody i idziemy.

– Nie! – krzyknął Michał. – Nie! – krzyknął jeszcze głośniej.

– Proszę. – Bolo nie chciał robić niepotrzebnego dymu. I tak w całej klatce schodowej było słychać szelesty zza zamkniętych drzwi. Było pewne, że sąsiedzi okupują wizjery i dziurki od klucza. W jednym z mieszkań ktoś na szybko wyjął klucz, by móc obserwować to, co się dzieje na klatce schodowej. Ta sytuacja krępowała Leona, ale nadal machał Michałowi przed oczami srebrnymi kajdankami. Podejrzany chyba w końcu zrozumiał, że to nie są żarty.

– Co ty jej zrobiłeś?! – Ewelina zaczęła krzyczeć, podniosła dłonie i zwinęła je w pięści, zbierając się do bicia.

– Wiedziałem, że nic ci nie jest, że udajesz. Wszystkie baby jesteście tak samo popaprane – wycedził przez zęby Michał. Skierował swoje ręce w stronę policjanta, by ten je skuł.

– Panie policjancie, proszę mi powiedzieć, o co chodzi, dlaczego Michał? Nie mogę jechać z wami, mam chorą babcię. Proszę. –

Uklęka przed policjantem, który starał się trochę odsunąć. – Proszę mi nakreślić, o co chodzi. Nie macie ciała, dlaczego my? Dlaczego Michał?

– Dokładnie dwudziestego ósmego czerwca, kiedy pani wraz ze swoją koleżanką wezwałyście mnie na miejsce przestępstwa...

– Tak, pamiętam – przerwała mu Ewelina, cały czas klęcząc i kurczowo trzymając się nogawek Leona.

– Pani w ten nieszczęsny wieczór zdała mi krótkie sprawozdanie, ale zaraz po tym zaznaczyła, że spieszy się do domu, ponieważ narzeczony od rana zajmuje się chorą babcią. Podwiozłem panią pod sam dom, tak?

– Tak. – Ewelina powoli zaczęła się unosić. – Tak – powtórzyła.

– Dzięki temu miałem okazję bliżej poznać pani szalejącą babcię i wydającego się wyczerpanym całodzienną opieką nad pani chorą babcią narzeczonego. Dobrze, że tu panią przywiozłem, ponieważ ktoś tu jest dobrym aktorem.

– Cały czas nie rozumiem!

– Prawda jest okrutna – kontynuował Leon, nie wiedząc, jak ma to ubrać w słowa.

– Jak to? Okrutna?

Rozmowę przerwał krótki, przeszywający trzask metalu – Michał w tym momencie był skuwany w srebrne bransoletki.

– Na nagraniu miejskiego monitoringu, między godziną dwunastą a dwunastą piętnaście, wyraźnie widać, jak pani narzeczony stoi przed parkanem kawiarenki. Krył się za nim. Wiem, że czatował na Dominikę. Najpierw ją obserwował. Kiedy wyszła z pracy, poszedł za nią. Podążał za nią niemalże przez całą ulicę Warszawską. Po

trzech godzinach widać jak wraca, sam. Skierował się na parking w okolicy ulicy Chrobrego, przy szkole Alfa. Co prawda nie mamy nagrania, jak cofa się do kawiarenki, by wrzucić do śmietnika wyrwany język, ale to jest właśnie to, co spowodowało, że tu jestem. Musimy to wyjaśnić. Panie Michale, zapraszam. – Bolo gestem ręki wskazał Michałowi drogę do wyjścia.

– Nie wysilaj się, nędzny glino. Znam drogę.

– Michał, jak to? A kto w tym czasie opiekował się babcią? Halo, Michał. – Ewelina doskoczyła do narzeczonego i z całej siły zaczęła go szarpać.

– Ewelino, to nie tak, daj spokój. Po wszystkim ci wytłumaczę.

– Po jakim wszystkim? Co tu jest do tłumaczenia?

– Ja chciałem z nią pogadać, poznać ją bliżej. Szedłem za nią, ale ona mi zniknęła w bramie. Ja jej nie zabiłem, nic na mnie nie mają. To rutynowe przesłuchanie. Idź się połóż i nie zwracaj sobie tym głowy.

– Gnojku, po co za nią szedłeś?

– Proszę się teraz nie kłócić, to nie jest dobry moment. – Bolo próbował wyciszyć rozwścieczoną parę.

Michał nie posłuchał. Wydarł się na narzeczoną, o wszystko ją obwiniając.

– Ile razy przez nią płakałaś do telefonu, że wyzywa cię od zapuchniętej, grubej świni?! Chciałem jej powiedzieć, że tak nie wolno. Ja nie zrobiłem jej krzywdy. Przysięgam.

Nagle cała trójka usłyszała ciężkie kroki staruszki stukot laski. Postać wyłoniła się z kuchni.

– Złodzieje i zdrajcy komunistyczni! Wynocha z mojego domu!

Bolo poczuł ciężkie uderzenie laską w plecy, zaboląo go, a staruszka nie przestawała go okładać.

– Ubeku, komuchu, zdrajco! Dokąd go zabierasz?! Dokąd zabierasz mojego męża?! Znowu chcecie go katować, więzić w piwnicy i łamać palce, zęby przez was stracił. Po moim trupie. Teraz mi za to zapłacisz, mendo... – Staruszka lała laską Leona na oślep.

– Babciu, przestań. Idźcie już, idźcie. Zadzwoń. – Michał spojrzął na Ewelinę, ale ona swoje słowa kierowała do Leona. – Zadzwoń – powtórzyła.

– Ewelino, ja cię kocham, ja jej nic nie zrobiłem. Wybacz. Babcia była pod opieką mojego znajomego, Murzyna. Znasz go, zadzwoń, on ci wszystko wytłumaczy. Przepraszam.

– Idźcie, idźcie. – Ewelina z całej siły trzymała laskę, by babcia zaprzestała okładać policjanta. Jednocześnie miała ochotę jej wyrwać i pobić Michała, a potem babcię. Nie zrobiła tego. Z całej siły trzasnęła drzwiami. Wróciła do pokoju stołowego razem z roztrzęsioną babcią, której widok policjanta z kajdankami na moment przywrócił zdrowe zmysły. Siedziały godzinę przy wypalającym się zniczu, milczały. W pokoju stołowym zrobiło się ciemnawo. Babci spojrzenie było zdrowe i czyste. *Jak za dawnych lat* – pomyślała Ewelina.

Pięć lat wcześniej. Dominika Patyczak

Dominika chciała wyłączyć telefon, ale go wyciszyła. Od samego rana bombardowano ją licznymi połączeniami i esemesami. Ola, koleżanka z liceum, była natarczywa i nieugięta, a teraz wydawało się Dominice, że ma coś z maniaczki. To nie tak, że Dominika nie chciała z nią rozmawiać, ale w ten dzień potrzebowała spokoju i samotności. Ostatniej nocy miała koszmary – ciężkie i mroczne sny towarzyszył jej od paru tygodni. To dlatego, że od tygodnia do późnej nocy ślęczała grzebiąc w internecie. Próbowwała odszukać cudowną receptę na raka. Jej mama ciężko zachorowała, a lekarze nie dawali jej żadnych szans.

Ola z początku wydawała się szczerą przyjaciółką. Dawła Dominice to, czego tak bardzo jej brakowało czyli pełną akceptację i bezinteresowną miłość. Z czasem stała się zaborcza. Dominika często odnosiła wrażenie, że chciała zagłaskać ją na śmierć.

Dominika, jadąc pociągiem do Poznania, co chwilę odrzucała natarczywe połączenia, chciała zebrać myśli. *Ten jeden dzień chcę spędzić tylko z mamą* – myślała. Wiedziała, że dni mamy są policzone. Była już na dworcu Poznań Garbary, całkiem niedaleko szpitala onkologicznego. To tam leżała Jola Patyczak-Kaszuba, mama Dominiki. Młoda licealistka nie cierpiała tego miejsca – szpitalnych sali przepełnionych schorowanymi pacjentami, smutnymi ludźmi bez cienia nadziei w oczach oraz tak samo smutnego i zatroskanego personelu, który nic nie mógł zrobić.

Kiedy przekraczała próg szpitala, czuła paraliż każdego mięśnia,

bolały ją kości, krew jakby przestawała krążyć. Każdy najmniejszy włoszek na skórze stawał dęba.

Tęsknota za mamą nie pozwoliła jej trzeźwo myśleć, ale nie przysłaniała jej wzroku na te wszystkie nieszczęścia, którym zamalowany był szpitalny korytarz i sale. Chorzy oczekujący na następną dawkę chemii, z zawiniętymi byle jak chustami na łysiejących głowach. Brązowo-żółci na twarzy, z wielki sińcami pod oczyma. Wychudzeni i słabi jakby siedzieli obok nich śmierć. *Dlaczego moja mamusia?* – Dominika pytała w myślach Boga. Cały czas w niego wierzyła. Udawała, że nie wierzy, aby przypodobać się Frankowi Mikito, Oli i reszcie znajomych z ugrupowania, do którego wkroczyła.

Dla niej była to taka gra. To nie było na serio. Kiedy jej rodzinę dotknęły liczne nieszczęścia, Dominika szukała akceptacji i zrozumienia.

Szła długim korytarzem. Z jednej strony rozumiała ojca, że nie chciał tu przyjeżdżać – tłumaczył, że nie potrafi. Nikt nie lubi być świadkiem takich widoków. Z drugiej strony czuła do niego złość i awersję. Przecież powinien choć raz odwiedzić żonę. Tak nie powinien zachowywać się mąż chorej na raka kobiety. Nie powinien unikać kontaktu i być tak nieczuły. Ta choroba może dopaść każdego, nawet jego! Czy tylko szpitalne widoki go usprawiedliwiały? To, że ciągle był zajęty, ciągle nie miał czasu? Ciągłe się spieszył? Udawał? Tłumaczył się, że mama za moment będzie zdrowa, że to stan przejściowy. Tylko gdzie się spieszył? Po co? Do pracy? Do jakiej?

Wszyscy znajomi Dominiki ze szkoły śmiali się z niej, że jej ojciec

jest nieudolnym gliną, który dał się kupić mafii. Wysztychali ją i wytykali palcami, a ci odważniejsi potrafili napisać na elewacji ich domu czarnym sprayem „łapówkarz”. Ojciec nic sobie z tego nie robił, ale Dominika bardzo to przeżywała. Ryszard Kaszuba był dla niej autorytetem, powodem do dumy, niestety do czasu. W pewnym momencie poczuła się oszukana, osamotniona i wyalienowana. Bała się o siebie, czuła, że ze zmartwień traci zmysły. Jej ojciec, z którego była dumna, okazał się miejscowym nieudacznikiem. Nie mogła pojąć dlaczego. Potem choroba matki. Wszystko w jej życiu obróciło się do góry nogami. Nie czuła się już bezpiecznie. Wydawało jej się, że wszyscy uśmiechają się na jej widok, ale to nie był uśmiech przyjazny. Na swoje nieszczęście potrafiła to odróżnić. Wtedy, w ten jeden dzień, kiedy Kacper podbiegł do niej i potargał jej włosy wyzywając ją, że jest takim samym matolem jak jej ojciec, płacząc przysięgała sobie, że już nigdy nie będzie miła dla ludzi. Ponieważ skopali ją, jej ojca i matkę. Całą jej rodzinę. Zatraskana i zmartwiona wszystkim matka Dominiki zachorowała na raka. Z niej też się śmiali. Sprzątaczką w szkole, biedną i głupią żoną nieudolnego policjanta. *To przy twojej matce twój ojciec tak zgłupiał. Co może zagwarantować mu szkolna sprzątaczką?! – krzyczał Wojtek Pruss.*

Jak oni mogli... Dominika kiwała głową, błądząc po szpitalnym korytarzu jak po skomplikowanym labiryncie.

Jej matka nie była głupia, po prostu na trzecim roku studiów zaszła w ciążę i nigdy nie wróciła na uczelnię. Miała potencjał, ale wolała opiekować się i wychowywać swoją jedyną, wyczekaną córką. Ryszard zadeklarował się na wszystko zapracować. Na początku szło mu dobrze, zwłaszcza jak dostał pieniądze

z kolosalnych kredytów. Kredyty trzeba spłacać, a kiedy pieniądze się wyczerpały, szło mu coraz gorzej. Zaniedbał pracę, wszedł w mroczny półświatek, nie stosował się do przepisów. Został zwolniony dyscyplinarnie i pół roku był bezrobotny. Raty kredytu przewyższały jego zarobki, więc postanowił wysłać swoją żonę do pracy. Żadna praca nie hańbi, a w szczególności ta od siódmej do piętnastej. W dodatku budżetówka, wszystkie weekendy wolne. Jej mama była zadowolona z posady sprzątaczkii we wrzesińskim liceum, dobrze zarabiała. Tylko Dominice było przykro.

Pięła się wąskimi schodami w górę, a potem szła długim szpitalnym korytarzem. Szukała sali, w której leżała jej matka, pragnęła jak najszybciej się tam znaleźć, usiąść przy jej łóżku i uścisnąć jej rękę.

Telefon cały czas wibrował, ale ona nie spojrzała na wyświetlacz. Nie do końca ufała Oli. Owiana tajemnicą koleżanka pojawiła się nagle i w najbardziej odpowiednim momencie życia Dominiki. To był dla niej przełom. Wcześniej, przez splot nieszczęśliwych wydarzeń, borykała się z myślami samobójczymi. Nie szukała pomocy. Starła się trzymać pionu i ani matka, ani ojciec nie zdawali sobie sprawy z tego, co przeżywa i jakie miotają ją emocje. Ola z niewiadomych dla Dominiki przyczyn, jako pierwsza wyciągnęła do niej dłoń. Pomogła jej zainteresowaniem oraz dobrym słowem. Potem zapoznała ją z towarzystwem wrzesińskich satanistów. I Domi odnalazła spokój. Poczula się wprawdzie akceptowana i szanowana, ale z czasem również osaczona. To, że nie zdoła uwolnić się od tego towarzystwa, zrozumiała zbyt późno. To nie było takie proste, w dodatku zaczęły przerażać ją ciemne bunkry, odwrócone do góry

nogami krzyże i narysowane czerwonym sprayem pentagramy. Nie tak matka ją wychowała. Nie tego jej matka by sobie życzyła. Dominiki policzki zrobiły się purpurowe. Już w wieku trzech lat sypała kwiatki na Boże Ciało, co tydzień uczestniczyła w mszy świętej, siedząc zawsze w pierwszej ławce. Taka sytuacja nie do końca jej odpowiadała. To nie był jej świat, ale na tamten moment jedyna alternatywa.

Idąc korytarzem pierwszego piętra szpitala, miała wrażenie, że mijają te same wychudzone, blade twarze i te same osłabione, ledwo trzymające się na nogach osoby, co na parterze. Wszyscy wyglądali tutaj jak klony, różnili się tylko wzrostem i kolorem chusty na głowie. Jedni o laskach, drudzy na wózkach inwalidzkich. I zapłakane małe dzieci z kolorowymi zawiniątkami na drobnych główkach. Czowała, że jej oczy kolejny raz wilgotnieją od łez.

Weszła do sali numer dwadzieścia, w której leżała jej matka. Pod białą kołdrą była wręcz niewidoczna. Wrak człowieka, skóra i kości. Tylko ziemisty kolor skóry na twarzy odbijał się od szpitalnej, sterylnej bieli. Biała chusta wtapiała się w białą poduszkę. Oczy miała zamknięte, ale nie spała, była czujna. Spodziewała się, że za moment do sali wejdzie jej córka.

– Cześć, kochanie. Jak ja za tobą tęskniłam – wydukała, prawie bełkocząc. – Wiem, że mówię niewyraźnie, ale tak mnie tutaj faszerują lekami, że nie czuję swoich ust. Język mam sparaliżowany i mi się płacze. W sumie to i tak jedyna sprawna część mojego ciała.

– Cześć mamuś, ja również tęskniłam, bardziej niż myślisz. Wracaj do nas. – Dominika uklękła przy łóżku i wtuliła twarz w białą kołdrę.

– Jeszcze trochę. Córuś, pięknie wyglądasz, ale nie jest ci za zimno? Kurtka, czarna, taka lekka? No co ty, jest styczeń. Powinnaś nosić szalik i czapkę, Tak ładnie ci w kolorach, w czerwieni. Córuś. – Matka ścisnęła dłoń Dominiki i tłumaczyła jej jak małemu dziecku, w co powinna się ubierać.

– Oj mamuś, jestem dorosła. Za moment mam osiemnaście lat, proszę cię, bez wykładów. Mamuś, lepiej porozmawiajmy o tobie.

– O mnie? Nie ma o czym. – Matka znowu zamknęła oczy. Z zewnętrznych kącików potoczyły się łzy.

– O czym marzysz? Czy jest jakiś sposób, żebym mogła spełnić twoje marzenie?

– Co u taty?

– Tata w pracy. Mamuś, nie zmieniaj tematu.

– W pracy?

Matka uśmiechnęła się nieco złośliwie. Sama się zdziwiła, że jej się to udało. Dominika nie potrafiła nic z tego uśmiechu wyczytać. Była szczęśliwa, że kąciki ust matki nieco się uniosły.

– Całe życie, jak twierdzi, ciężko pracuje, tylko my nic z tego nie mamy. Dlaczego, gdzie wkradł się błąd?

– Mamuś, tata przyjedzie, zmuszę go. Proszę cię, powiedz mi o czym marzysz. – Dominika wtuliła twarz w białą kołdrę i jeszcze mocniej odwzajemniała delikatny uścisk dłoni swojej matki.

– Wiesz, chciałabym posłuchać piosenek Drupiego. Jak ja go lubię. Tyle razy chciałam pojechać do Włoch i tyle razy nie pojechałam. Chciałam zwiedzić Toskanię i Rzym. Nawet podróż poślubna nam nie wyszła. Tata zachorował po weselu i musieliśmy

wszystko odwołać. Potem była praca, budowa domu, kredyty. Oj, nic nie układało się tak, jak chciałam. Nic, a nic.

– Mamo, ja mam telefon, wejdę na You Tube, posłuchamy razem tego przystojnego Włocha. Czy on jeszcze... – Dominika spontanicznością małego dziecka, chciała się zapytać, czy on jeszcze żyje, ale w ostatnim momencie ugryzła się w język. Słuchała zupełnie innej muzyki: Iron Maiden, Black Sabbath, Judas Priest, musiała się dostosować do grupki nowych znajomych. Włoskie disco było jej obce, a wokaliści zupełnie nieznani. – Poczekaj!

– O, kochana. Tak, Drupi żyje! Jak on pięknie śpiewa. – Dominika szybko weszła w Google, a potem w You Tube i, nie sprawdzając, czy w szpitalu jest internet, włączyła swoje transferowe dane.

– Zaraz, zaraz. – Po chwili z komórki rozległy się przyjazne, kojące uszy dźwięki piosenki Drupiego „Serenò” Dominika zanuciła:

– *Serenò, eee...*

– Masz piękny głos!

Matka spoglądała na nią z podziwem i z matczyną miłością. Domi uśmiechnęła się, ale nadal nuciła. Potem kobiety już słuchały w milczeniu.

– A „Piano, piano” – domagała się mama – też mi puścisz? Francesco Napoli, jaki on miał uśmiech. Ta szpara między zębami.

– Jasne, Francesco Napoli, już się robi, mamusiu. Chyba, że skończy mi się internet, ale poczekaj.

– *Piano, piano* – śpiewała chora.

Dominika była rada, że zdołała uraczyć mamę pięknymi dźwiękami włoskiego disco. Sama też czuła się uraczona. Włoskie melodie uświadomiły jej jeszcze bardziej, że subkultura, w której się

znalazła i ciężki metal nie są dla niej. Udawała, że jej się podobają. Spojrzała na swoją kostkę i uwieczniony na niej mały tatuaż „Miki”. Ciężko będzie go usunąć. Bolało ją przy tatuowaniu, przy usunięciu podobno ból jest gorszy.

Mama Dominiki patrzyła na sufit i cały czas nucila sobie:

– *Piano, piano...*

Jakby ta muzyka została w pomieszczeniu, mimo że przecież telefon milczał.

Po kilkunastu minutach zasnęły, Dominika na krześle z głową opartą o białą kołdrę, a mama na łóżku, na płaskiej poduszce.

Po dwóch dniach jej matka zmarła, to były ostatnie chwile, które udało im się spędzić razem. W ten dzień, późnym wieczorem, wracała pociągiem do domu i czuła, że coś się kończy. Tylko nie umiała sprecyzować co. Ucisk w żołądku i nieuzasadniona panika nie pozwalały jej myśleć inaczej. Ola czekała na nią na dworcu we Wrześni, ale ona nie miała ochoty na jej towarzystwo. Marzyła jedynie o szybkim prysznicu i dobrej książce. Ola jej na to nie pozwoliła.

Bolo zaparzył kubek kawy, odebrał telefon od Jadzi. Na zegarze zagościła godzina dwudziesta druga trzydzieści.

– Leon, mam nadzieję, że wrócisz na noc do domu. Jutro z rana jest msza za moją matkę, o ósmej. Pamiętasz?

– Cześć, kochanie, dzisiaj w ogóle nie wrócę do domu i proszę, nie krzycz na mnie. Mamy tutaj wielki galimatias i najprawdopodobniej straszną zbrodnię. Prześlę się w moim pokoiku na posterunku. Wybacz. – Mówiąc mały pokoik na

posterunku, miał na myśli niewielką, jak to nazywali policjanci, pakamerę w ich komisariacie.

– Uważaj na siebie, dziś źle mi się śniło. – Jadzia wydawała się być przejęta, jej głos się łamał i wydawało się, że zaraz się rozplacze. Nie lubiła jak jej mąż zawałał nocki i przedkładał prace ponad życie prywatne. Co prawda dzieci już dawno wyfrunęły z domu, Grzesio mieszkał w Warszawie, a Wandzia studiowała w Poznaniu, ale Jadzia wciąż pouczała Leona, że rodzina jest najważniejsza. – Noc jest od spania. Tyle razy ci to mówiłam. Naukowcy amerykańscy stwierdzili, że kto nie przesypia nocy, ten szybciej...

Leon nie dał jej skończyć. W tym momencie miał głęboko w nosie do jakich tez i wniosków doszli amerykańscy naukowcy. Chciał jak najszybciej rozwikłać to śledztwo z „ozorkiem” w tle, tym bardziej, że przez to zawile, niesmaczne zdarzenie, jego ulubiony salceson przestał być ulubionym. Pragnął dowiedzieć się, gdzie znajduje się ciało Dominiki. W dodatku nazajutrz czekał go wyjazd do Konina, już nawet umówił się z Aidą na wróżenie z kart. W rzeczy samej był podekscytowany, a zarazem rozbawiony.

– Ty to zawsze... Daj spokój. Jutro z rana przesłucham zatrzymanego i zaraz ląduję w domu. Przygotuj mi pyszne śniadanko i prowiant na drogę.

– Gdzie ty się wybierasz?

– Do Konina, to pilne. Sprawa służbowa.

– Oj, te twoje sprawy służbowe. Trzymaj się, kochanie. Kupiłam ci w markecie komplet bawełnianych podkoszulek. Trzy sztuki za jedyne osiemnaście dziewięćdziesiąt.

– Najchętniej zaraz bym się przebrał. Spociłem się jak szczur na wakacjach.

– Wypiorę i wyprasuję, wiesz, zapewne leżały w magazynach, a potem w sklepie były przymierzane przez innych, niezdecydowanych klientów. Same bakterie. Amerykańscy nauk...

– Jadzia, proszę, nie dziś.

– No dobra. – Jadzia powiedziała zrezygnowanym głosem. – Trzymaj się. Całuję.

– Pa. – Usiadł na krześle i bezradnie oparł głowę o blat, zasnął. Kawa w kubku wystygła, a jej aromat jak nigdy ululał go do lekkiego lecz czujnego snu.

Kiedy otworzył oczy, czuł, że jest cały połamany, ścierpła mu ręka i po chwili chwycił go skurcz. Nie mógł jej wyprostować, masował, wykonując proste ruchy rozcierania. W tym momencie do pokoju wszedł Widziu.

– Wiesz, która jest godzina? Pierwsza w nocy. Co ty tu robisz o tej godzinie? Dzwoniłem do ciebie, a ty nie odbierasz. Dzwoniłem do Jadzi, a ona twierdzi, że ty jesteś w pracy. Co z tobą?

– Lepiej powiedz mi, co ty tu robisz o tej godzinie, jak chcesz być produktywny?

– Ja nie mam żony ani dzieci, a już z pewnością nie dorobię się wnuków, nawet jakbym teraz kogoś zapłodnił, to wnuki będą oglądał z nieba. Nie muszę o siebie dbać.

Włodzimierz poprawił sobie kołnierz różowej koszuli. To był jego ulubiony kolor. Różowy i purpurowy. Miał w nosie, że idąc w tłum ludzi, za plecami słyszał słowa „pedzio”, „gej”. Nie był pedziem, był heteroseksualny, a różowy kolor po prostu uwielbiał od najmłodszych

lat. Jego mama chciała mieć córkę, mimo że lekarze jednogłośnie stwierdzili, że urodzi syna. Postanowiła pokój dla dziecka urządzić w kolorze różowym. Do końca się okłamywała. Całą wyprawkę kupiła w różowym kolorze, a do piątego roku życia kupowała Włodzimierzowi lalki. Dopiero, kiedy jej syn miał piąte urodziny, zrozumiała, że to jednak chłopiec. Przez następne dwa lata kupowała mu maskotki. Pierwszą zabawkę samochód otrzymał na gwiazdkę w wieku siedmiu lat, nigdy go nie rozpakował. Wolał lalki. Miłość do koloru różowego pozostała i przetrwała pięćdziesiąt lat. Ostatnio kupił sobie różowy, męski dres Bossa. I już się nie mógł doczekać kiedy się w niego ubierze.

– Ty do nieba, dobre sobie. Ha, ha. – Leon zaśmiał się w głos.

– Ty lepiej nie żartuj. Musisz o siebie dbać. – Widziui przejął się bladą i opuchniętą twarzą kolegi.

– Spałem jakieś trzy godziny, ale widzisz, ścierpłem. Zresztą, co tam zmęczenie, Jadzia o mnie dba. Kupiła mi nawet pięć kilogramów soli Epsom z internetu, żebym się w niej kąpał. Dlatego czuję się jak młody Bóg. Masz tego Michała? – Włodzimierz zmienił temat.

W takich momentach marzył, żeby mieć kogoś, kto też by tak o niego zadbał. Generalnie będąc singlem dobrze mu się żyło, nie miał zobowiązań, nikt mu nie marudził, nie prowokował infantylnych awantur. Tak jak jego kolegom, ale były takie momenty, że pragnął drugiej połówki. O niego nie miał kto dbać, bał się starości. Przed paroma latami umarła jego matka, po roku ojciec. Włodzimierz był sierotą, a zarazem samotnym kawalerem do wzięcia.

– Tak, wczoraj oglądałem monitoring. Z tym Michałem to faktycznie podejrzana sprawa, weźmiemy go pod włos. Ale mam

jeszcze kogoś. To, co ci mówiłem ostatnio. Ten podstarzały DJ, on niemal codziennie przesiadywał w kawiarence. Tego dnia, kiedy Domi wyfrunęła z kawiarenki w trakcie pracy, jak ptaszek z klatki co wpadł na kotka, DJ też tam był. Przyszedł z samego rana, obserwował ją. Widać to gołym okiem, nawet nie trzeba przybliżać. Natomiast kiedy około dwunastej w południe Domi wyszła, to on też zniknął. W godzinach popołudniowych pojawił się z powrotem, ale tylko na moment usiadł przy kuflu piwa. Co robił potem? No zgadnij.

– Nie mam pojęcia. – Widziusiadł naprzeciwko Leona i kręcił głową na znak, że nie wie o co chodzi.

– To ci powiem! Grzebał w śmietniku. Pokażę ci. Uważam, że trzeba go przesłuchać. I to jak najszybciej.

– To dawaj tego Michała, a potem DJ-a. Krystyna ma zamiar jutro z samego rana pojechać do Majewskiego, dzwoniła do mnie, żeby o tym poinformować. Dziś nie dała rady. Basia.

– Basia. Ciekawe, co znowu narozrabiła?

– Dowiesz się szybciej niż ja!

– To i lepiej. Takich ludzi jak Majewscy lepiej odwiedzać z rana. Wiesz, tylu ludzi ginie bezpowrotnie. Majewscy to solidna mafia, lepiej być czujnym.

– To co, popychamy to śledztwo do przodu? Godzina druga w nocy odpowiednia na przesłuchanie Michałka, humanitarne czy nie?

– Jak najbardziej humanitarne, osłabiony i bezradny Michał, więcej nam powie.

– W razie czego będzie na ciebie. Krysia utrzyma nam uszy.

Bolo w tym momencie podniósł słuchawkę telefonu i nakazał

dyżurującym w portierni policjantom przyprowadzić Michała Krygiera. Potem rozsiadł się na krześle w szerokim rozkroku i głaskał się po brzuchu. Oczekiwali podejrzanego w sprawie zatrzymanego. Widziui wstał z krzesła, stanął przy oknie i obserwował oświetloną ulicznymi latarniami otchłań. Tęsknił za swoimi czterema kątami, łóżkiem i ping-pongiem. Wyobrażał sobie, jak od zielonego blatu odbija się celuloidowa piłeczka. Codziennie przed snem grał sam ze sobą w ping-ponga. W jego stołowym pokoju, na środku, zamiast stołu z krzesłami, od niepamiętnych lat stoi do połowy otwarty stół pingpongowy. Do połowy, ponieważ druga połówka była oparta o ścianę i służyła mu za wyimaginowanego gracza. To od niej odbijał piłeczkę. Doszedł już do dwustu odbić bez skuchy. Uwielbiał ten sport. Na profesjonalną rozgrywkę z prawdziwym przeciwnikiem w ludzkiej skórze nie miał czasu się zapisać. Był pewien, że z każdym by wygrał. Władał paletką jak wróżka różdżką. Mało kto miałby z nim szansę. Może nawet wygrałby olimpiadę. Patrzył w otchłań i słyszał dźwięki odbijanej o paletkę białej, lekkiej i delikatnej piłeczki.

Dyżurny wszedł wraz z ubezwłasnowolnionym kajdankami Michałem Krygierem. Ten, zobaczywszy policjantów, spuścił głowę, chowając tym samym czerwone od płaczu oczy. Wydawał się mniejszy i drobniejszy, jakby miniony wieczór pozbawił go witalności i kilku kilogramów. To dla Bola był dobry znak, w życiu prywatnym nie miał zwyczaju kopać leżącego, w zawodowym zawsze. Wiedział, że Jadzia by go za to skarciła. Znając jej matczyne do każdego podejście, zaparzyłaby Michałowi herbaty i okryła go kocem. Na

szczęście nie do końca zdawała sobie sprawę, jak przebiega pospolity dzień w pracy Leona.

– No to słucham? – rzekł Leon, jeszcze bardziej zachrypniętym niż zazwyczaj głosem.

– Co słucham? Ja jej nie zabiłem. Tłumaczę.

Michał stał wciąż w tym samym miejscu, w którym postawił go policjant dyżurujący w portierni. Trochę fikał, ale widać było, że ostatnimi resztkami sił.

– Proszę siadać. – Leon wskazał miejsce, które zazwyczaj zajmuje jego kolega Włodzimierz.

– Dlaczego pan za nią szedł?

– Ponieważ obrażała moją narzeczoną. Tyle, chciałem z nią pogadać. Nie mógłbym odciąć jej języka. Halo! W ogóle to jakieś cholerne nieporozumienie, zapłacicie mi za to, gnojki.

– Proszę opowiedzieć wszystko po kolei, inaczej nie wypuścimy stąd pana. Zatrzymamy na kolejne dwadzieścia cztery godziny, a może i dłużej.

– Nie macie prawa.

– A pan miał prawo śledzić Dominikę?

– Tego dnia Ewelina od rana płakała. Babcia jest coraz bardziej upierdliwa, zachowuje się jak prawdziwy czubek.

– To chora kobieta!

– Wiem, ale... chciałem pojechać z narzeczoną nad morze albo nad jezioro, żeby odpocząć. Choćby do Powidza, tam jest najpiękniejsze z możliwych jezior w Wielkopolsce. Wpływa do niego rzeka Mieszna, która przepływa przez Giewartowo. Pochodzę z Giewartowa, będąc na obczyźnie tęsknię do korzeni. Kiedy nurkuje

w tym jeziorze, to czuję się jak kiedyś. Kiedy byłem młody. Wtedy wszystko wydawało się pięknie proste. Czego się tu dziwić.

– Do rzeczy – upomniał go Leon, nie chciał słuchać wykładu z geografii. Szczerze, to w szkole nie przepadał za tym przedmiotem.

– Dodam tylko, że wychowałem się na zupie z raków z tego właśnie jeziora. – Michał musiał dokończyć. – A ona jak zawsze nie, bo kierowniczką. Nie, bo nie dostanę urlopu. Nie, bo babcia – kontynuował. – I tak w kółko. Wkurzyłem się. Domi co chwilę ją wyzywa, narzuca swoje zdanie, miesza ją z błotem.

– Wkurzył się pan i w odwecie postanowił pan wyrwać jej język. Gdzie jest ciało?

– Ja jej nie zabiłem. Szedłem za nią. Najpierw stałem obok kawiarenki, żeby zobaczyć, jak rzeczywiście zachowuje się Domi i czy Ewela nie kłamie. Nie kłamała, to wredne babsko. Gnida, wsza, wszystko razem.

– Nie ufa pan narzeczonej?

– To nie tak. Ufam, ale... chciałem usłyszeć na własne uszy i zobaczyć na własne oczy, i tyle... Byłem w szoku. Wyzywała zatrudnione w kawiarence dziewczyny od głupków. Kiedy jedna z nich się popłakała, to zaczęła gadać do nich po włosku. Niedouk, strasznie kaleczy ten język. Ja akurat znam kilka języków obcych, w tym włoski, ponieważ pracuję za granicą.

– Nie każdy, kto pracuje za granicą, zna języki.

– Ja znam! – Michał odpowiedział twardo, ale ton jakim mówił i wygląd wzajemnie się wykluczały.

– Co mówiła?

– Na przykład: *Muoveti pigri imbecilli*, albo *Idioti, cretini. Cono devo lavorare siete troppo scemi*.

– Faktycznie zna pan włoski! Co to znaczy?

– No, każdy by zrozumiał. Wyzywała je od idiotek i kretynek. Od leniwych głupków. Żałowała siebie, że musi z nimi pracować. To ja panu powiem, powinna być im wdzięczna za to, że one na nią pracują. To ona jest leniwym głupkiem. Kurczę, Włochy jej się marzą, faktycznie tam pasuje, pod względem rury do roboty.

– I co było potem, kiedy wyszła z kawiarni? – Leonowi zachciało się śmiać, na temat obywateli Włoch miał podobne zdanie. Nie zaśmiał się, nie mógł. Sprawa była poważna.

Włodzimierz cały czas stał odwrócony przodem do okna, tym samym tyłem do rozmówców. Nie chciał przeszkadzać koledze w zadawaniu pytań, nie chciał się wtrącać. Wydawał się być nieobecny i zamyślony, ale tak nie było. Słuchał i wyciągał wnioski. W między czasie wyobrażał sobie, jak odbija białą, lekką piłeczkę. Jeszcze bardziej wyprostował swoje wysportowane ciało, dobrze w nim się czuł.

– Nie wiedziałem, że wyjdzie. Obserwowałem ją tylko. I nagle los się do mnie uśmiechnął. Ubrana i wyperfumowana wyszła z kawiarenki w godzinach pracy. Nic innego, tylko trzeba za nią iść. Przeszliśmy krok za krokiem niemal całą ulicę Warszawską i wtedy mi zniknęła.

– Jak to zniknęła?

– Nagle skręciła w bramę i ślad po niej się urwał. Wszedłem do tej bramy w nadziei, że uda mi się z nią porozmawiać. Na placu między kamienicami jej nie było. Ulotniła się jak kamfora. Siedziałem

kilka godzin na drewnianej ławeczce, i nic. Wszedłem też do pobliskiego szewca i do sklepu z wagami, tam też jej nie było. Zniknęła. Więcej jej nie widziałem. – Michał spuścił głowę w dół. – Chce mi się pić.

– Potem – oznajmił Leon. – Co było dalej? Powiedział pan, że czekał kilka godzin. Ile dokładnie?

– Nie wiem, ze cztery. Tak do osiemnastej.

– Na monitoringu nagrało się, że około godziny siedemnastej kieruje się pan w stronę ulicy Chrobrego, nie szedł pan z powrotem do kawiarenki, nie chciał pan odwiedzić Eweliny.

– Nie chciałem, żeby domyśliła się, że babcia jest pod opieką kogoś innego. Zabiłaby mnie, a ja nie lubię się kłócić.

– Czyli nie czekał pan na Dominikę cztery godziny, tak jak pan twierdzi, tylko niecałe trzy!

– No dobrze. Czekałem jakieś trzy godziny, żeby z nią pogadać, ale ona nie wróciła. Kiedy na zegarze zbliżała się godzina, sam już nie wiem która, postanowiłem wrócić do domu. Murzyn pisał mi esemesy, że się spieszy, a babcia daje mu do wiwatu. Rozmawiała sama ze sobą, wchodziła na krzesło, potem parapet, chciała wyskoczyć przez okno. Wyzywała go, że jest chory i ślepy, bo jej właśnie tej nocy urosły skrzydła. Dramat.

– No dobrze, może i to brzmi wiarygodnie, ale musimy pana jeszcze zatrzymać. Przykro nam. Może nie działał pan w pojedynkę, może na pana prośbę ktoś inny podrzucił zgubę do śmietnika. Na przykład ten Murzyn.

– Co wy pieprzycie? Co za brednie? Murzyn to dobry chłopak, on

nie ma z tym nic wspólnego. Miał być księdzem. Dlaczego nie chcecie mnie wypuścić? Przecież powiedziałem prawdę.

– Dlaczego nie zaczepił jej pan wcześniej? Dlaczego szedł pan za nią, aż ta skręciła w ciemną bramę. Na co pan czekał?

– To była dwunasta, w bramie było jasno. Jest coś takiego, co potocznie nazywa się dniem i słońcem. To fajna laska, bałem się, że mnie publicznie zbeszta. Czekałem na odpowiedni moment.

– Co ja mam z panem zrobić? – Leon ciężko opadł na oparcie krzesła i spojrzał w sufit. – Musimy przesłuchać Murzyna. Proszę, aby podał pan nam jego imię i nazwisko, numer telefonu, względnie adres.

– Róbcie, co chcecie. Ja tylko chcę wrócić do domu. Nic jej nie zrobiłem. Przecież gdybym jej coś zrobił, to byłoby nagranie, że wracam do kawiarenki i wrzucam coś do śmietnika, albo że komuś coś przekazuje, żeby wrzucił to za mnie. Przesłuchajcie Murzyna, potwierdzi moją wersję, nie wróciłem uwalany brunatną, skrzepniętą krwią. Kurczę, błagam was. Moja narzeczona jest na skraju załamania, muszę wrócić do domu, błagam.

– Może tak, może nie. Niestety na podwórzu między kamienicami nie ma monitoringu, dlatego musimy przesłuchać kilka dodatkowych osób. Obsługę sklepu z wagami, szewca. I jeszcze Murzyna. Jeżeli on potwierdzi pana wersję, zapewni mnie, że w pana zachowaniu tego dnia nie było nic podejrzanego, to wtedy pana wypuszczę. Wyprowadzić – dodał do Widzia.

– Robi się.

Widziu zniknął wraz z podejrzanym.

Kiedy wrócił i usiadł na jeszcze ciepłym krześle, rzekł do Leona:

– To nie on. Patrzył na żółty ołówek. Kręcił nim między palcami i oglądał z zaciekawieniem, jakby pierwszy raz w życiu widział żółty ołówek.

– Skąd ta pewność?

– Cały czas mówił o niej w czasie teraźniejszym, gdyby coś jej zrobił używałby czasu przeszłego. To nie on! W dodatku mówił o języku jako o „odciętym”, to nie on!

– A ty co? Pierwszy raz widzisz ołówek?

– Znasz kawał o ołówku?

– Nie, dawaj – powiedział ochoczo.

– Ostrzytko zaszło w ciążę. Który ołówek jest ojcem?

– To głupie. Nie wiem!

– No dalej, pomyśl.

– Nie wiem – Leon wydał się zniecierpliwiony.

– Ten bez gumki.

Włodzimierz zaczął się śmiać.

– Ale beton.

– Co za beton?

– Ten kawał.

– Przyznaj się, zaskoczyłem cię, jednak twoja główka nie pracuje tak, jak powinna. Czas na sen.

– Pracuje, pracuje. – odpowiedział, chichocząc.

– To nie on – powtórzył Włodzimierz. – Musimy go wypuścić. I to jak najszybciej, prawdziwy oprawca jest na wolności. Szkoda naszego czasu.

– Może działali razem z tą Ewelina?

– Niemożliwe, to nie ona, to nie on! Ewelina cały dzień ciężko

pracowała. Nie była świadoma, że Michał obserwuje kawiarenkę. To nie oni!

– Musimy przeorać kamienicę na Warszawskiej, dowiedzieć się, po co i dlaczego Domi tam się udała. Może, w którymś z mieszkań, ktoś ją przetrzymuje. Sam nie wiem. Co myślisz?

– To ma sens.

– A ty, co dziś ustaliłeś?

– Miałem kilku podejrzanych z Alfy, tam gdzie Domi uczęszczała na kurs włoskiego, ale to nic specjalnego. Takie tam, poszlaki. Myślę, że można by pogrzebać w mrocznej przeszłości Domi i jej powiązaniach z wrzezińskimi pseudosatanistami. Chociaż przez cztery lata wiele mogło się zmienić, niektóre jednak kontakty ciągną się jak ślimak na elewacji. Zobaczymy – dodał.

– Zobaczymy, zobaczymy. Mnie jutro czeka Konin i ten DJ. Jego w pierwszej kolejności powinienem przesłuchać. Jednak najpierw Konin.

– Wiesz co, ja pojedę do Konina – wtrącił Widziu. – Ty jedź do DJ-a. Potem wspólnie rozgryziemy tajemnicę kamienicy na Warszawskiej i jej wszystkie zakamarki. No i wrzezińskich satanistów. Jeszcze raz trzeba będzie kogoś wytypować i kogoś wyeliminować.

– Ciekawi cię twoja przyszłość? Wróżka Aida prawdę ci powie. Przyznaj się.

– Nie wiem, o co chodzi. – Włodzimierz nie był świadomy tego, że Leon dla dobra śledztwa umówił się z wróżką.

– Jutro o godzinie dwunastej jestem umówiony na wróżenie

z kart. Tak mi przykro, że chcesz odebrać mi tę przyjemność. –
Zrobił wymowny dzióbek.

– Czyli co? Wanda Wasilewska czy wróżka?

– Dwa w jednym.

– Ciekawe rzeczy czekają mnie w tym Koninie. Jadę! A ty opowiadaj.

Bolo streścił Włodzimierzowi, o co w tym wszystkim chodzi i obaj śmiali się do rozpuku. Na dworze zrobiło się widno, słychać było pierwsze odgłosy poruszających się na ulicach Gniezna aut.

Bolo odebrał telefon służbowy. Głośny peerelowski dzwonek wybudził go z kolejnej, trzeciej drzemki w tej dobie. Na dole, w portierni, czekała na rozmowę z nim Ewelina – kazał ją wprowadzić. Sam podszedł do umywalki, by przemyć twarz i nałożył grubą warstwę kremu Nivea, ponieważ Jadzia uważała, że to jest najlepszy krem pod słońcem. A on nie chciał wypaść przed Eweliną na zaniechanego, nieogarniętego glinę. Delektował swoje nozdrza zapachem mazidła i obserwował jak ten wchłania się w jego wysuszoną cerę. Jadzia od zawsze używała Nivea. Twierdziła, że wszyscy którzy go nie stosują, robią przeogromny błąd. Kiedyś pokłóciła się o to ze swoją siostrą. Siostra Jadzi, Janina, uważała, że ten krem nie pomaga i nie szkodzi, czyli jest do dupy. Jadzia miała ochotę wydrapać siostrze oczy. Najpierw jednak dała jej wykład, co na ten temat twierdzą amerykańscy naukowcy. Po tym wykładzie przez dwa lata między nimi trwała cisza grobowa. Jadzia czuła się podwójnie urażona, ponieważ Janina stwierdziła, że w kolorowych brukowcach napiszą byle gówno, a amerykańscy naukowcy mają ważniejsze sprawy na głowie. Odważyła się też powiedzieć, że

Jadzia wszystko sobie wymyśla, a jej wywody nie pokrywają się z prawdą. Jednym słowem, kłamie powołując się na naukowców. Jadzia przez cały tydzień płakała.

– Co z nim?! Co z Michałem?! – wykrzyczała Ewelina, jak tylko przekroczyła próg pokoju. – Co mu zrobiliście? Błagam.

W pokoju dało się wyczuć kłujący zapach świeżego, potu, Leon zmarszczył nos. Jego starania o dobry wygląd okazały się daremne.

– Ciszej, całą noc nie spałem. Błagam, pani Ewelino.

– Co z nim? – Ewelina powtórzyła ściszym głosem i usiadła na wysiedzianym tej nocy krześle.

– Musimy go jeszcze zatrzymać. Myślę, że to kwestia formalności i kilku godzin. Spokojnie, pani Ewelino, proszę się nie martwić. Proszę pomyśleć o sobie i o babci.

– To mi się śni, to jakiś koszmar. Co z nim, jak on się czuje?

– Radzi sobie. Sama pani widzi, kto by pomyślał.

– Co? On to zrobił, czy nie on? Przyznał się?

– Nie. Wyjaśnił całą sytuację. Ta Dominika faktycznie aż tak was obrażała? Potrafiła być taka przykra?

Leon otworzył szerzej swoje zmęczone oczy, tak jakby nagle całe to zmęczenie odeszło. Oczekiwał odpowiedzi.

– Tak. Była wredna jak cholera. *Grasso maiale*. Tak właśnie na mnie mówiła, kiedy dałam jej reprimendę, że nie obraża się bliźniego. Myślała, że się nie domyślę, co to oznacza, a ja wiedziałam. Michał mi powiedział. To znaczy: spaśna świnią. Zabroniłam jej obrażać mnie po polsku, to robiła to po włosku. Żmija.

– Rozumiem, no faktycznie cięty miała język, ale czy zasłużyła na

to, żeby jej go wyrwać. *Nie liź tego, co przykleja się do języka* – Leon powiedział bardziej do siebie.

– Michał zna włoski, francuski i niemiecki. To mądry chłopak i pracowity. On nie mógł jej zabić, to nie on.

– Proszę sobie coś przypomnieć. Może podejrzewa pani kogoś, kto mógłby zrobić krzywdę Dominice? Pani Ewelino, ktoś do niej przychodził, groził jej.

– Wie pan, w ten dzień dziwnym było to, że ona w ogóle odbierając telefon ukryła się w socjalnym. Nie krzyczała, nie rzuciła telefonem w kąt, nie rozbiła go na pierwszej lepszej ścianie. Spojrzała na wyświetlacz i zaraz próbowała się gdzieś ukryć. Chyba ze strachu, żeby nikt nie słyszał treści rozmowy. Schowała się do socjalnego i rozmawiała szeptem. Potem wyszła, a ja po raz pierwszy widziałam ją tak przestraszoną. Nie wiem, kto do niej dzwonił i po co. Nie umiem panu powiedzieć, o czym rozmawiała z tym kimś. Na tamten moment tego nie rozumiałam i nie próbowałam zrozumieć. Cieszyłyśmy się z Marzeną, że Domi zniknęła, że zostałyśmy same. Dziś już wiem, że jej zachowanie było niecodzienne. Była w niebezpieczeństwie. Gdybym wiedziała, to bym jej pomogła.

Leon patrzył na Ewelinę, wyraźnie oczekiwał więcej informacji, więcej szczegółów.

– Gdyby pani coś sobie przypomniała, cokolwiek? – podpytywał.

Ewelina schyliła głowę.

– Kurczę, sama nie wiem. Może to ten facet, taki jeden, rudy, chudy. Może to on? – Zamyśliła się. – Groził naszej Domi.

– Może pani to bardziej rozwinąć? Jaki facet?

– To było tydzień temu. On nie był częstym gościem Incognito, ale czasem u nas bywał. Zawsze sam. To były sąsiad mojej ciotki. Rok temu się wyprowadził. Nie wiem, gdzie obecnie mieszka, ale moja ciotka zawsze gadała, że to jest dziwak. W tamten dzień, na tydzień przed tą masakrą, Domi była nieco roztrzępana. Wszystkie byliśmy roztrzępane. Klientów mnożyło się jak mrówek, Kamila Stos poszła na urlop i brakowało rąk do pracy. Faktycznie, jak o tym pomyślę i wgłębię się w temat... to co teraz powiem ma jakiś głębszy sens. Wtedy, w tamten dzień, Domi najwyraźniej się pomyliła, bo źle wydała temu facetowi resztę.

– O to się wkurzył?

– Chyba tak. Miał do zapłaty piętnaście złotych, a dał jej niby stówę. W reszcie otrzymał trzydzieści pięć złotych. Zorientował się dopiero w domu i wrócił. Rzekomo Domi się pomyliła i źle mu wydała. Ona jednak szła w zaparte i wmawiała mu, że to on kłamie. Krzyczała na niego, on na nią. Afera jak sto pięćdziesiąt, goście kawiarenki już chcieli dzwonić na policję. O mały włos nie doszłoby do rękoczynów. Domi nie chciała oddać mu reszty.

– I co wtedy?

– On żądał nagrania monitoringu, ale ten nasz monitoring to cholerna atrapa.

Leon się uśmiechnął. W duchu przyznał Ewelinie rację – gdyby nie monitoring miejski, policjanci byłiby w czarnej dupie.

– Ten wasz monitoring to lekkie nieporozumienie.

– Dokładnie tak. – Ewelina przytaknęła i ciągnęła dalej dziwną historię. – Mężczyzna był rozjuszony. Groził, że pożałuje. Splunął jej pod nogi i wyszedł. Następnego dnia Domi zjawiła się w pracy bez

makijażu, była, delikatnie mówiąc, wkurwiona. W nocy ktoś porysował jej samochód i wybił przednią szybę. Wspominała też coś o wyrwanym migaczu. Samochód zaparkowała na Wenecji, bo w mieście nie było miejsca. Tam nie ma monitoringu i sprawca wandalizmu pozostał po dziś dzień nieznanym. To, że zrobił to ten facet, to były tylko nasze przypuszczenia. Na szczęście Domi miała AC i ubezpieczalnia pokryła koszty naprawy zdewastowanego samochodu. Może to on? Może to on zrobił jej krzywdę?

– O pięćdziesiąt złotych tyle rabanu?

– Nie wiem, tak dumam. Tak domniemywałyśmy.

– Dominika mieszkała blisko kawiarenki, a do pracy jeździła autem. Dziwne, nie uważa pani? W dodatku parkowała go znacznie dalej od pracy, niż mieszkała.

– Domi lubiła szpanować. Czerwoną toyotę, którą niedawno zakupiła, celebrowała jak świętość. Ponoć, tak nam się chwaliła, pół godziny przed pracą wyjeżdżała na miasto i z triumfem urządzała bezcelowe przejażdżki ulicami Gniezna. Taka była!

– Samochód, no właśnie. Gdzie on może być zaparkowany?

– Nie wiem. Domi nie posiadała garażu, parkowała, gdzie jej się podobało albo gdzie było wolne miejsce.

– Rozumiem. Najgorsze jest to, że w jej mieszkaniu nie znaleźliśmy ani komputera, ani laptopa, ani papierów od auta. Kluczyków też nie było. Nie miała komputera? Może ktoś wszedł do jej mieszkania i wszystko ukradł?

– Wy to powinniście wiedzieć. Zresztą teraz, w dobie smartfonów, kto kupuje komputer? Może i nie miała komputera, ale najnowszego

smartfona, czy iphona to miała. Za jakieś trzy tysiące, może i więcej. Wiem, że była ostrożna i korzystała z Whonixa.

– I to wszystko utrudnia. A ten awanturujący się mężczyzna. Przypomina sobie pani dokładną datę zdarzenia?

– Dwudziesty drugi czerwca, dzień przed zakończeniem roku szkolnego. Niecały tydzień przed zbrodnią. Czwartek. Przesłuchacie też naszego szefa?

– A powinniśmy? – Leon poczuł się zaskoczony, a nawet zawstydzony. Jak mógł o tym nie pomyśleć.

– Nie wiem. Tak pytam.

– Dlaczego powinniśmy go przesłuchać?

– Oni... To znaczy Domi i szef mieli romans. Bzykali się wieczorem po pracy, a czasem rano przed pracą. Zawsze, gdy przyjeżdżał na obchód. Domi miała nadzieję, że szef rozwiedzie się z żoną i to z nią się ożeni. Była naiwna. Nasz szef nigdy by tego nie zrobił. Kochał żonę, ona jest w ciąży.

– Ma pani numer do szefa?

– Tak... z tym, że teraz wczasują się na Karaibach. Wyjechali dwudziestego czerwca, wracają z początkiem lipca. Bodajże szóstego.

– Do szóstego lipca to my musimy znaleźć ciało i rozwikłać tę zagadkę.

– Dobrze by było, ja cały czas mam nadzieję, że Domi żyje.

– Pani Ewelino, dziękuję za treściwe i drogocenne informacje. Odezwę się. Może wspólnie namierzymy tego awanturującego się mężczyznę. Myślę, że miejski monitoring ma obszerną pamięć.

I proszę się nie martwić, narzeczony najpóźniej jutro zjawi się w domu.

– Dziękuję.

– Jeszcze jedno...

– Tak?

– Ten Murzyn, kto to taki? Dobrze go pani zna?

– Tak, w porządku. To kleryk. To znaczy dwa miesiące temu wystąpił z zakonu, przestraszył się ślubów i wyrzeczeń. Z tym, że na wolności nie bardzo może się odnaleźć. I chyba chce znowu wrócić do zakonu. To dobry chłopak. Szuka swojej drogi, jak większość z nas.

– Wybacz pani Michałowi?

– Wybaczanie to podstawa. Myślę, że podołam.

Sadowska niecierpliwiła się stojąc, przed wielką, żeliwną bramą. Teren był ogromny, przez moment czuła się jakby grała rolę w tureckiej telenoweli. I to ona miała grać biedną, młodą Turczynkę, która ma zamiar znaleźć pracę u tureckiego potentata. *Po co mi było się uczyć* – myślała. – *Trzeba było zaprzyjaźnić się z tym i owym i też bym tak miała: sześć kamienic i wielką willę. Człowiek chciał być uczciwy, po jakiego łotra.* Nagle wrota automatycznie zaczęły się otwierać. Sunęły w bok bardzo powoli – właściciel ogromnej willi specjalnie spowolnił ten proces, by móc ją po kawałku obserwować. Weszła na wielką, kilkuhektarową posesję. Zielony, równo przystrzyżony trawnik połaskotał jej oczy, a kompozycja wielkich, egzotycznych traw poprawiła ten zabieg. Krystyna zamrugnęła. Widok był przepiękny, sprawił, że prokurator zatęskniła za urlopem.

Ostatnia sprawa i wyjeżdżam na zasłużone wakacje, razem z Basią
– przyrzekała sobie wkraczając na posesję gnieźnieńskiego
biznesmena.

– Witam szanowną prokurator. Kopę lat. Co tam? Jakiś przetarg
na kamienicę się szykuje? Jestem za. – Przemysław Majewski
wyciągnął dłoń na przywitanie. Wszystko w jego zachowaniu było
sztuczne i przemyślane. Na jego ustach gościł szeroki uśmiech,
a spod niego wyłonił się rząd nierównych, żółtych zębów.
W kącikach ust, jak zawsze zbierała mu się ślina. I tylko to zdradzało
go, że wciąż jest tym samym, zakompleksionym, głupiutkim
chłopcem z dyskoteki sprzed dwudziestu lat. Krystyna miała ochotę
zwymiotować. Po dziś dzień czuła na pośladkach jego spoczone
dłonie, a na policzku jego cieknąca ślinę. Mogła wtedy zostać jego
dziewczyną. Otrzymała taką propozycję.

– Jestem tu służbowo i całkiem legalnie. Z przetargiem to do
magistratu, choć świętej pamięci ciocia już nie pomoże, czyż nie?

Poczuła, że załącza jej się agresor. Gdyby nie znajomości ciotki
Przemka, Walerii Lipińskiej i jej liczne układy w sądzie, prokuraturze
i magistracie, Majewscy cały czas byliby podrzędnymi piekarzami. To
dzięki ciotce zdobyli taki majątek i tyle kamienic. Przekręt stulecia.
Według niezawisłego sądu, poprzedni właściciele tychże kamienic,
żyli jakieś sto pięćdziesiąt lat, a przed śmiercią kamienice
sprzedawali za jedyne dwa tysiące. Lewe umowy, lewe testamenty
i nikt się za to nie chciał zabrać. Każdy umywał ręce.

– Oj, widzę, że grubsza afera. Pytam z ciekawości, o co chodzi
pięknej pani prokurator? Cały czas działa pani na mnie jak
afrodyzjak. Och, gdybym mógł...

– Nie może pan! Chcę usiąść i spokojnie porozmawiać. Chyba, że od razu pojedziemy na posterunek. Co pan na to?

Niby taki biznesmen całą gębą, a o higienie nie ma pojęcia. Na szczęście nie powiedziała tego na głos, w ostatnim momencie ugryzła się w język. Krystynę zakłuł w nos zapach spoconych stóp. Nachyliła się nad czerwoną różą:

– Ładnie pachnie.

Przemysław doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale chciał być złośliwy. W tym momencie wysoko do góry podniósł stopę w gumowym laczku i zaczął się obwąchiwać.

– Wolę naturę. Proszę spocząć. – Gestem ręki wskazał jej zielony, ratanowy leżaczek wyściełany zieloną poduchą. – W czym problem? – dodał, podając jej szklaneczkę wody.

– Problem, hm. Może nie owijajmy w bawełnę. Co łączyło pana z Dominiką Patyczak?

– Z Domi... A co?

– Proszę odpowiedzieć.

– Nic specjalnego. Wynajmowała mieszkanie w mojej kamienicy, ale to wszystko. A o co chodzi, komuś nawymyślała i dostała w dziób?

– *Wynajmowała mieszkanie*, to już nie wynajmuje?

– No raczej, z wyrwanym językiem...

– Skąd pan wie?

– Baa, ja wiem wszystko.

– Ja też dużo wiem. Wiem też, że miał pan z nią romans. Czy chce pan coś dodać?

Krystyna miała ochotę oblać łotra wodą ze szklanki, żałowała

tylko, że to nie wrzątek.

– Romans? Jaki romans? Co pani bredzi?

– Romans, taki wie pan, mężczyzna i kobieta razem w łóżku.

Może romans ujrzał światło dzienne i...

– I?

– Zapewne chciał się jej pan pozbyć, tak samo jak reszty lokatorów?

– Jaki pan, Krystyno! Przecież bawiliśmy się razem w Hawanie. Jaki pan? Krysiu, nie bądźmy formalistami.

– Dla ciebie prokurator Krystyna Sadowska!

– Co to? Wstydzimy się mężulka? Nie chcieliśmy jego nazwiska?

– Krystyna miała ochotę go spoliczkować. Wzięła trzy szybkie wdechy, napiła się wody i kontynuowała.

– Niepotrzebne komentarze staram się ignorować. Proszę odpowiedzieć na moje pytania.

– Nie, nie chciałem się jej pozbyć i nie miałem z nią romansu. Domi mieszkała w mojej kamienicy, bo chciała. Mnie to nie przeszkadzało.

– Dlatego, że dodatkowo płaciła panu w naturze?

– Skąd takie informacje?

– Zadałam panu pytanie.

W tym momencie z domu wyszła drobna blondynka, która na swoich rękach trzymała malutkie dziecko. Skryte było w pulchnym, białym śpiworku. Podeszła do męża i schwyciła go za ramię.

– Co tam kochanie?

– Nic, idź bo zmarzniesz.

– Raczej przegrzejesz bobaska. Chłopczyk czy dziewczynka? –

Krystyna, która nie czuła się spełniona w macierzyństwie i w młodości popełniała liczne błędy jako matka, chciała w tym momencie zabłysnąć. Teraz wszystko widziała wyraźniej, umiała wychwytać brak profesjonalizmu każdej matki. Chociaż siedemnaście lat wcześniej popełniała identyczne błędy, a może i gorsze, bo chyba ani razu nie wzięła Basi na swoje ręce.

– Dziewczynka, ma na imię Klaudia. To moje czwarte dziecko. Wiem co robię. Klaudia ma zapalenie płuc. Śpiworek jest wskazany!

– Piękne imię. – Krystyna poczuła bat na plecach. Żona Przemysława, tak samo jak Przemysław, była pewna siebie. Gdyby Krystyna taka potrafiła być! Odpłynęła na ułamek sekundy. – To co, panie Przemysławie. Jak to było? Dowiem się? – Szybko wróciła do tematu. Pragnęła zdemaskować podejrzanego typa. Na rękę by jej było, gdyby poszedł siedzieć do więzienia. Głównie za tę zbrodnię i za wszystko inne. Wypląnęłyby jego machlojki i dostałby dożywocie.

– Nic poza tym, co powiedziałem. Nic mnie z nią nie łączyło.

Żona biznesmena, prostując plecy, oddaliła się prężnym krokiem, tuląc dziecko do piersi. Wyraźnie nie chciała być świadkiem tej rozmowy. Na jej twarzy wyrysowany był strach i żal. Wzrok był rozbiegany, wyglądała na taką, co błądzi w kłębkach brudnych pytań, na które nie ma odpowiedzi.

– Gdzie pan był dwudziestego ósmego czerwca między dwunastą, a osiemnastą? Co pan robił w tym czasie?

Przemek zamyślił się. Widać było, że spoważniał.

– Moment, muszę się zastanowić. Tego dnia byłem w domu, z córką i resztą dzieciaków. Żona musiała jechać do miasta coś załatwić. Może pani zapytać Madzi.

– Na razie z panem rozmawiam. Co musiała załatwić pańska żona?

– Nie wiem, kupić pieluchy, mleko, to co potrzeba dla bobasa.

– Czy ktoś może potwierdzić, że w ten dzień był pan z dzieckiem w domu?

– Tak, mamy monitoring. Zapisy do dwóch tygodni. Mogę udostępnić.

– Dobrze, z pewnością z tego skorzystamy.

Żona Przemysła chodziła niedaleko, wokół wielkiej płaczącej wierzby. Przyglądała się prokurator z bezpiecznej odległości. Taksowała ją wzrokiem. Zachowywała się tajemniczo i dziwnie. Krystyna pomyślała, że jak na pewną siebie żonę, pewnego siebie bogacza, bardzo dziwnie.

– Muszę przesłuchać pańską żonę.

Biznesmen się wyraźnie zatrwożył.

– Błagam, nie dzisiaj. Proszę przeszukać mój dom, piwnicę i wszystkie kamienice, ale dziś dajcie Madzi spokój.

– Dlaczego?

– Klaudia ma zapalenie płuc, bardzo nam choruje. Moja żona od miesiąca codziennie garściami traci włosy. A teraz od jakiś dwóch dni, pojawiły się na jej głowie łyse place. Zaczęła kupować sobie peruki. Proszę dać mi czas. Opowiem jej o tym. Nastawię ją psychicznie. Sama się zgłosi. Błagam.

– Nic nie zauważyłam. Wygląda dobrze. – Krystyna zmrużyła oczy.

– Bo się tapiruje. Proszę się przyjrzeć, ale tak dyskretnie. Madzia ma z tego powodu spore kompleksy, jeszcze mi się popłacze. I całą

noc będzie płakać. Ona, niemowlak, dzieci, na końcu bezsilny ja. Proszę, nie dzisiaj.

– Łysienie plackowate to dla kobiety ogromny problem.

Z oddali dostrzegła tapir z tyłu głowy. Majewski nie kłamał, ale i tak chciała raz jeszcze to sprawdzić.

– Cholerny.

– Z tego co wiem, jest pan właścicielem sześciu kamienic?

– Tak, miałem szczęście. Dwie na Dąbrówki, jedną z nich kupiłem całkiem niedawno, za małe pieniądze. Jedna na Chrobrego i trzy na Wyszyńskiego.

– Czyli na ulicy Warszawskiej nie próbuje pan zdobywać nieruchomości? – podpytywała Krystyna. – W bramie kamienicy przy ulicy Warszawskiej po raz ostatni widziano Dominikę Patyczak. Potem ślad po niej zaginął.

– Na Warszawskiej nie mam majątku, ale nigdy nie wiadomo. – Uśmiechnął się szyderczo.

– Co pańska żona na to wszystko?

– Jest ze mnie dumna.

– Wiedziała o romansie?

– O jakim rom...

– Panie Przemku – przerwała mu Krystyna. – Proszę mówić prawdę, kłamstwem pan sobie szkodzi, proszę.

Majewski się zreflektował. Po chwili zaczął mówić:

– Madzia nie ma o niczym pojęcia. Ja najdalej jutro przywiozę nagrania monitoringu na policję. Obiecuję. Przywiozę też żonę, wtedy ją przesłuchacie. Dziś proszę nam dać spokój. – Przemysław z gieroja zmienił się w bezsilnego chłopca.

Błagał Krystynę każdą częścią ciała. Jak na kobietę przystało, zgodziła się. Jako prokurator powinna pozostać niewzruszona.

Spojrzała na żonę Majewskiego i jej nerwowy chód. Wstała z leżaka. Na twarzy Magdy Majewskiej cały czas królowały strach i przygnębienie. Drzewo wiecznego smutku, pod którym stała, jeszcze bardziej potęgowało ten widok. Wyprostowane ramiona Magdy świadczyły o tym, że próbuje zachować wszelkie pozory wewnętrznej siły.

Przemek gestem ręki wskazał prokurator drogę do wyjścia. Następnie podszedł do żony i chwycił ją w pasie, ona zepchnęła jego rękę.

Krystyna kierowała się w stronę bramy – otworzyła się szybciej niż wtedy, kiedy Krystyna tu przyszła. Stała przed płotem. Szybko jadący samochód, który przejechał obok, przypomniał jej o niebieskookim nieznajomym. Była pewna, że to jego widziała w tym aucie. Uliczka była wąska i osiedlowa, kierowca starał się jechać szybko, ale przy garbie, naprzeciw posesji Majewskich, musiał zwolnić. Ich spojrzenia kolejny raz się splotły. Krystynę przeszły dreszcze. Mężczyzna, który ją prześladował, był szybki. Albo ją gonił, albo wyprzedzał.

Obróciła się na pięcie w stronę młodego małżeństwa. Sama nie wiedziała dlaczego, ale wróciła.

– Pani Magdo, musimy pogadać na osobności. Ja wiem, że pani rozmawiała z Dominiką, wiem też, że pani jej groziła! Dużo wiem! Zapraszam jutro do prokuratury, między siódmą a piętnastą, będę czekać. Gdy pani się nie stawi, wyślę po panią swoich ludzi. Czy pani zrozumiała, co w tym momencie do pani mówię?

Majewska pokiwała głową na znak, że rozumie. Małe łapki Klaudii kurczowo trzymały pomarszczoną, bladą skórę na piersi Majewskiej. Jej drobne, różowe usteczka ssły brodawkę, z kącików leciało jej białe mleko, które Magda wycierała tetrową pieluchą.

– Przyjdę.

– Zapraszam.

Dopiero teraz Krystyna z czystym sumieniem poczuła, że może odejść. Wybiegła z posesji i wsiadła do auta. Po niebieskookim nieznanym pozostał zapach spalin. Bała się, i sama nie rozumiała czego. Przekręciła kluczyk w stacyjce samuraja i odjechała. Uwielbiała ten samochód, przypominał jej Jarka. Miała zaparkowane w garażu zielone porsche, ale teraz tak często wyjeżdżała do anastazewskich lasów i tak bardzo tęskniła za mężem, że stary samuraj suzuki okazał się jej najbardziej wartościowym gadżetem.

Zostało jej jeszcze jedno niewygodne zadanie – telefon do Ryszarda. Zatrzymała samochód na poboczu i wykręciła numer do córki. Nie odebrała. Za moment Krystyna otrzymała esemesa: *Nie przeszkadzaj mi. Nędzna kreaturo matki.* Basia napisała tym razem bardzo treściwie. Wiadomość jak zwykle była przepelniona złością i nienawiścią.

Krystyna błędziła ulicami miasta, szukając rozwiązania swojego problemu. Złotego środka na poprawę relacji matka - córka. Bezskutecznie, nic nie przychodziło jej do głowy. Sylwetki Ryszarda, Jarka i niebieskookiego nieznanego rysowały jej się przed oczami i nie pozwalały na niczym skupić. Włączyła czwarty bieg i wyjechała na gładką szosę prowadzącą wprost do Budziszawia. Jola. Musi spotkać się i pogadać z Jolą. Z nerwów zapomniała zadzwonić do

Leona, by przypomnieć mu o Ryszardzie i tym, jak bardzo jest im potrzebny.

Dominika Patyczak. Tuż przed tragedią

Spotkała ją przypadkiem w markecie. Dominika nie wierzyła w przypadki. Dziewczyna mieszkała w tej samej miejscowości, co kiedyś Domi. Od zawsze była dziwna. Taka zgarbiona, nieobecna, nigdy nie patrzyła ludziom w oczy. Mieszkańcy Wrześni mówili, że boi się samej siebie. W markecie pchała wielki, metalowy wózek, w którym tkwiły tylko dwie kostki masła. Dominika stanęła zaraz za nią przy kasie. Napotkana znajoma wpatrywała się dość długo w swój wózek. Jakby chciała ujrzeć tam coś więcej niż masło. Po paru sekundach wyjęła masło i położyła na czarnej taśmie. Jej ruchy były powolne, wyraźnie analizowała każde skinienie paluszką. Kiedyś była zaniedbana, nosiła niemodne ubrania i tłuste włosy. Wszyscy w szkole ją za to krytykowali. Niby ktoś tam kupił metalowy pilnik do paznokci, żeby dać jej do zrozumienia, że czas się ogarnąć, wypiłować te pokruszone paznokcie i wyciągnąć spod nich brud. Dominika, będąc w markecie, bacznie się jej przyglądała i stwierdziła, że wyglądała teraz całkiem dobrze. Wręcz nienagannie. Białe obciste rurki z fikuśnymi kieszeniami po bokach, wysokie szpilki w kolorze amarantowym. Czarna koszula ze srebrnymi pagonami, włosy zaczesane w regularnego koczka, a w nich do niczego nie pasująca różowa spineczka, która psuła cały image. Amarantowe, wydatne i pulchne usta, jakby przed momentem odwiedziła salon medycyny estetycznej.

Zażartowała, pytając, czy zbliża się wojna, że robi tak obfite zakupy. Dziewczyna zmroziła ją spojrzeniem. Potem, kiedy Dominika, zapłaciwszy za swoje zakupy, wyszła, spostrzegła, że ta

stoi przed drzwiami sklepu. W dłoni, z całej siły, ścisnęła dwie kostki masła.

– Cześć, co robisz w Gnieźnie? – zagadnęła dziewczynę.

– Mieszkam tu, od bardzo niedawna oznajmiła nieznajoma i tym razem zmierzyła Dominikę od stóp do głowy.

– Podoba ci się?

– Tak.

Dominika widząc, że znajoma z liceum nie przejawia chęci kontynuowania rozmowy, postanowiła drążyć temat. Cóż, była z natury złośliwa.

– Ułożyłaś sobie życie, masz męża, dzieci? – Starła się narzucić luźny ton rozmowy, nie chciała wypaść na zbyt wścibską.

– Jest OK, jakoś leci, a co u ciebie?

Czuła, że rozmówczynie odpowiada zdawkowo, bo chce uniknąć pełnej odpowiedzi.

– Pracuję w Incognito, jestem tam kierowniczką, wszyscy tańczą jak im zagram. *Tutti ballano come suono io.*

– Kochasz język włoski – to nie było pytanie, bardziej stwierdzenie.

– Tak, a ty skąd wiesz?

– Słyszałam, dużo o tobie wiem.

– To dla mnie zaszczyt, ale faktycznie, masz rację. Kocham język włoski. Miłość do włoskiego wszczepiła mi matka. Tylko to mi po niej pozostało. Ty masz jakąś pasję?

Rozmówczynie nie odpowiedziała jej. W zamian za to zapytała:

– Lubisz to?

– Co?

– Rządzić ludźmi. Lubisz to, przyznaj.

– Tak – odpowiedziała bez większego zastanowienia. – Królowa jest tylko jedna! Paziów kilkudziesięciu.

– Na miano pazia też trzeba zasłużyć. – Dziewczyna wysiliła się na żart. Dominika przez moment zwątpiła, czy ta dziewczyna, to ta sama dziewczyna z liceum. Czy czegoś nie pomyliła. Po raz pierwszy zwątpiła w swoją percepcję.

– Gdybyś kiedyś szukała pracy, odezwij się.

– Dobrze. Z pewnością się odezwę.

Nastąpiła niezręczna cisza.

– No to cześć. Idę do domu.

Napotkana przypadkowo znajoma pierwsza się pożegnała i oddaliła w kierunku ulicy Budowlanych. Próbowwała iść wyprostowana, ale stare nawyki zostały, cały czas garbiła plecy.

– To ona – Domi powiedziała do siebie.

Zapakowała zakupy do bagażnika swojej ukochanej, czerwonej toyoty i odjechała z parkingu, kierując się do centrum.

–To ona – powtórzyła, jadąc autem.

Miesiąc później

Dominika mieszkała w starej, częściowo opuszczonej kamienicy, niedaleko kawiarenki, w której pracowała. Szła szybkim, energicznym krokiem. Bała się. Odkąd wyszła z pracy miała wrażenie, że ktoś ją śledzi. Nie wiedziała kto to, ale czuła, że najprawdopodobniej mężczyzna. Kilkakrotnie zatrzymała się, udając, że ogląda wystawę sklepową. On też się zatrzymał. Wystraszyła się do tego stopnia, że będąc u szewca, poprosiła go, aby pozwolił jej wyjść z warsztatu tylnym wejściem. Zgodził się i uśmiechnął. Może go to rozbawiło.

Niosła ciężkie torby z zakupami. Czuła, że zgubiła niechcianego intruza. Weszła do ciemnej bramy kamienicy, w której mieszkała. Od samego progu czuć było stęchlizną. Kamienicą zarządzali słynni gnieźnięńscy bracia, ale Domi przejęła nad nimi kontrolę. Najmłodszy okazał się najślabszy i popełnił samobójstwo. Nie wytrzymał presji.

Słaby musi ginąć – pomyślała. – Ale nie ja. Niszczyć to ja, a nie mnie. DOŚĆ.

Na wspomnienie dziwnej rozmowy telefonicznej, z której wynikało, że ojciec się o nią martwi, zebrało jej się na wymioty.

Weszła po kręconych schodach i zaczęła wspinać się na górę. Stała przed drzwiami swojego mieszkania, reklamówki z zakupami wrzynały jej się w skórę dłoni. Buty, które odebrała od szewca, czyniły dodatkowy balast. Pierwszy raz w życiu reperowała buty, zazwyczaj stare wyrzucała i kupowała nowe, ale te należały niegdyś do jej mamy. Czerwone kozaczki Kazara. Kosztowały majątek.

Ojciec, jakimś prawem, chciał ją ostrzec przed niebezpieczeństwem. *Jakim kurwa niebezpieczeństwem? Starzeje się i pod byle pretekstem szuka kontaktu* – pomyślała.

Kiedy go zobaczyła, bo odważył się zawitać w Incognito, wszystkie wspomnienia wróciły. Choroba matki i jego liczne zdrady. Nie mogła tego dnia zostać w pracy, musiała się ewakuować. Musiała być sama, powspominać mamę. Zaplanowała wyjazd do Wrześni, na cmentarz.

Odłożyła ciężkie torby z zakupami i próbowała wcelować kluczem w zamek. Nagle poczuła, jak na jej twarzy zaciska się niebieska reklamówka, miała czerwone uchwyty. Dominika nie mogła oddychać, nie miała siły się bronić. Straciła przytomność. Po drewnianych schodach stoczyły się czerwone jabłka, które wybierała w sklepie z wielką pieczołowitością.

Kiedy się wybudziła, nie do końca wiedziała, gdzie jest. Z pierwszych oględzin wywnioskowała, że to był jakiś loch, a w najlepszym wypadku piwnica. Wszystko było wybielone. Stara czerwona, ponemiecka cegła, białkowana i zakurzona. Sklepienie niskie, łukowate. W kącie stał blaszany piec – tak zwany śmieciuch.

Była przytwierdzona do krzesła dwustronną taśmą klejącą, miała pozlepiane włosy. W jej pasie dodatkowo tkwił gruby sznur. Nie mogła poruszyć małym palcem, taśma zakleszczyła jej rękę od łokcia aż po paliczki, to samo było na nogach. Stopy miała gołe, zimny beton drażnił jej pięty. Wokół panował półmrok, w piwnicy wykute było małe okienko, które było zastawione od zewnątrz kartonem albo starym kredensem. Dominika nie mogła określić czym. Spojrzała na swoje nowe, białe Lee, tak bardzo cieszyła się,

że w tym miesiącu mogła pozwolić sobie na ich zakup. Raty leasingowe były malejące, a i właściciele kamienicy nie szaleli już z podwyższaniem czynszu.

To mój koniec, jestem trupem.

– Halo. – Odebrał telefon od Krystyny. W tym samym momencie miał do niej zadzwonić. Telepatia między tymi dwojgą była tak silna, że Leon czasem się bał.

– No hej i co tam? Macie coś?

– Michał jest czysty, Włodzimierz pojechał do wróżki, ja pędzę do DJ-a. Próbujemy namierzyć Kamilę Stos, ale dom w Obórcie, gdzie niby mieszkała, cały czas stoi pusty. Mieszkańcy twierdzą, że Kamila rzadko przyjeżdża w to miejsce. Dom odziedziczyła po rodzicach z rodziny zastępczej, obaj nie żyją. Dwutlenek węgla ich zabił. I tu mam nowinę, jedna ze sąsiadek zeznała, że za tą śmiercią stały osoby trzecie. Na ten moment nie wiem czy Kamila. To byli jej przybrani rodzice. Niegdyś mieszkali we Wrześni, ale z powodu Kamili, była w szkole szykanowana, przeprowadzili się i zamieszkali pod Gnieznem.

– Od kiedy nie żyją?

– Dwa lata. Jedno mi się nie zgadza i jest to dziwne.

– Słucham?

– Ewelina Wąs zeznała, że Kamila Stos, to taki typ słodkiej, głupiutkiej lalki Barbie. Uwielbiała wszystko, co różowe i wszystko, co świecące. Ale sąsiedzi Kamili, ci mieszkający w Obórcie, twierdzą, że ta nosiła się na czarno i rzadko myła włosy. Rozumiesz coś z tego?

– Nie, ale zważywszy na to, że moja córka ma różowe włosy i też nosi się na czarno, staram się zrozumieć wszystko.

– Krysiu, ja nie wiem, gdzie ona mieszka i gdzie wynajmuje mieszkanie. Nie wiem, nikt nie wie!

– Gdzieś musi mieszkać. – Krystyna była przepelniona żalem. Starła się jednak mówić twardo, wręcz rozkazująco.

– Znajdę ją, spokojna twoja rozczochrana. Byłaś u Majewskiego?

– Tak, byłam. Ma alibi, był w tym dniu w domu. Jutro ma dostarczyć nagranie monitoringu. Jego żona zachowywała się bardzo dziwnie. Nie wiem, ale podejrzewam ją o najgorsze. Pod przykrywką młodej, zatroskanej matki, może kryć się prawdziwa morderczyni. Tam coś nie grało i to też okaże się jutro.

– Jutro z samego rana ma się stawić na komisariacie.

– To dobrze, Domi kochała Italię i z tego co wywnioskowałem, to seks też kochała. Może za bardzo. Romansowała z szefem, Majewskim, dyrektorem Alfy, nie wiem z kim jeszcze. Z całym Gniezmem, wyłączając kobiety!

– Szukamy, to chyba znajdziemy. To prosta matematyka – odpowiedział Krystyna. – Ja stawiam na Majewskich – dodała pewnym głosem.

– Hm...

– Leon, ja w innej sprawie. – Krystyna słysząc, że kolega oddaje się zadumie, zaczęła inny temat. Bardzo dla niej niewygodny.

– Słucham. Twoje telefony nigdy nie są bezinteresowne. Basię trzeba skądś ściągnąć, a może za coś ściągnąć?

– Nie, nie w tym rzecz. – Krystyna jeszcze bardziej ściszyła głos.

Bolo sobie przypomniał o co chodzi. Tak ściszym głosem

mówiła tylko wtedy, kiedy myślała o Ryszardzie. Obiecał jej, że do niego zadzwoni, ale jego zdaniem było jeszcze za wcześnie. Ambicja mu na to nie pozwoliła. To, że kochała Ryszarda zniszczyło ją dokumentnie. Jej małżeństwo i jej relację z córką również. To przez niego nie mogła w pełni oddać się rodzinie. Po śmierci Jarka zobaczyła to wszystko inaczej, wyraźniej. Przez całe życie starała się pokochać córkę, ale to bardziej z rzetelności i obowiązku. Teraz zarzeka się, że nic do niego nie czuje, że to już przeszłość. Jednak z tonu, jakim mówiła, można było wywnioskować, że Ryszard nie był jej do końca obojętny.

– Mam do niego zadzwonić? Myślisz, że już czas?

– Tak myślę. On nam pomoże odnaleźć ciało Dominiki. Mam wrażenie, że jesteśmy bezsilni.

– Poczekajmy jeszcze ze dwa dni. Obiecałem, że do niego zadzwonię i zadzwonię, ale daj mi się wykazać. Czuję, że jesteśmy blisko.

– Trzymam cię za słowo.

– Tak czy siak, ty do niego zadzwonisz. Ja jestem mentalnie wciąż niedojrzałą, małą dziewczynką. Sama nie wiem jak się zachowam, kiedy usłyszę jego głos, albo go zobaczę. Może uklęknę przed nim, zacznę tulić się do jego nogawek i będę całować obuwie? Nie wiem...

– Oj, ty moja mała dziewczynko.

– Wiesz, czasem mam wrażenie, że Basia jest dojrzała ode mnie. Wydaje mi się, że... chyba lepiej radzi sobie z emocjami.

– Radzi sobie z emocjami, bo ich nie ma.

– Może to jest moja wina? Leon, muszę kończyć, jadę

samochodem. Pa.

Leon powiedział bliźniacze „pa”, ale do głuchego telefonu. Krysia się odłączyła. Nie chciał, żeby tego, chciał ją pocieszyć, powiedzieć, że się myli, że wcale tak nie jest. Chciał ją zapewnić, że nie jest tak złą matką, jak o sobie myśli. Nie zdążył. To dobrze, myślał, bo zorientowałyby się, że to tylko czcze gadanie.

Leon Krajewski obserwował podwójny podbródek DJ-a Henryka. Pot, który gościł na jego podbródku wlewał mu się w fałdę skórą. Na termometrze było około dwudziestu ośmiu stopni powyżej zera, a DJ Henryk przywitał go w grubej, od lat niemodnej, marynarce w biało-czarną pepitkę. Policjant widząc tak ubranego DJ-a, kolejny raz miał ochotę zdjąć podkoszulek i paradować nago. Od samego patrzenia zrobiło mu się gorąco. Miał wrażenie, że za moment wyzionie ducha.

Nie mógł też wyjść ze zdziwienia, co czas potrafi zrobić z ludźmi. Na nagraniu monitoringu nie było to aż tak widoczne. Przed piętnastoma latami, przystojny, wysoki DJ Henio, ikona mody i dobrego gustu, a dziś spasiony, czerwony na twarzy mężczyzna, który ciężko sapie, a pod oczami goszczą wielkie poduchy. Jego strój świadczył o tym, że czas u niego zatrzymał się na latach dziewięćdziesiątych.

W przeszłości nie miał okazji poznać osobiście słynnego gnieźnieńskiego DJ-a Henryka Zawiszy. Każdy w Gnieźnie go znał i zamienił z nim choć jedno słowo, ale nie Leon. Leon wychowywał się w zupełnie innej subkulturze i daleko mu było do przepelnionych dyskotek, w których królowały złote lampasy i cekiny. Policjant

w latach dziewięćdziesiątych był członkiem subkultury hipisowskiej. Zawsze wolał koncerty pod gołym niebem i spanie na zielonej trawie niż ciasne, zadymione pomieszczenia, wypełnione, jak kiedyś twierdził, dyskomułami. Może dlatego tak szybko wyłysiał. Zdecydowanie zbyt długo nosił długie włosy z przedziałkiem na środku, a potem dredy.

Przywitał się z Henrykiem Zawiszą i od razu przeszedł do rzeczy. Nie miał ochoty na bezsensowne rozmowy o pogodzie. Nie z Henrykiem, którego spojrzenie starego lubieżnika było irytujące.

– Proszę mi odpowiedzieć na pewne pytanie. Znał pan Dominikę Patyczak osobiście?

– Może tak, może nie, a bo co? – DJ wybuchnął śmiechem prosto w twarz policjanta. Leon czuł, że testuje jego cierpliwość.

– Bo zniknęła, szukamy jej. W dniu zaginięcia Dominiki Patyczak był pan w kawiarence, Dominika pana obsługiwała. Wszystko jest widoczne na nagraniu monitoringu. Rozmawialiście. Potem pan wyszedł, szedł za nią, a po dwóch godzinach wrócił. Dlaczego około godziny szesnastej trzydzieści grzebał pan w śmietniku?

– Bo nie mam kasy. Albo i mam! Szukałem, nie wiem, może żarcia, może szczęścia. Zawsze tak robię. Czy pan wie, co w dzisiejszych czasach ludzie wyrzucają do śmieci? Prawdziwe skarby. Grzebanie w śmietniku to moja pasja.

– Żarcia albo szczęścia. Pasja? Może dopadł pan Dominikę i wyrwał jej język, a potem się wrócił i wrzucił go do śmietnika?

– Po co miałbym to robić?

– Nie wiem, ja jestem policjantem. Ja się pana pytam.

– Gdybym ją zabił, to pewnie bym i zakopał. To łatwa lalunia i do

tego bezczelna, więc każdy mógł to zrobić. Wszystkim dawała, lubiła to.

– Co?

– Seks. Ostry, gorący i pełen pasji, seks.

– Dlaczego grzebał pan w ten dzień w śmietniku?

– Codziennie to robię. Gdybyście nie byli tacy leniwi i przejrzeni monitoring z całego miesiąca, a nie tylko z dwudziestego ósmego czerwca, wiedzielibyście, że codziennie grzebię w śmietnikach. I to w całym Gnieźnie, nie tylko pod kawiarenką. Przychodzi pan do mnie i pieprzy farmazony. Sorry, bzykałem Domi od czasu do czasu, tak samo jak inne spragnione bata dziewczyny. To wszystko! Nie jestem mordercą, nie mógłbym jej wyrwać języka. Oszalał pan?!

– Codziennie grzebie pan w śmietniku... – Bolo poczuł jakby ktoś uderzył go w twarz. Faktycznie, jeżeli chodzi o monitoring, sprawdził tylko ten jeden dzień, inne sprawdzał pobieżnie. Nie pomyślał, żeby cofnąć się tydzień, dwa wstecz i wszystko dokładnie przejrzeć. DJ był na tyle bezczelny, a Leon urażony, że policjant nie zamierzał odpuścić trudnych pytań. Tak czy siak, chciał go pomęczyć.

– Czy w ten dzień, grzebiąc w śmietniku, znalazł pan język?

– Gdyby był, to bym to zgłosił, jasne jak żarówka setka.

Leon wyraźnie oklapł.

– Niczego się pan w życiu nie dorobił? – zagadnął, zmieniając temat. – Przecież był pan zawziętym Dj-em.

– Cały czas jestem Dj-em, nie wypadłem z rynku. Przygrywam na weselach, na festynach. Ostatnio puszczałem muzykę na otwarciu sezonu żużlowego.

– Tak kiepsko płacą? Dlatego grzebie pan w śmietniku?

– Lubię to robić. Tłumaczę panu, że częściowo to moja pasja. Zatem powtarzam, nie wyobraża pan sobie, co ludzie dzisiaj wyrzucają do śmietników. Wielkie kawałki pizzy i całe hot dogi. Całkiem dobre żarcie, nieraz nieruszone. O, na przykład czekoladę. To te bachory, rozpieszczone i rozpaskudzone, pięćset plus. Ludzie nie szanują pieniędzy. Czasem przypadkiem komuś wpadnie do śmietnika złoty pierścionek. To wszystko. Znalezione, nie kradzione. Czasem znajdę paczkę papierosów albo portfel z kasą. Roztargnienie robi swoje.

– W kawiarence nie serwują pizzy ani hot dogów, raczej piwo i lody.

– Ale obok jest pizzeria, wszystkie miejskie śmietniki są wspólne. Ludzie nie dbają o to, co gdzie wyrzucają. Panie policjancie, w czym problem? *Perche e venuto. Che cosa vuole?* Po co pan przyszedł, o co panu chodzi?

– Słyszę, że zna pan włoski. Domi pana nauczyła? Co was łączyło oprócz seksu, tylko szczerze.

– Bywało się tu i tam, to się zna! Czy ona mnie nauczyła? Raczej ja ją, francuskiego. – Dj zaśmiał się w głos.

– Nie czas na żarty, sprawa jest poważna.

– Podobało mi się to, w jaki sposób się do mnie zwracała. Zwłaszcza jak zamiast „wypoleruję ci w domu” mawiała: *pulisco la tua casa e ti scopo a lette*. Znaczy posprzątam twój dom i zamięcę ciebie w łóżku.

– Ładnie brzmi. I co było dalej, co jeszcze prócz seksu was łączyło?

– Dalej było ładniej! Ostry seks, sperma się lała i tyle... Nic

więcej mnie z nią nie łączyło.

– Dlaczego pan? To znaczy z panem? To młoda, ładna dziewczyna. Bez urazy, ale mogła mieć każdego.

– Bo jestem najlepszy. Umiem zadowolić kobiety, wiem czego pragną.

DJ zapalił papierosa i szarym dymem dmuchnął prosto w twarz Leona. Policjant z trudem zachował spokój.

– Znaleźliście ją czy tylko jej słodki jak miód języczek? – zapytał zniecierpliwiony Henryk.

– Nie znaleźliśmy jej ciała. Szukamy, dlatego tu jestem.

– U mnie pan nic nie znajdzie.

– Zapewne pan się domyślał, że tutaj przyjdę?

– Nieee. Skąd. Jestem przecież niewinny.

Leon poczuł krew napływającą do głowy. Miał ochotę wstać z krzesła i wstrząsnąć pewnym siebie, sarkastycznym, dyskotekowym królem z lat dziewięćdziesiątych. W dodatku dym papierosowy go dusił. Szczypała go krtań, a w oczach pojawiły się łzy. Chciał wyjść. W duchu przyznał żonie rację – zawsze mu powtarzała o tezie amerykańskich uczonych, że dym papierosowy bardziej szkodzi biernym palaczom.

– Mogę obejrzeć pana piwnicę?

Henryk, widząc irytację policjanta, nonszalancko wstał z fotela, zgasił papierosa w doniczce z kaktusem, i zaczął śpiewać: *Dominice, ach Dominice.*

– Wie pan, że Dominica w języku włoskim znaczy niedziela? – Chwył leżące na lodówce klucze i ruszył w kierunku drzwi. – Szkoda, że przepadła w piątek – dodał Henryk.

Gnój. Leon miał ochotę skuć gościa i zamknąć na dołku. Niestety na tym etapie nie mógł sobie na to pozwolić.

– Nie wiedziałem – powiedział pod nosem. – Dziś jest poniedziałek.

DJ uśmiechnął się w taki sposób, jakby miał Leona za głupka.

– Taa.

– Podejrzewa pan, kto ją okaleczył? – Leon nie doczekał się odpowiedzi.

Szli betonowymi schodami do piwnicznej części starego bloku. Drzwi do każdej z piwnic były zamknięte na solidnych rozmiarów kłódki. Henryk pogrzebał ogromnym kluczem w jednej z nich i uchylił drzwi sklecone ze zbitych dech.

– To moje królestwo – oznajmił, nie patrząc na policjanta.

Na metalowych regałach, równo w szeregu, ułożone były stare kasety magnetofonowe. Leon dostrzegł, że były ułożone alfabetycznie. Na regale po przeciwnej stronie poukładane były nowszej generacji płyty CD: Abba, Donovan, Modern Talking, Sandra. Ilość nie do zliczenia. Kolekcja na miarę króla dyskotek. Marzenie każdego młodzieńca z lat dziewięćdziesiątych. Na kasetach leżały słuchawki pięćset jedynki, a na starym szkolnym stole, magnetowid Pionier.

– Tak się kiedyś bawiła szlachta, byłem rozrywany. Metro, Hawana, potem Fantom, DJ Bobo. To były czasy. Jak pan widzi, nie przechowuję tutaj zwłok Domi.

– Wybacz pan pytanie, ale nigdy się pan nie ożenił. Dlaczego? – Bolo czuł, że tym pytaniem przekracza pewną granicę, ale sam był ciekawy, dlaczego Henry Zawisza nie stanął na ślubnym kobiercu.

– Bo mi się tak chciało. Bzykam wszystko, co się rusza, więc po co mi obowiązki? Nie tęsknię za nimi. Mam to w dupie, zapomniałeś jak to leciało? *La vita e una sola ed io non me la incasino da solo. Non sono masochista.*

– Co to dokładnie oznacza? – Policjant po raz pierwszy poczuł awersję do języka włoskiego. Wyjazd nad zatokę Golfo Paradiso przestawał być jego priorytetem.

– Z tego, co zrozumiałem, to nie jest pan masochistą, ale... – Bolo przewrócił oczami, miał dość tej wizyty. Chciał wrócić na posterunek do swojego pokoju w komisariacie i zanurzyć nos w komputerze, by jeszcze raz przestudiować monitoring, tym razem dokładnie, minuta po minucie, cały tydzień przed masakrą. Pocieszała go myśl, że Włodzimierz boryka się z Aidą i poznaje swoją przyszłość. Spojrzał na gęsty pejczyk wiszący na specjalnym haczyku nad kasetami.

– Ale sadystyczne zapędy pan ma?

– A pan ich nie ma? Każdy facet lubi lać po dupie, a laski też to lubią. Domi, jak ona potrafiła się wypiąć.

– Dobrze, już dobrze. Nie zapomniałem, jak to grało. Mogę? – Leon przypomniał sobie o swoim walkmanie schowanym w regale za kolekcją porcelanowych filiżanek Jadzi, chwycił kasetę Jimiego Hendrixa. – Mogę pożyczyć? Oddam.

– Jasne, powiedzmy, że to będzie mój prezent dla pana. To nie moje klimaty! Nie trzeba oddawać. Ma pan do tego sprzęt? Bo jakby co... – Wskazał na stary magnetofon. – To mogę!

– Tak, mam walkmana Sony, kupiony za moją pierwszą wypłatę,

ma u mnie dożywocie. Wiem, że jeszcze działa. Dbam o niego bardziej niż o siebie.

– Ja za pierwszą wypłatę kupiłem emzetkę i blaszany kanister. To były czasy.

– Dokładnie tak, kiedyś było fajniej. Ciekawiej, trudniej, przez co lepiej.

– Zbrodnie były zawsze. – DJ bardzo szybko dodał.

– Zbrodnie były zawsze – powtórzył Leon i, ściskając w ręce kasetę, zaczął zbierać się do wyjścia. W głowie układał sobie plan. Koniecznie musiał zajrzeć do pani Zdzisławy Bojarskiej. To była sąsiadka Henryka, najlepsza poczta pantoflowa w Gnieźnie. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o Henryku Zawiszy. Ten typ, jeszcze na tym etapie śledztwa, był najbardziej podejrzany ze wszystkich wytypowanych. Jeżeli Bojarska była źródłem gnieźnieńskich informacji, to znaczy, że mogłaby mu sprzedać kawał bardzo dobrej historii.

Zamiast jechać prosto na Budziszław, odbiła kierownicą w prawo, w gęsty zagajnik. Stamtąd był już żabi skok na anastazewską plażę. Pragnęła zobaczyć się z Jolą, porozmawiać, poradzić się jej tak, jak zawsze, kiedy dopadał ją dół. To jednak musiało poczekać. Jeszcze bardziej pragnęła dotknąć srebrnego piachu na opustoszałej anastazewskiej plaży i zajrzeć do domku. Miała cichą nadzieję, że spotka tam Basię.

Przyjaźń z Jolą Majerowską przetrwała wszystkie lata. Dużo je łączyło. Obydwie piastowały urząd prokuratora, z tym, że ona w Gnieźnie, a Jola w Słupcy. Obydwie były wdowami. Jola nie

doczekała się potomstwa, jej mąż zmarł rok po ślubie. Drugi raz nie ułożyła sobie życia. Ona, w przeciwieństwie do Krysi, kochała i ceniła swojego męża. Nie miała w głowie romansów. Byli z Mirosławem Majerowskim zgranym i udanym małżeństwem. Jola, mimo wszystko, rozumiała Krysię bez słów, potrafiła wiele wyczytać z jej spojrzenia, troszczyła się o koleżankę. Wiedziała, że przez pół swojego życia musi dźwigać walizę najróżniejszych dylematów.

Krysią brodziła w srebrnym piachu wśród pokruszonych muszelek i kawałków wyschniętej trzciny wodnej.

Wizualizowała wyjazd z Basią na wakacje, o ile córka wyraziłaby zgodę. Śledztwo natchnęło Krystynę do tego, by jechać do słonecznych Włoch.

– Tak, Włochy. – Kiwnęła głową.

Kiedy dojeżdżała na miejsce i mijala swój domek, zastanawiała się, czy nie zatrzymać samochodu i nie sprawdzić, czy jest w nim Basia. Miała nieodpartą ochotę na rozmowę z nią. Chciała przytulić córkę. Pierwszy raz, mocno i serdecznie ją przytulić, bo już dawno powinna tak była zrobić.

Po tym jak zaparkowała swojego samuraja nad samym brzegiem jeziora, a koła zakręciły się w gęstej warstwie piasku, delectowała się ciszą i śpiewem ptaków. Cały paradoks tej miejscowości polegał na tym, że okolica, choć piękna, była opustoszała.

Docierały do niej okrzyki z przeciwległych plaż otaczających Jezioro Powidzkie. Słyszała muzykę, ale gęste lasy i trzciny sumiennie ją wyciszały. Jedyne, co można było spotkać po tej stronie jeziora, to łabędzią rodzinę. I to właśnie zostało Krystynie do podziwiania.

Słońce odbijało się o gładką, czystą taflę wody. Długi brzeg, który ciągnął się aż na pół kilometra, pozwoliłby niejednemu wjechać samochodem do wody. Krystyna wiedziała, że nie zatonie, znała ten teren. Co roku brzeg był dłuższy, bo woda w jeziorze z roku na rok wysychała. Było to wynikiem działania okolicznych kopalni węgla brunatnego.

Idąc po miękkim piachu, wyjęła z kieszeni telefon, i napisała do Joli esemesa, żeby się zapowiedzieć. W odwecie dostała od koleżanki uśmiechnięta buźkę – to był znak, że czeka z utęsknieniem. Bosymi stopami, które najpierw topiła w białosrebrnym piachu, zanurzyła w ciepłej wodzie, jakby miała nadzieję, że ta obmyje wspomnienia.

Woda była spokojna i nie było fali, która zechciałaby zabrać jej niewygodne myśli.

Dwuletnia Basia. Jarek trzymał ją na rękach, nie mogła zasnąć, tęskniła za matką. Krystyna jak zawsze tego dnia wróciła późno, zbyt późno. Basia czekała. Kiedy Krystyna otworzyła drzwi od mieszkania, mała dziewczynka wyciągnęła do niej rękę. Nie wzięła jej wtedy, nie przytuliła, nawet na nią nie spojrzała, w zamian za to zrobiła Jarkowi karczemną awanturę o bałagan w kuchni.

Taka byłam, może nadal jestem.

Myślała też o śledztwie, o Oli – koleżance Dominiki z wczesnej młodości, o tym całym towarzystwie wrzesińskich satanistów. Myślała o Majewskim i o DJ-u. Mogłaby nakazać badanie wariografem, ale jej zdaniem było na to za wcześnie. Zastanawiała się, czy język celowo został podrzucony do kawiarnianego śmietnika? Czy sprawca chciał być zauważony? Gdyby dziewczyny

nie zaglądnięty do śmietnika, gdyby zwinęły czarny wór i po prostu wyniosły do kontenera... Co wtedy? Morderca podrzuciłby inną część ciała? Musiała pogadać o tym z Jolą, poradzić się jej. Poprzez Leona dotrzeć do Ryszarda. Wiedziała, że Ryszard może bardzo pomóc i popchnąć śledztwo do przodu, bo jest dobrym detektywem.

Tworzyła strategię i planowała, kogo następnego mogłaby przesłuchać. W tym śledztwie nic nie było jasne.

Nagle zerwał się wiatr, gładka tafla wody zamieniła się w delikatne fałdki, a potem fałdki wody zamieniły się w większe, pieniające się fale.

Fala obmyła stopy Krystyny, ale nie to, co ją bolało. Wsiadła w samuraja i, robiąc w gęstym piasku wiraż, odjechała.

Po piętnastu minutach była już pod domem Joli. Na ratanowym, białym stoliczku, w dzbanku parowała kawa, a na półokrągłym talerzu leżał pokrojony w idealne prostokąty placek drożdżowy.

– Cześć, laleczko. Kiedy do mnie zadzwoniłaś, zaraz udałam się do cukierni i kupiłam twój ulubiony placuszek z rabarbarem.

– Dziękuję, już od furtki czułam jego zapach.

Krystyna podeszła do koleżanki i sprzedała jej całusa w policzek. Gest ten został podwójnie odwzajemniony.

– Moja kochana, na ciebie zawsze mogłam liczyć. Jestem wykończona, jestem tym wszystkim wykończona.

Nie czekając, Krystyna naląła sobie do filiżanki kawy. Ciężko usiadła na krześle. Jola naprzeciwno niej.

– Opowiadaj, bo widzę w twoich oczach strapienie, a znam cię na wylot, nic przede mną nie ukryjesz. Zamieniam się w słuch. Czyżby znowu Basia?

– Tak, też, ale teraz trapi mnie coś innego. Opowiadałam ci ostatnio o tym języku.

– Tak. Straszny czyn i godny najwyższej kary. Macie już coś? – Jola zmrużyła oczy z ciekawości, rzadko to robiła.

– Wielkie g....

– To źle. – Nie ciągnęła tematu, o nic nie wypytywała. Była dziwnie tajemnicza. – Jesz, czy nadal dbasz o linię?

– Mam na to wyjebane, przez tyle lat się katowałam, przez tyle lat. I co z tego mam? Cellulit, zmarszczki, czas i grawitacja zrobiły swoje. Nie dbam o nic, jednak nie jestem pewna czy coś przełknę, daj mi moment. Muszę ochłonać.

– Jesteś u mnie, daleko od Gniezna. Zjedz, napij się i odstresuj.

– Wiem, ale ostatnio tyle się dzieje. Nie radzę sobie, zawsze myślałam, że jestem silna, dopiero po śmierci Jarka uzmysłowiłam sobie, że w rzeczywistości jestem krucha.

– Cały czas za nim tęsknisz?

– Bardzo. Tyle spraw chciałabym mu wyjaśnić. Tyle wytłumaczyć. Najchętniej odkopałabym go z grobu i zdrowo nim potrząsnęła, tak żeby się wybudził.

– Szalona...

– Jestem przesiąknięta złem.

– A Basia, jak sobie radzi Basia? Skoro nie możemy rozmawiać o miłych sprawach, to porozmawiajmy o niej.

Jola po raz pierwszy odważyła się w ten sposób powiedzieć o córce Krystyny.

– Nie oszczędza mnie. Z chęcią zostałabym u ciebie na noc,

napila się wina, zasnęła napruta. Tylko patrzeć, aż ta smarkula coś zmajstruje.

– Daj spokój, za parę miesięcy będzie pełnoletnia, to wszystko się skończy.

– Co się skończy, co masz na myśli?

– Tak powiedziałam, wiesz gdyby jej się coś przytrafiło, nie będą ciągać ciebie po sądach.

Jola dziwnie się uśmiechnęła. Krystynie wydawało się, że bardzo dziwnie.

– Daj jej dojrzeć w samotności. Prędzej czy później zrozumie, że robi źle. Przestań ją kontrolować, śledzić. Wysłać za nią tych swoich kumpli policjantów. Daj spokój.

– Skąd wiesz, że kogoś wysyłam policjantów?

– Coś kiedyś wspominałaś. – Jola się zmieszała.

– Wydawało mi się, że tylko Leon wie. – Krystyna machnęła ręką.

– A zresztą...W zasadzie mam to w dupie, niechaj wszyscy wiedzą, jak mam przejebane!

– Krysiu, bez nerwów – zmieniał temat koleżanka – Daj sobie na wszystko czas.

– Łatwo ci powiedzieć, bo nie masz córki. Zresztą na wszystko jest już za późno!

– Nigdy nie jest na nic za późno. Zapamiętaj to sobie.

Krystyna dopiła ostatni łyk kawy. Placek pachniał wyśmienicie, tak samo wyglądał. Nie skusiła się jednak na ani jeden kawałek. Jej żołądek zawiązał się w supełek.

– Jeszcze ten język. Potrzebna mi ta praca jak koszula w dupie.

– Oj, Krysiu! Słuchaj, mam kilku ludzi, którzy mogliby ci pomóc,

chcesz? Jeden przystojny, szarmancki. W dodatku bardzo dobry policjant. Wystarczy jedno twoje słowo.

– Kto to?

– „Klawitter”, pamiętasz?

– Nie, nic mi to nie mówi.

– Glina ze Słupcy, najlepszy z możliwych, twój rocznik. Myślałam, że się znacie?

– Ja znałam Ryszarda, on był najlepszym gliną. Teraz myślę o Jarku. W ogóle nie mogę znaleźć sobie miejsca, tak bardzo chciałam do ciebie przyjechać, spotkać się, pogadać. Teraz tu jestem i wcale nie chcę tutaj być. Ja chyba zachorowałam.

– Daj spokój, jesteś zdrowa jak ryba. A ja mam w Słupcy „Klawittra”. I jak będzie trzeba, to ci go pożyczę. Mówię ci: wysoki, wysportowany, blondyn o lazurkowych oczach.

Krystynę uderzyły te słowa, wyczuła w nich nutkę swaty, a romans to była ostatnia rzecz na którą miała teraz ochotę.

– Moi ludzie jak na razie sobie radzą – powiedziała dość twardo.

– Nie wykluczam dodatkowej pomocy, tym bardziej, że nie mamy ciała i nie wiemy, gdzie się znajduje. Nic nie wiemy, w sumie to wszyscy wydają nam się podejrzani. Moglibyśmy wszystkich aresztować, ale z braku dowodów nie możemy tego zrobić. W razie czego poproszę cię o pomoc, tymczasem podziękuję.

– Jak sobie życzysz. – Jola tego popołudnia tyle rzeczy chciała jej powiedzieć, tyle wytłumaczyć, ale nie mogła. Czuła, że oszukuje koleżankę. – Uważaj na siebie! – Tylko tyle zdołała powiedzieć.

– Nie mam siły. Nie chcę.

– Uważaj – powtórzyła.

Usiadł na wytartym miejscami dywanie. Wystrój mieszkania był staroświecki, ponieważ właścicielka, u której wynajmował lokum, nie dbała o wygodę lokatorów. Dla niej najważniejsze było, żeby dziesiątego każdego miesiąca wpłynęła na jej konto kwota za czynsz.

W dłoni trzymał kolejny kieliszek koniaku. Pił bez opamiętania i stracił nad wszystkim kontrolę. Od trzech dni siedział szczelnie zamknięty w domu i nigdzie nie wychodził. Zapasy w lodówce pozwoliły mu na ten komfort. Nie włączał telewizora ani radio. Wyłączył telefon. Odciął się od całego świata. Było mu z tym dobrze, ale nie czuł się bezpiecznie. Majewski, a raczej długi jakie u niego zaciągnął, nie pozwalały mu na to.

Mafia nie chciała odpuścić. Czuł, że jego życie, bądź życie córki, jest zagrożone. Przemysław Majewski w ostatnim tygodniu potrafił kilka razy dziennie do niego dzwonić. Nieraz mu groził. Nachodził w mieszkaniu, w pracy, jeździł za nim. Nie wahał się przed dręczeniem go w późnych godzinach wieczornych, potrafił zadzwonić w nocy. Ryszard nie potrafił z tym skończyć, bo nie miał pieniędzy na to, żeby spłacić zobowiązania. Jego sytuacja była patowa. Wiedział też, że wyłączonym aparatem telefonicznym nie rozwiąże swoich problemów. Odsetki rosły jak perz po deszczu. Kredyt był na wysokim procencie. Powoli oswajał się ze swoim końcem. Trzymał w dłoni kryształowy kieliszek i kręcił bursztynowym trunkiem w jedną stronę tak, że płyn zataczał regularne koła. Patrzył w kieliszek jak wół na malowane wrota.

Trzy dni wcześniej, pierwszy raz od czterech lat, zainicjował

spotkanie z Dominiką. Jego małą córeczką. Po spotkaniu z nią, czuł się jeszcze gorzej niż przed. Kolejny raz go odrzuciła, splawiła go jak największego wroga. Teraz siedział sam w mieszkaniu i prosił niebiosa, żeby Domi mu wybaczyła. Nie odezwała się do niego, nie zadzwoniła, nie odwiedziła.

Klienci też jakby zapadli się pod ziemię, jakby dowiedzieli się o jego problemach i omijali go szerokim łukiem. Dzwonek do drzwi milczał. Właściwie, z jednej strony się cieszył.

Miał wyłączony telefon, ale nie czuł spokoju, wiedział, że Majewscy o każdej porze dnia i nocy mogą do niego wpaść i go powiesić, pozorując samobójstwo. Byli znani z tego rodzaju metod odzyskiwania swoich pieniędzy. Mogli wszystko, a Ryszard nie mógł nic. Spojrzał na lewy nadgarstek, zegarek Cartiera za siedem tysięcy, tylko to mu pozostało. Drogi, nic niewart gadżet. Wszystko stracił: żonę, córkę i rodzinny dom, o który tak bardzo się starał.

W dodatku martwił się o Dominikę, bo jej też mogła stać się krzywda. Wiedział o tym, dlatego do niej pojechał. Chciał ją ostrzec. Nie chciała go słuchać, wyśmiała. Przegoniła starego ojca jak zbłąkanego psa. Zbyt mało czasu jej poświęcał, w dodatku miał problem. I niestety Domi nie dowiedziała się o tym bezpośrednio od niego. Mógł jej powiedzieć, uniknąłby ośmieszenia i pogardy. Może i jego żona nadal by żyła.

Był zasranym seksoholikiem. Domi nie potrafiła tego zrozumieć, kiedy go naszła, oceniła i od razu skreśliła. Nie mogła pojąć, że to choroba. Od lat się leczył, ale żadna terapia nie pomagała. Mało kto o tym wiedział, Ryszard potrafił się z tym kryć. Do czasu.

Pierwszą osobą, która zorientowała się, że Ryszard ma problem,

był Hieronim Sadowski. To on jako pierwszy go zdemaskował, ale nie przekreślił i dał szansę. Może dlatego, że on też nie potrafił zachować wierności.

Umówił go wtedy do znanego terapeuty na wizytę. Ryszard z chęcią skorzystał z tej terapii, i z początku nawet mu pomagała. Nie myślał już o tym, żeby bzykać wszystko co się rusza. Kasjerkę z marketu, bo miała ładne usta, dróżniczkę przy przejeździe kolejowym, bo była w mundurze. Pierwotnie tak było. Terapia nie wyleczyła go z choroby, ale na jakiś czas ją uśpiła. Z czasem Ryszard nauczył się uprawiać seks z babkami na poziomie, wybierał je z tłumu jak najładniejsze jabłka na targowisku. Po jednym numerku ucinał znajomość. Hieronim zmusił go do tego, żeby odszedł od Krystyny. Zapłacił mu za to, a on, żądny pieniędzy, zgodził się bez większego sprzeciwu. Oczywiście kochał Krysę, była delikatna i wrażliwa, zadbana i wykształcona, z dobrego domu. Jednak nie sprawdziła się w roli kochanki, nie uznawała wymyślnych pozycji, pikantnych aktów, gadżetów erotycznych. On chciał więcej, pragnął adrenaliny. Kajdanki, pejcze, stożki analne, wibratory, jutowe liny. Wolał w taki sposób zabawiać się z kobietami, wtedy osiągał szczyty.

Rzucił Krystynę, niczego jej nie wyjaśniając. Hieronim tłumaczył: *Lepiej jak będzie cię nienawidzić niż tobą gardzić.*

Poniekąd miał rację, dlatego Ryszard na szybko poznał Jolę Patyczak i z całej siły postarał się o to, by Krystyna zobaczyła ich razem w dwuznacznej sytuacji. Do dnia dzisiejszego nie zapomni jej miny. Wszystkie najgorsze emocje były w niej wyrysowane. Odwróciła się wtedy na pięcie i wyszła. Ryszardowi pozostały

pieniądze i złamane serce. Nigdy nie pokochał Joli Patyczak, stworzył z nią rodzinę, bo jedyna obiecała, że podoba jego chorobie. Mówiła, że razem wszystko przetrwają. Zaczesał ręką oprószonego siwizną wąsa i duszkiem wypił zawartość kieliszka. Potem był następny i następny, a potem włączył telewizor.

Po tym, co usłyszał, wytrzeźwiał w kilka sekund.

Leon wybrał numer do Krystyny. Nie odebrała. Chciał przekazać jej informacje, które uzyskał po rozmowie z Henrykiem. Jego zdaniem to przesłuchanie nic nie wniosło do sprawy. Tylko zamęt, niesmak, ale i kasetę Jimiego Hendrixa. Leon był w szoku, że w ostatnim momencie dostrzegł taki rarytasik. Po prostu musiał ją mieć.

Pani Zdzisława Berkowska, sąsiadka Henryka, którą odwiedził zaraz po wyjściu z jego piwnicy, też nie powiedziała mu nic ciekawego. W miarę szybko otworzyła mu drzwi, ale jej zeznania dotyczyły tego, co było nieistotne. Streściła mu życiorys wszystkich sąsiadów. Łącznie z największymi szczegółami z ich życia prywatnego. A jemu z nerwów drgała szczęka. Miał dość. W dodatku pogoda jak na złość nie chciała się zepsuć. Jeszcze raz postanowił zadzwonić do Krystyny, a w razie gdyby nie odebrała, planował odwiedzić ją w Anastazewie. Zupełnie zapomniał o tym, że Krystyna zaplanowała dzisiejszego dnia babski wieczór razem z Jołą Majerowską, mimo że przed paroma godzinami o tym rozmawiali.

Liczył na łut szczęścia. Przełom w sprawie. Czuł, że błądzą, że się gubią. Jego zdaniem przesłuchiwali te osoby, które z zaginięciem Dominiki nie miały nic wspólnego. Sądził, że to zaginięcie ma

podwójne dno i nie tak łatwo będzie im to rozgryźć. Tym bardziej, że nie ma ciała i nie ma samochodu, jakby ten zapadł się pod ziemię. Telefonu nie mogą namierzyć, widocznie ktoś wyjął kartę SIM i zatopił w jeziorze. Ostatnie logowanie na masztach BTS to właśnie Gniezno. Pozostało im czekać na informację od operatora. Nic nie mieli, prócz wyrwanego języka. Cały czas leżał na stole w medycynie sądowej w Poznaniu i czekał na właściciela. Kolejnego dnia z rana planował zadzwonić do Ryszarda, ale nie był do tego chętny. Nigdy nie widział faceta na oczy. Dzwonienie i proszenie o pomoc, nie było w jego stylu. Był na to za ambitny. Krystynie jednak zależało na zorganizowaniu dodatkowej pomocy, najlepiej kogoś niezależnego, najlepiej Ryszarda, więc, tak czy siak, musiał.

Stał w korku na ulicy Wrzesińskiej. Przed nim jechał samochód z naczepą, a w nim zapakowane cztery toalety toi toi. Widząc je, poczuł potrzebę fizjologiczną. Zacisnął krocze i starał się o tym nie myśleć. Korek cały czas pozostawał korkiem, a Bolo zamierzał zjechać na równoległą do Wrzesińskiej i tym samym skierować się prosto do Anastazewa. Gdzieś po drodze, mniej więcej w Powidzu, planował jeszcze raz zadzwonić do Krysi i poinformować ją, że jedzie do niej z niespodziewaną wizytą. Miał nadzieję, że zastanie ją w domku. Samochód z naczepą wyrzucił z siebie kłęb dymu i ruszył. Leon odetchnął z ulgą. Otworzył okno.

Nie wytrzymując parcia potrzeby fizjologicznej, przed Witkowem zjechał na pobocze. Stał pod drzewem, nie zważając na ruchliwą trasę. W uszach słyszał karcące słowa Jadzi: *Jak tak można, przewieje cię. Dostaniesz zapalenie pęcherza. Amerykańscy naukowcy...*

Cieszył się, że po wizycie u Henryka i jego sąsiadki, udało mu się wejść niepostrzeżenie do mieszkania i wykraść z kredensu walkmana. Jadzia jak zawsze o tej godzinie drzemała. Wiedział, że walkman jest sprawny. Włączył kasetę i, jadąc do Anastazewa, wsłuchiwał się w znajome, ponadczasowe gitarowe dźwięki Red House.

Krystyna wjeżdżała w leśną, wąską ścieżkę. Nie mogła się doczekać, kiedy się rozbierze. Wszystko ją parzyło i uwierało. Pozwoliła sobie raz jeszcze przyłożyć telefon do ucha. Nie użyła urządzenia głośnomówiącego, bo leśna ścieżka świeciła pustkami. Tylko ona, jej auto i wysokie, stare szumiące drzewa. Zahaczające się wzajemnie o siebie grubsze i cieńsze gałęzie.

Niebo zrobiło się granatowe. Zbierało się na burzę. Wykręciła numer do Basi, po jednym sygnale włączyła się poczta. Nie próbowała więcej. Uważała, że to problem z zasięgiem.

Nazajutrz z samego rana umówiona była z Magdą Majewską. Bała się, że bez pół litra dobrej wódki nie rozgryzie tej zagadki. Miała ochotę zawrócić auto i pojechać do pobliskiego spożywczaka po wysokie procenty. Sklep spożywczy, zresztą jedyny w tej okolicy, od czterdziestu lat był w tym samym miejscu. Przechodził z pradziada na dziada, ojca i wnuka.

Babcia Stasia mówiła na ten sklep „spółdzielnia”, tak kiedyś mówiono na sklepy spożywcze. Na wspomnienie babci, na ustach Krysi zagościł uśmiech.

Nie pojechała do sklepu. Po pierwsze nie było możliwości zawrócić na wąskiej ścieżce, a po drugie musiała zachować trzeźwy

umysł. Wiedziała jedno – po wszystkim się upije. Głos wewnętrzny zapytał ją: po jakim wszystkim? Nie umiała określić.

Nie potrafiła się wyluzować. Myślała o Basi, nie miała z nią kontaktu. Nigdy nie wiedziała, gdzie ją zastanie. Czy w mieszkaniu w Gnieźnie, czy na wsi. Była coraz bliżej małego, białego domku, już z odległości kilkunastu metrów widziała rząd tui, które przed dziewięcioma latami posadził Jarek. Po chwili wyłonił się dach, pokryty błyszczącą, czekoladową blachodachówką. Witał ją widok jak z obrazka. Tylko śpiewu ptaków nie można było namalować. Trzeba było tutaj przyjechać i to wszystko słyszeć. Poczuć na skórze łaskotanie ciepłego, słodkiego wiatru. Usłyszeć szum brzoźek i poczuć zapach szyszek, wyschniętego igliwia i leśnej ściółki. Zobaczyć błękitne jak lazur niebo. Lazur. Krystyna pomyślała o enigmatycznym spojrzeniu nieznanego mężczyzny z czerwonej mazdy. Uderzało jak błyskawice, cyjanowe błyskawice. Na moment zamknęła oczy.

Pod zamkniętymi powiekami pojawił się Jarek. Znowu napłynęły jej łzy. Jarek kupił ten domek z myślą o niej. O tym, żeby ją zadowolić, udobruchać, rozkochać w sobie. Cały czas pragnął spełniać jej marzenia, konserwował jej miłe wspomnienia z dzieciństwa. Kiedyś myślała, że to zwykły zbieg okoliczności, że kupując domek kierował się ceną, a nie okolicą. Prawda była okrutna. Krystyna zacisnęła dłonie na kierownicy. Znowu się obwinięła. Jak mogła nie się domyślać, że ten dom kupił z myślą o niej? Jarek nie stronił od towarzystwa, wręcz przeciwnie, Ignął do ludzi, czego Krysia nie mogła powiedzieć o sobie. Wzruszyła ramionami. Wchodząc do domu, zahaczyła szerokim rękawem

o klamkę i naderwała jedwabny materiał. Bluzka oversize'owa miała swoje zalety, bo była przewiewna. Miała też wady – szerokie rękawy, a nadmiar materiału w okresie, w którym Krysia była nieco roztrzepana, nie służył jej chaotycznym, szybkim ruchom. To jednak nie był dobry czas na tego typu ubrania. Buty z cielęcej skóry, na podwyższonym słupku, tak samo jak ta bluzka przypominały jej, że los cały czas podkłada jej bale pod nogi. A ona cały czas się o nie potykała. To dlatego, że nie mogła skupić myśli. Przypomniła sobie mądre słowa babci Stasi: *z bali rzucanych pod nogi, zrób sobie ognisko i upiecz choćby jedną kiełbaskę*. Kurczę, tylko te bale były niewidoczne, one były, są i zapewne będą, ale Krysia nie umiała ich dojrzeć, pozbierać i podpalić. Najgorsze z możliwych kłód...

Zdjęła bluzkę – oceniła, że nie da się jej zacerować. Znowu wróciło wspomnienie babci Stasi. Przypomniła sobie, jak z kawałkiem płótna i tamborkiem w ręce haftowała piękne i wymyślne pejzaże. W dodatku bez żadnego kalkowanego wzoru. Wszystkie pomysły same rodziły się w jej głowie. Miała talent i dobry gust. Szydełko dostała od starej Żydówki w czasie drugiej wojny światowej i zawsze miało honorowe miejsce w domu. Leżało, choć rzadko było w bezruchu, w drewnianej szkatułce umieszczonej na półce, tuż nad kaflowym piecem. Piec był narożnikowy, ogromny. Ściany nad piecem do połowy zabudowane były takimi samymi kafłami jak cały piec. Miał bogaty gzyms. Na jednej ze ścianek wmontowana była framuga i Krystyna, będąc małą dziewczynką, piekła sobie w niej pyszne jabłka. Brunatna skórka sama z nich odchodziła, a upieczony miąższ można było wyjadać łyżeczką. W dalszym ciągu nie rozumiała, dlaczego jej babcia nazywała ten

piec „cyganką”. Wspominając dawne dzieje, zdjęła bluzkę i stanik. Weszła do kuchni i wstawiła sobie wodę na kawę. Spoglądając na stary, drewniany, ręczny młynek, poczuła nieodpartą chęć żeby go użyć. Uwielbiała świeżo zmieloną kawę. Ten młynek kupił Jarek na targu staroci w Budziszławi. *Mój mąż* – pomyślała. – *Był naprawdę super*. Nie godząc się na dalsze przemyślenia, energicznie wstała z krzesła, na którym na moment przysiadła. Bluzka, którą trzymała, co najwyżej nadawała się do sprzątnięcia. Ostatecznie wrzuciła ją do śmietniczka i zabrała się za ręczne mielenie kawy, którą na szczęście zawsze trzymała w szafie. Może wiedziała, że w końcu użyje tego przedpotopowego sprzętu. Kiedy otworzyła drewnianą szufladkę młynka, poczuła zapach pieprzu, zdając sobie sprawę z tego, że właściciele tego młynka, używali go nie tylko do kawy. Wytrzepała resztkę pieprzu do zlewu i przetarła szufladkę wilgną ścierką.

Od miesiąca nosiła się z zamiarem kupienia ekspresu do kawy, ale modele dostępne w sklepie, były zbyt oklepane. Czekwała na jakąś nowość. W sumie to planowała remont w swoim mieszkaniu w Gnieźnie i to tam chciała zakupić nowoczesny ekspres do kawy. Najlepiej pod zabudowę. Wówczas ten stary mogłaby przywieźć tutaj.

– Kiedyś ludzie też musieli sobie jakoś radzić – powiedziała do siebie. W domu było głucho i ciepło. Mury były tak grube, że nawet w trzydziestostopniowym upale można było się tam schłodzić. Teraz nie czuła tego chłodu. Pomyślała o Basi i znów zakłuło ją serce.

Zapach świeżo zmielonej kawy, który unosił się w kuchni, ukoił nieco jej ból.

Kiedy jej luźny biust falował razem z jej ruchami rąk, sama przed sobą się zawstydziała. Co prawda była w domku sama, ale paradowanie z gołym biustem w tym wieku, przestało już być jej zwyczajem. Nie była pierwszej młodości. Jej ciało przestało być piękne i jędrne. Pomarszczona skóra, w którą niegdyś wcierała najdroższe balsamy, zaczęła wiotczeć, przypominając Krystynie o upływającym czasie. Do połowy była naga, potrzebowała tego luzu, ale jednocześnie wstydziała się swojego ciała.

Spojrzała przez kuchenne okno, zdrowy rozsądek wziął górę. Odstawiła kubek z kawą i udała się do sypialni po podkoszulkę. Wyjęła z szafy pierwszą lepszą i nałożyła ją na nagi biust. Nie chciała dodatkowo ścisnąć go biustonoszem.

Za oknem widać było wysoki perz zdobiący długo nie koszoną trawę. Przypominało to dziką łąkę, natomiast w niczym nie przypominało ogrodu.

Gdyby Jarek żył!

Kosił trawę i dbał o obejście. W doniczkach przed wejściem rosły żółte, przerośnięte już bratki. Częściowo były uschnięte. Zdążył zasadzić je przed swoją śmiercią. Teraz nie było komu o nie zadbać.

Krystyna nie miała pojęcia o pielęgnacji ogrodu, bo wychowała się w bloku. Kiedy poznała Jarka, nie chciała mieszkać w domku jednorodzinny. Bała się obowiązków i związanych z tym wydatków. Woląла kupić sobie firmową garsonkę i dobry krem, niż stale inwestować w rynny, płyty i trawniki z rolki. Jola miała dom jednorodzinny i Krystyna doskonale wiedziała, że zdanej przez nią relacji, że to jest niekończący się problem: remonty i wieczny dramat. Dlatego zamieszkali z Jarosławem w mieszkaniu, które kupił

im Hieronim, ojciec Krystyny. Na wielkim osiedlu, niedaleko bloku rodziców. Jarek wychował się w niewielkiej willi na przedmieściu, jego rodzice nie byli zbyt majątni, ale posiadali dom. Kiedy Jarek zaprosił ją do siebie pierwszy raz, była w trzecim miesiącu ciąży. Na tle nowoczesnych deweloperskich szeregowców, które rosły jak grzyby po deszczu, jego rodzinny dom wydawał się być komiczny. Kwadratowy komunistyczny klocek z wtopionymi w tynk kawałkami stłuczonego szkła we wszelakich kolorach. Jarka mama, miała bardzo wypielęgnowany ogród. Krysia nie mogła przypomnieć sobie, jak jej teściowa ma na imię. Wołała na nią *muśka*, słowo mama nie mogło przejść jej przez gardło. Siorbała gorącą kawę i rozpamiętywała daleką przeszłość.

Wszyscy poumierali. Przeczesała kasztanowe loki, ale te sprężystym ruchem wróciły na swoje miejsce. *Nikomu nie zdążyłam powiedzieć, że kocham.*

Z nerwów zrobiło jej się gorąco. Wydało jej się to dziwne, ponieważ na zewnątrz słońce zaczęło chować się za horyzont. Poczula zbierające się kropelki potu na czole. Odruchowo chwyciła za kaloryfer. Był ciepły i z sekundy na sekundę robił się jeszcze cieplejszy. Energicznie zdjęła z niego oparzoną dłoń. Sprawdziła raz jeszcze, ponieważ sama nie wierzyła w to, co przed momentem poczuła. Kaloryfer zrobił się gorący. Nagle z piwnicy dobiegły ją szmery i odgłosy. Wcześniej była pewna, że w domu jest sama. Usłyszała uderzenie haczykiem, dźwięk w rurach dowodził, że ktoś musiał być w piwnicy. Tylko kto? Stała na równe nogi i niechciany, nieskoordynowanym gestem ręki zrzuciła szklanę z gorącą kawą. Otworzyła szufladę i wyjęła z niej nóż. Trzęsła się jak

tężejąca galareta. Wyobrażała sobie najgorsze. Jeszcze nigdy w życiu nie była tak przestraszona. Usłyszała, że ktoś wspina się po schodach i idzie w jej kierunku. Ścisnęła jeszcze mocniej nóż, ostrze skierowała w kierunku niewidocznego jeszcze, nieznanego bandziora. Drzwi się otworzyły. Najpierw ujrzała bladą nogę odzianą w czarne kabaretki. Rozpoznała tą nogę. Nóż odstawiła na blat, nie chciała, żeby córka zobaczyła ją w takim stanie.

– Co ty tu robisz? – Krystyna wypowiedziała słowa, które najszybciej przysły jej do głowy.

– Co TY tu robisz? To taty dom, taty i mój, więc TY stąd spadaj.

– Nie bądź okrutna, proszę. Przyjechałam odpocząć. Nie pojawiaasz się w domu, nie odbierasz telefonów. Tęsknię. Basiu, dlaczego ty mnie tak traktujesz?

Basia zamknęła metalowe drzwi na klucz. Najdziwniejsze było to, że Krystyna po raz pierwszy zobaczyła, że drzwi od piwnicy zamyka się na klucz. Nie miała o tym bladego pojęcia. Nigdy nie zaglądała do piwnicy, pewnie w okresie zimowym przyjdzie jej palić w piecu, ale teraz ten teren wydawał jej się obcy.

– Każdy ma to, na co zasłużył. Jesteś na wszystko ślepa. Ślepa i głupia. – Poprawiła sobie krótkie szorty i zawiązała koszulkę z flaneli na supełek., uwidaczniając tym samym kolczyk w pępku i niewielki tatuaż.

– Nowy? – zapytała matka.

– Nie, nowy mam tu. – Basia podciągnęła koszulkę i pokazała Krystynie swoją bladą pierś. Wytatuowanych miała na niej kilka czaszek i coś na podobieństwo skrzydła. Czaszki leżały jedna na

drugiej. – *Ten widzi najdalej, kto zbudował sobie najwyższą piramidę z czaszek* – zacytowała. – Wiem, że w twoim typie, matko!

– Dlaczego ty mnie tak traktujesz? – powtórzyła znowu.

– Nie zasłużyłaś na nic lepszego. – Basia podeszła do zlewozmywaka w kuchni i odkręciła kurek z zimną wodą, potem z ciepłą. Umorusane od węgla dłonie myła sobie w płynie do naczyń.

– Dlaczego palisz w piecu? Jest gorące lato.

– Mnie jest zimno. Jakby to powiedzieć, nie miałam matczynej miłości, to teraz szukam ciepła.

– Co tam robiłaś?

– Koniec roku, zdałam... Palłam w piecu książki. To taka wiesz, terapia, ulga, że skończyłam tę zasraną budę.

– Wciąż powtarzasz to samo. Tyle miałaś książek? Nie możesz ich komuś wydać? Głupi i biedny ten, kto niszczy książki. A to przysłowie znasz? – Krystyna podniosła ton głosu.

Basia deptała czarnymi glanami po rozlanej kawie i kawałkach zbitego szkła. Nic sobie z tego nie robiła. Krystyna zrobiła się purpurowa ze złości. Wiedziała jednak, że jedynym sposobem na niesforną Basię jest spokój i opanowanie. Tym najlepiej można było ją ujarzmić. Córka najwyraźniej kolejny raz chciała ją sprowokować.

– Napijesz się ze mną kawy? – zapytała najspokojniej, jak tylko potrafiła.

– Mam lizać tą wylaną na podłodze? Tego chcesz? Z ojca też zrobiłaś szmatę!

Krystyna policzyła w duchu do dziesięciu.

– Zrobię ci nową, razem wypijemy.

– Po moim trupie. Może szybciej niż myślisz, ojca już zabiłaś.

– Co ty bredzisz? Basiu, rozmawiajmy!

– Chcesz rozmawiać, to ci przypomnę. Waldek, jak on się nazywał, Kros? Podrzędny adwokacina. Pamiętasz jak się z nim bzykałaś? Bo ja to pamiętam, a nawet widziałam. Podobnie jak dziś myślałaś, że jesteś sama w domu. Nie byłaś, ja wtedy byłam w swoim pokoju. Jak zawsze zwiąlam z budy. Wpadliście do mieszkania zajęci sobą. Nawet nie zajrzałaś do mojego pokoju, czy jestem i czy wróciłam ze szkoły. Nie zapytałaś mnie, jak było w szkole ani czy sobie radzę, czy mam więcej wrogów, czy przyjaciół. Nie zainteresowałaś się czy jestem głodna. Gdyby nie ojciec nie wiedziałabym, co to obiad. Miałaś mnie w dupie, dopiero po śmierci ojca przejrzałaś na oczy. – Basia spojrzała na nią złośliwie. – Bzykałaś się z Krosem, wiałaś się jak kocica. Wszystko widziałam i słyszałam. Teraz też ktoś cię bzyka?

– Basiu, to nie tak. – Krystyna usiadła na krześle, tak samo jak Basia deptała po rozlanej kawie i kawałkach szkła.

– A jak? Bzykałaś się z nim tak, że aż ściany się trzęsły. Frajer, a ojca nie potrafiłaś nawet przytulić.

Krystyna zbladła.

– Może i masz rację. – Krystyna dość mocno podniosła głos. Sama się zdziwiła. Przez ostatnie osiemnaście lat nie przypominała sobie, żeby aż tak głośno krzyknęła na Basię. – Taka byłam! Głupia. Byłam głupia, umrę też głupia, bo ty nie chcesz dać mi zmądrzeć. Odsunęłaś się ode mnie. Basiu... – dodała łagodniej – Proszę, wybacz mi. Każdy popełnia błędy.

– Jesteś żałosna. Mam cię dość. Jadę do Gniezna. – Uniosła brew, ostro zarysowaną czarną kredką.

– Jak chcesz tam dojechać? Ostatni PKS odjeżdża o godzinie szesnastej.

– Dam sobie radę. Jak zawsze.

Wyszła z kuchni, a Krystyna siedząca na krześle obserwowała, jak powoli rozlana kawa na podłodze zamienia się w wyschniętą skorupę. Usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Obserwowała oddalającą się sylwetkę szczupłej, bladej dziewczyny. Kabaretki, czarne szorty, kurtka z džinsu i ciężkie buty. Różowe kosmyki zaplątały się w uchwyt plecaka.

– Basia – powiedziała głośno. Siedziała przy stole i patrzyła przez okno, jak drobna postać zamienia się w niewielką plamkę. Zniknęła. Krystyna cały czas siedziała w tym samym miejscu. Nic nie rozumiała.

Otarła łzy, zamiotła szkło i wytarła wyschniętą, zmieloną przed momentem, kawę. Zrobiła to szybko, bo zobaczyła, że Leon zajechał pod jej dom. Nie była zdziwiona, chociaż powinna być. Poczowała ulgę, nie chciała być sama.

– Mogę wejść? – zapytał, stając w progu.

– Jasne. Miło cię widzieć. Zaskoczyłeś mnie, pozytywnie rzecz jasna.

– Zbiłaś szklankę?

– Tak to jest, jak chce się wypić kawę bez przyjaciela.

– To jakiś znak.

– Tylko jaki znak? Mam nadzieję, że zarzucisz mnie nowościami.

– Trochę się uzbierało – odparł, będąc już w środku.

– Zawsze to coś, bo mnie, mimo że się staram, to nic nie

wychodzi.

– Zbite szkło jest na szczęście. – Leon dodał po chwili: – Mijałem się z Basią.

– Ja też. – Otarła dłonią ostatnią łzę.

– To jej sprawka? – Spojrzał w jej czerwone, zapłakane oczy.

– Tak.

– Ale ty masz tu gorąco. – Bolo znowu bezskutecznie próbował oderwać przylegającą do wystającego brzucha podkoszulkę.

– Wiem, Basia paliła książki. Ugotujemy się tu jak... jak sama nie wiem co.

– Upieczemy się jak kurczaki z rożna. To chciałaś powiedzieć? Czekał, zejdę do piwnicy i zasypię ogień popiołem.

– Tak to się robi?

– Tak, to stary sposób. Moja babcia tak robiła, potem ojciec. Babcia jak zaszalała z opalem, ojciec jak mu się woda w piecu gotowała.

– To idź do piwnicy. Tam jest wejście. – Wskazała szare, metalowe drzwi. – Ja zrobię zasłużoną kawę. Wypijemy w spokoju. Chociaż pewnie długo nie zaznam spokoju. Może kiedyś, jak będę dwa metry pod ziemią. Pewnie szybciej niż myślę.

– Co ty bredzisz? Trzeba się cieszyć życiem!

Krystyna nie odpowiedziała.

– Jechałem od strony Ostrowa. Tam też jest dobry dojazd. Kurczę, to miejsce jest takie piękne, cisza, spokój. Jakby niezauważone przez ludzi albo zapomniane przez Boga.

– Dokładnie, mam takie same przemyślenia. Wolę to pierwsze określenie: zapomniane przez Boga... trochę źle mi się kojarzy.

– Z czym?

– Ze zbrodnią. – Krystyna odpowiedziała bardzo szybko. – Rzadko jeżdżę od strony Ostrowa, bo tam jest trudna droga. Ogromne dziury i wystające konary. Szkoda auta. To znaczy to samuraj, ale jakoś mi żal. Pojeżdżę nim do emerytury.

– A potem lamborghini?

– Oj tam, samochód to tylko kupa złomu.

– Krysiu, nie poznaję cię. Gdzie się podziało twoje pionierstwo?

– Nic nie warte, bo to tylko głupie, dające na moment szczęście, przedmioty.

Bolo przetarł kropelki potu, które zebrały mu się na czole. Nie skomentował tego, ale w duchu pochwalił Krysię za taki postępek. W końcu przestała skupiać się na przedmiotach, a zaczęła zauważać ludzi i drobne szczęścia.

– Idę wygasić pożar, a ty zrób kawę. Czeka nas niezły seans filmowy. Mam nagranie z monitoringu z całego tygodnia. Zaczynamy od dwudziestego drugiego.

– Jasne, szefie.

Krystyna ponownie miała kawę, przysłuchując się stukotom w kaloryferach – miała wrażenie, że za moment popękają. Wyobrażała sobie, jak Leon próbuje wygasić pomarańczowy ogień wypalonym popiołem. Uśmiechnęła się do siebie. Jarek bardzo dbał o porządek w piwnicy. W miarę możliwości systematycznie wnosił popiół i wsypywał do dziur w drodze prowadzącej do domku.

– Zrobione, szefowo. – Usłyszała szorstki głos Leona.

– Jakim cudem? Właśnie się zastanawiałam, skąd weźmiesz popiół. Z Basi książek? Podejrzewam, że w piwnicy jest wylizane, bo

Jarek dbał o porządek, a zmarł zaledwie dwa miesiące temu. Nie sądzę, żeby uzbierało się dużo popiołu.

– Byłaś tam? Widziałaś ten syf?

– Szczerze, to nie byłam. Nie było sposobności. Co tam jest?

Szczury, zdechłe koty?

– Jasne, pięć zamordowanych kotów i trzy wypatroszone psy.

– Serio?

Oboje zachichotali.

– Znalazłem to. – Leon pokazał Krysi książkę.

– Co to jest?

– „Biblia Szatana” La Vey’a. Twoja córka kocha błądzić w mroku.

Lubi wszystko to, co złe.

– Już ją widziałam, była na regale. Zaniosa ją do piwnicy?

– Leżała na piecu. Może ją też zamierza spalić, ale dlaczego tego nie zrobiła? Czeka na lepszy moment?

– Czyli to książka Basi. – odpowiedziała Krystyna, zastanawiając się, dlaczego wcześniej nie chciała znać odpowiedzi na to pytanie. Przecież ta książka... sama okładka, ją przeraziła.

– Zobacz, tu jest dedykacja. – Leon otworzył książkę na Księdze Lewiatana. Była tam dedykacja, najprawdopodobniej pisana piórem wiecznym. Pismo było Jarka.

*Dla moich dwóch ukochanych, najdroższych memu sercu, córek.
Tata Jarek.*

– Dla moich córek... O co chodzi? – Spojrzała na Leona. – Jarek miał jedną córkę, czyżbym o czymś nie wiedziała? Leon, oświeć mnie!

– Mnie się pytasz. Wyjaśnij to z Basią. – Zaczął czytać trzymaną

w rękach pozycję: – *I lepiej śmierć wybierz niż ulegnij*. O co chodzi?

– Wiesz co, weź zamknij tę książkę. Wróćmy do pracy. Masz płytę? – Krystyna nerwowo zakręciła się w kuchni.

– Mam, i mam laptopa. Wszystko mam, jestem przygotowany.

– A DJ?

– Stary, zboczony fagas, śmieciarz, nie wiem, co myśleć! Krysia, jutro z rana zadzwonię do Ryszarda, upierałem się, że damy radę, ale nie damy. Trzeba schować honor do kieszeni.

– Otóż to. Mówiłam ci!

Krystyna postawiła na stole dwie filiżanki kawy. Leon miał włączonego laptopa. Oglądał nagranie. Zaczął od dwudziestego pierwszego czerwca, nie chciał nic przeoczyć. Pierwsze zapiski z kamer wydawały się mało ciekawe. Zapracowany dzień w kawiarence, widać było uwijające się kelnerki, Ewelinę i Marzenę. Dominika wyraźnie nimi dyrygowała.

– Patrz, pracują jak mróweczki, ciężkie krzesła, parasole, a ta tylko stoi i pokazuje paluchem.

– Może tak, może nie. Ktoś musi pracować, żeby ktoś mógł odpoczywać. Chyba nie uważasz, że takim zachowaniem zasłużyła na swój los?

– Nie zasłużyła, to pewne. – Leon włączył przyspieszone odtwarzanie. – Tak tu było na tydzień przed zbrodnią. Dzień jak co dzień. Patrz, Dominika przystawia się do tego gościa, co to za jeden? – Leon wskazał wysokiego, wysportowanego bruneta. Wyglądał jak włoski model z żurnala.

– Nie znam. Ale to nie znaczy, że nie poznam.

– Widzisz? – Leon wskazał palcem na grzebiącego w śmietniku

Henryka. – DJ nie kłamał: szpera w śmietniku. Kurczę, jak można tak nisko upaść. Te kobiety. Co one w nim widzą? Musi być naprawdę dobry w te klocki. Zobacz, wyjmuję jakiś serek, czy co to, kurwa, jest.

– Przewijaj, przewijaj. Nie chcę na to patrzeć.

Przewijali i oglądali. Krystyna z nudów przecierała oczy, ogarnęła ją senność. Doszli do dwudziestego piątego czerwca. Na tamten moment nic podejrzanego nie zwróciło ich uwagi. Nagranie wręcz ich nużyło. Krystyna przysypiała na siedząco, Leon co chwilę ją szturchał.

– Nie śpij, bo cię okradną.

– Okey. Leon?

– Tak?

– Jak wygląda ta Kamila Stos?

– Z tego co zeznała Ewelina, to typ słodkiej idiotki, różowe kolory, brokaty. Słodka, aż do...

– Aż do wyrzygania.

– Dokładnie. Jeżeli chcesz, jutro załatwię i dostarczę ci nagranie z osiemnastego czerwca, wtedy jeszcze Kamila była przed urlopem. Zobaczysz ją.

– Ty ją widziałeś?

– Tylko na zdjęciu.

– Ja pierdzielę, ale nuda. Chyba wolałbym poczytać tę „Biblię Szatana”.

– Nie ruszaj gówna, bo cię osra.

– Chciałeś powiedzieć „bo zaśmierdzi”... Idę spać, a ty? Dokończymy jutro.

– Czekaj, czekaj. Zobacz to. – Leon otworzył szeroko oczy. Jeszcze mocniej szturchnął Krystynę.

– Co? – Dla Leona to był przełom w sprawie.

– Majewska. Zobacz, stoi pod słupem.

Zobaczyli stojącą przy miejskiej latarni żonę gnieźnieńskiego biznesmena. Miała słomkowy kapelusz i inny kolor włosów, ale to była ona. Szczupła, delikatna blondynka z pieprzykiem na środku czoła.

– Obserwuje Domi. Patrz, wyciąga z kieszeni telefon i pisze esemesa. Patyczak w tym samym momencie wyjmuję z kieszonki telefon i coś czyta. Kurczę, czyżby pisała do Dominiki? Czy to jakiś zbieg okoliczności? Zobacz, za każdym razem kiedy Majewska pisze smsa, to Dominika wyjmuję z fartuszka telefon i sprawdza treść.

– Data?

– Dwudziesty piąty czerwca, trzy dni przed zaginięciem Dominiki.

– Że też nie można namierzyć jej telefonu.

– Jej nie, ale Majewskiej tak. Jutro ma przyjść?

– Trzeba ją aresztować i sprawdzić wszystkie esemesy i połączenia. Hurra!

– Nie ciesz się, za wcześnie na laury.

– To oni, oni są winni śmierci Domi. Na sto procent. To Majewscy! Mówiłam ci.

– Z przyjemnością ich aresztuję, ale „Krysiu, to zbyt oczywiste. Nie sądzisz?

– Może tak, może nie. Tak czy siak, Majewska jutro zapłacze. Majewski zresztą też.

Już stojąc przed drzwiami na klatce schodowej, czuł duszący, zamulający go zapach kadzideł. *Czekolada z wanilią?* – zastanawiał się Włodzimierz, czekając, czego ciekawego się dowie o swojej przyszłości. I czy wróżka Aida to Wanda Wasilewska? To właśnie dzisiaj, na godzinę dwunastą, był umówiony na wróżenie z kart. Wróżba życia miała mu podpowiedzieć, kto stoi za okaleczeniem Dominiki.

Miał nadzieję, że spełni się jego marzenie. Zbada enigmę, abrakadabra, zapozna się z nikomu niepoznanym. Śmiał się w duchu, stojąc pod drzwiami, i czekając, kiedy wybije punkt dwunasta. Nie miał odwagi nacisnąć dzwonka wcześniej. Lekko się denerwował.

Głęboko zakotwiczona ludzka ciekawość kazała mu trwać przy drzwiach i to nie tylko ze względu na dobro śledztwa. Jego podświadomość chciała wiedzieć, co go czeka w najbliższym czasie. Może okazać się, że w drobnym, okratowanym okienku starego zamczyska, oczekuje go tak samo drobna, wysportowana białogłowa postać, która kocha grać w ping-ponga? Poprawił różowy kołnierzyk od polówki Versace i czekał na równą godzinę, żeby móc zasygnalizować dzwonkiem, że już jest.

Tarot nie wchodził w grę. Tarot to wyrok od diabła. Nawet jak coś nigdy by cię nie spotkało, a wyjdzie z tarota, to ciebie to spotka. Tak mawiała Włodzimierza matka, która z racji swojej bogobojuści stroniła od wróżb. Włodzimierz bał się fatum.

Co najwyżej fusy i zwykłe karty – pomyślał. Spojrzał na zegarek, starą sikorę na umięśnionym nadgarstku. Zegarek po ojcu. Okrągła, masywna tarcza, która idealnie pasowała do jego grubego

nadgarstka. Złote wskazówki wskazywały jedenastą pięćdziesiąt. Czekał. Czas mu się dłużył, jedna minuta wydawała mu się wiecznością. Kiedy tu jechał, miał wrażenie, że się spóźni, ale dotarł przed czasem.

Stał jeszcze kilka minut i wdychał zapach czekoladowo-waniliowo-pomarańczowych kadzideł. Nie wytrzymał, uniósł rękę na wysokość dzwonka, ale nie nacisnął go. Jakaś siła go powstrzymywała. Był ciekawy, czy wróżka, która mieszkała kiedyś niedaleko zaginionej Dominiki, jest na tyle bystra, że rozpozna różnicę głosów. To Leon dzwonił umówić się na wizytę, Włodzimierz go tylko zastępował. Ich głosy horrendalnie się różniły.

Leon miał przewlekłą, nigdy nie opuszczającą go, chrypkę, mówił brudnym *basso buffo*. Włodzimierz zaś miał głos aksamitny, wręcz kobiecy, dyszkant, czasem miał wrażenie, że jodłuje, jakby jego sopran chłopięcy zamieniał się w kontra tenor. Chyba nigdy nie przeszedł mutacji.

Drzwi nagle się otworzyły, mimo że Włodzimierz, przepelniony obawą i dylematami, nie nacisnął dzwonka. Wróżka Aida najwyraźniej sama zorientowała się, że jej gość czeka pod drzwiami. *Może słyszała szmer, a może to prawdziwa wróżka* – pomyślał.

– Dzień dobry. – Starał się nadać swemu głosowi nieco chryпки. Nie wyszło.

– Witam. Niepotrzebne nerwy. Długo pan tak stoi?

– Nie rozumiem.

Zapach kadzidelka zrobił się jeszcze bardziej intensywny. W dodatku z mieszkania dobiegały go dźwięki muzyki indyjskiej. Chciało mu się śmiać. Powstrzymał się. Kobieta z turbanem na

głowie i dość wulgarnym makijażem zapraszała go do środka. W długiej wzorzystej sukni wyglądała jakby tańczyła.

– Widziałam pana przez okno, jakieś dziesięć minut pan zmarnował na czekanie pod drzwiami. – Poprawiła sobie wielki, imitujący złoto, kolczyk z fioletowym oczkiem. – Tylko pytanie, dlaczego? – Aida przeciągnęła ostatnie słowo, tak, że zabrzmiało tajemniczo. – Chęć poznania przyszłości to błogosławieństwo.

Włodzimierz czuł się zdemaskowany. Czyli kobieta widziała go przez okno. Mogła powiedzieć, że w szklanej kuli, byłaby bardziej przekonująca. Zatkano go i milczał.

– Spokojnie, ludziom zdarza się przychodzić wcześniej, to żaden wstyd.

– Och, to nerwy – powiedział szybko, to co mu ślina na język przywiodła. Kobieta wprowadziła go do swojego pokoju wróżb, a on poczuł się jak w „Harrym Potterze”. Szklane kule na każdej półce, kilkanaście talii kart, w tym kilka tarota. Wahadełka wiszące na długich sznurkach przyczepionych do uchwytów w suficie i szklanka z fusami, służąca zapewne jako eksponat, tak dla animuszu. Nocnik pod stołem i mnóstwo odstraszaczy koszmarów. Długie i krótsze pióra dyndały sobie jak sztuczne roślinki.

– Ciekawe miejsce.

– Tak, starałam się nadać mu szczyptę tajemniczości, a te przedmioty to odzwierciedlenie moich zdolności. Proszę spojrzeć na ścianę, same dyplomy!

Włodzimierz zaczął czytać. Certyfikat ukończenia ezoteryki, certyfikat ukończenie hipnozy energetycznej, świadectwo ukończenie tarota zaawansowanego i portret psychologiczny, karma

i programy karmiczne. Dyplomy. Jeden, drugi, trzeci. Było tego dużo. Wszystkie z inną datą, ale zdobyte w tym roku. Na wszystkich napisane: *Dla pani Aidy Wasilewskiej*.

Czyli to Wanda – pomyślał. Ścisnął pięści, jakby chciał wykrzyknąć: jest!

– Od dawna pani tu przyjmuje?

– Od niepamiętnych czasów.

Włodzimierz złapał wróżkę na kłamstwie.

– I wszystkie szkolenia w tym roku?

– Nie rozumiem?

– Z podobną datą na certyfikatach?

– Stare wyrzucam. Doszkałam się co roku – skłamała.

Postanowił najpierw skorzystać z wróżby, a potem zaatakować. Usiadł na wskazanym przez wróżkę krześle stojącym naprzeciwko niej. Dzielił ich okrągły stolczyk, który, o dziwo, był pusty. Podał kobiecie dłoń.

– Jest pan sam?

– To ja się pani pytam, czy jestem sam? Pani jest wróżką. Proszę mi odpowiedzieć. – Zauważył u Aidy chwilowe zmieszanie.

– Tak, odpowiem, jednak podstawowe informacje muszę zdobyć. To pomaga, niech mi pan wierzy.

– Jestem sam. – Włodzimierz miał ochotę wybuchnąć śmiechem, jednak udało mu się zachować powagę.

– Oj, widzę na pana drodze kobietę. Ładna, zgrabna brunetka. Pokochacie się na zabój. Dwa małe krasnale, ona ma dwójkę dzieci z pierwszego małżeństwa. Pokocha je pan jak swoje. Jest blisko. To może być pana sąsiadka albo koleżanka z pracy? To będzie dla

pana dobra partia. Dom, w którym pan mieszka, nie będzie pana domem, wyprowadzi się pan i zamieszka u nowej miłości.

– Ciekawe, proszę kontynuować. – Włodzimierz kochał swój rodzinny dom i ani mu się śniło z niego wyprowadzać. To była jego ojcowizna, a dla niego ojcowizna to świętość. Wróżka Aida pochyliła się do dłoni Włodzimierza, chciała coś w niej ujrzyć. Przez moment patrzyła i milczała.

– O, widzę. Kobieta, a za nią jakiś mężczyzna i inna kobieta. Blondynka! Czyli blondynka to pańska była żona, która będzie chciała wrócić. Oj tak, kocha pana. Niech pan do niej nie wraca, to zła kobieta, bardzo zła.

– To najprawdziwsza prawda. Co tam jeszcze pani widzi? – Hamował się od wybuchu śmiechu.

– Tak, tak, zostawiła pana. Odeszła do młodszego, ale już teraz tego żałuje. Tęskni. Pan jednak wybierze nową miłość, i dobrze. Nie pije się wczorajszego piwa, nie smakuje. – Zwinęła rękę policjanta w pięść i przyłożyła do swojego policzka. – Bardzo dobrze, mądry z pana mężczyzna.

– Super, z tym że ja jestem kawalerem, a teraz do rzeczy. – Włodzimierz wyjął srebrną odznakę. – Jestem z policji.

Kobieta odchyliła się do tyłu, nie wiadomo skąd wyjęła wachlarz i zaczęła się nim wachlować.

– Ja nic nie zrobiłam, to mój zarobek, rozliczam się z urzędem skarbowym! Ja nic nie zrobiłam, przysięgam!

– Nie o to chodzi. Przyszedłem w sprawie Dominiki Patyczak. Byłyście sąsiadkami?

– Tak, ale ona zaginęła, ja musiałam uciekać, bo bałam się

o siebie. Proszę mnie nie zamykać. Albo lepiej mnie zamknąć. Jak oni się dowiedzą, gdzie jestem, to i mnie dopadną.

– Kto? Czego się pani boi? – Włodzimierz był zszokowany potokiem informacji, jakie wypłynęły z ust Aidy.

– To towarzystwo... Ciągnęło się za Domi od samego liceum, nie chcieli jej opuścić. Bała się. Próbowałam ją pocieszać, być blisko niej, ale czasem byłam na nią zła. Też dostawałam liściki z pogroźkami. Obie się bałyśmy, bo oni są nieobliczalni.

– Co to za liściki? Ma pani jakiś zachowany?

– Nie, wszystkie wyrzucałyśmy. Domi to nawet podpałała je zapalką i niszczyła. Bała się. Z dnia na dzień była bardziej nerwowa, czasem nie do zniesienia. Toteż często się kłóciłyśmy. To tak musiało się skończyć.

– Co to za towarzystwo?

– Sataniści, ale Domi nie była satanistką. Ona tylko udawała, tak dla świętego spokoju. Jeden z nich, Franek Mikito, w niej się podkochał. Maniak. Domi bała się go, dlatego zrobiła kurs włoskiego. Chciała wyjechać za granicę, do słonecznych Włoch. Taki miała plan ucieczki. Nie zdążyła. Biedna.

– Dlaczego wdałyście się w to towarzystwo?

– Domi się wdała jeszcze w liceum. Mieszkała wtedy we Wrześni. Potem przeprowadziła się do Gniezna, zamieszkała w sąsiedniej kamienicy. I tak się poznałyśmy. Zaprzyjaźniłyśmy się i jakoś tak wciągnęła mnie w to gówno, ale to nie był mój świat. To znaczy lubię inne rzeczy, innowacyjność, ale czarne msze, palenie kotów, pentagramy to nie moja bajka.

– A Dominika? Czy to była jej bajka?

– Kiedyś, w młodości, miała ciężki okres, bardzo ciężki. Matka chora na raka, ojciec emocjonalnie niedojrzały, seksoholik. Wie pan, jak to jest. Jedynaczka, której nikt nie rozumie. – Kobieta zawahała się. – Boję się z panem rozmawiać, nie mogę rozmawiać. Domi zaginęła, a ja muszę dbać o swoją skórę. Uciekłam, mam nowy sposób na zarabianie pieniędzy.

– Oszustwo. To niby ten nowy sposób? – Włodzimierz nie mógł się powstrzymać od uszczypliwości.

– Jestem po szkoleniach, dużo czytam. Cały czas się uczę. Dzisiejsza wizyta gratis, może pan już wyjść. Rozboliła mnie głowa.

– Ja tu wrócę – ostrzegł.

– Błagam, nie. Ściągnie pan na mnie nieszczęście. Czuję to w powietrzu.

– Zapewnić pani ochronę?

– Nie, chcę spokoju.

– To nie będzie takie proste, już nic nie będzie takie proste! Co jeszcze pani wie?

– Oni są niebezpieczni, zmieniają imiona, nazwiska. Posługują się różnymi dokumentami. Kradną je, kupują je na darknecie, sama nie wiem!

– Gdzie ich znajdę?

– Nie wiem, oni są wszędzie.

– Ma pani numer telefonu do któregoś z członków tej sekty?

– Nie mam. Oni nie dzwonili, tylko nachodzili Domi. Proszę już wyjść, czuję złe wibracje. Bardzo złe. Energia jaką pan niesie jest zła. Proszę wyjść.

– Wrócę.

– Mnie już tu nie będzie.

– Numer do któregoś z nich? – Widzi jeszcze raz powtórzył pytanie.

– Nie mam, ale ten Franek mieszka w Gulczewie Proszę tam szukać.

– Franek, pseudonim „Miki”?

– Tak, Franek Mikito. Tyle wiem. Domi miała malutki tatuaż na kostce z jego ksywka. Żegnam.

– Żegnam.

Wyszedł i już na klatce schodowej wyjął telefon, żeby zadzwonić do Leona. Nie odbierał. Zadzwonił do Krystyny. Echo! Pojechał do domu się przebrać i poodbijać białą, piłeczkę. Musiał odreagować.

W końcu, po paru godzinach, dodzwonił się do wiecznie zajętej prokurator.

– Słucham.

– Hej, mam dobre wieści. Gdzie jesteście?

– W Anastazewie, z Leonem. Wpadaj do nas, czekamy.

– Super, pędzę, bo nie chce mi się opowiadać tego przez telefon.

– A jest co do opowiadania?

– A jest.

– My też mamy sporo do przekazania. Zaparzę kawę i wszyscy razem przestudiujemy nagranie monitoringu. Szczerze to usypiam, może twoje obecność mnie wybudzi. – Krystyna miał na myśli skrzeczący, wręcz piskliwy, głos Włodzimierza. Nie zorientował się, o co jej chodzi.

Kroczyła pewnym, miarowym krokiem, starała się oddychać

regularnie. W jej życiu nic nie było pewne, jej samej brakowało wiary w siebie.

Ciężki, czarny but zaczął ją uwierać, chyba przez mały kamyk. Bezceremonialnie uderzała butem o pień drzewa, aby ziarenko zmieniło położenie.

– Mogłoby być jak już jest, ale w innym miejscu – rzekła do siebie. Dzisiejszy wieczór zaplanowała zupełnie inaczej, zaprosiła Meer na seans. Miały zaplanować ich wspólną przyszłość. Niestety jej matka jak zawsze wszystko zepsuła, przyjechała na wieś nieproszona. Basia szczerze nienawidziła matki, nie próbowała tego zmienić. A przecież Krystyna niby się stara.

Rozumiała to, nie raz chciała się do niej przytulić. Tak spontanicznie wpaść w ramiona matki i tulić się ją ile sił. Przez długi czas miała takie pragnienie, tylko ta niewidzialna siła ją powstrzymywała i zmuszała Basię do zachowania dystansu. Kiedy jej bezbronne, potrzebujące miłości „ja” krzyczało ze środka: *przytul matkę!*, to wtedy załączał się znacznie silniejszy agresor, który był drugim „ja”. Potrafiła tylko jej bluźnić.

Kamyk w bucie nie pozwalał jej kroczyć dalej. Oparła się ręką o drzewo i jeszcze raz uderzyła w jego pień butem. Ukucnęła i zaczęła rozwiązywać sznurówki. Wytrzepała zawartość obuwia, wypadł mały kamyczek.

Basia usiadła na leśnym runie. Tak bardzo tęskniła za ojcem. Odkąd zmarł, nie potrafiła się odnaleźć. Wszystko wydawało jej się bez sensu, nawet jej życie. Świat widziała w czarnych kolorach. Nauka i zdobywanie wiedzy nie miały dla niej większego znaczenia, nie wyobrażała sobie siebie w pracy. Nawet spożywanie jedzenia

wydawało jej się niedorzecznością. Całymi dniami potrafiła nic nie jeść. Matka nawet nie zauważyła, jak z dnia na dzień traciła na wadze.

Jedynie dźwięki ulubionego emo rapu dawały jej ukojenie. Z jednej strony cieszył ją fakt, że matka się stara, że widać jej utrapienie, że teraz wszystkiego żałuje. Basia czuła satysfakcję, kiedy łzy napływały matce do oczu, a ta próbowała to ukryć, wstydząc się ich. Zdaniem Basi było za późno na żale matki. Tyle razy na nią czekała... Najpierw w przedszkolu, w czasie jasełek. Jej matka jako jedyna nie dotarła. Ojciec dotarł, ale się spóźnił. I kiedy jej rówieśnicy, przed rozpoczęciem przedstawienia, tulili się do swoich rodziców, żeby zapomnieć o tremie, Basia stała sama w kącie. Potem szkoła podstawowa i wycieczka do Torunia. Wszystkie matki jak jeden mąż stały przy odjeżdżającym autokarze i machały swoim pociechom. Basia nie miała komu pomachać. Ojciec nie dostał na ten dzień urlopu, a matka jak zawsze zapomniała o wycieczce. Nie miała nawet przygotowanego na podróż drugiego śniadania. Zjadła na szybko w domu dwie łyżki dżemu, bo matka biegła jak oparzona wykrzykując: *szybko, szybko, bo się spóźnimy*. Potem w aucie Basia poinformowała Krystynę o wycieczce i ta, jak zawsze, zdążyła obarczyć winą najpierw Basię, że nic jej nie powiedziała, a potem żaliła się nad swoim losem, że ma ciężko i za wiele na głowie.

– Dlaczego nic wcześniej mi nie powiedziałaś? Wiesz, że mam sporo pracy, tata mało zarabia. To mnie przyszło pełnić funkcję głównego żywiciela rodziny – tłumaczyła się, jakby była na sali rozpraw.

– Mówiłam, to ty mnie nie słuchałaś. – Basia odwróciła głowę w stronę bocznej szyby. Wpatrywała się w jeden punkt, nic przy tym nie widząc.

– Mam teraz tyle na głowie. Przepraszam, Basiu! – Matka próbowała pogłaskać córkę po policzku. Szybko jednak zabrała rękę, by skupić się na jeździe samochodem.

– Nie mam nic do picia ani do jedzenia. Mamo, dlaczego ty taka jesteś? Dlaczego masz mnie w nosie?

Krystyna nie rozumiała sensu tych słów. Dla niej były infantylne, jak Basia.

– Wiesz co, nie zdążę zatrzymać się już w żadnym sklepie, ale dam ci pieniądze. Coś sobie kupisz, jak dojedziecie na miejsce. Pięć dych może być?

– Może, może. Pewnie będę miała najwięcej pieniędzy w grupie.

Potem rozmowa ucichła. Na parking przed szkołą wjechały w milczeniu. Basia nie dała matce całusa na pożegnanie, wzięła pięć dych i czym prędzej wyszła z auta. Autokar czekał już tylko na nią. Matka nawet nie poczekała, aż Basia wejdzie do autobusu, tylko odjechała z piskiem opon.

Jadąc na jednodniową wycieczkę do Torunia faktycznie miała najwięcej pieniędzy z całej klasy, ale nie miała termosu z ciepłą herbatą ani kanapek z zieloną sałatą i pomidorem.

Wsunęła stopę w ciężkiego buta i postanowiła maszerować dalej. Sama nie wiedziała, gdzie idzie, po prostu szła przed siebie wąską ścieżką. Wiedziała, że się nie zgubi, znała te lasy. Odkrywała je razem z ojcem, każdy zakamarek. Lasy były wielkie, rozległe, ale ona je znała. Planowała autostopem dojechać do mieszkania

w Gnieźnie. Często jeździła stopem, nigdy nie miała problemu ze złapaniem chętnego na podwózkę kierowcy. Czasem okazywali się mili i serdeczni, a czasem milczący i tajemniczy. Najważniejsze, że Basia zawsze docierała do celu i w jedną, i w drugą stronę. Wyjęła telefon i wykręciła numer do Meer.

– Hej, no wreszcie. Gdzie ty się podziewasz?

– Jestem w samym środku lasu, Ostrowo. Stara przyjechała do domu, nie mogłam tam zostać. Zbiera mi się na wymioty, jak ją widzę. Łapię szybko stopa i jadę do Gniezna. Przyjedziesz do mnie?

– Jasne, jak będziesz na miejscu, to daj znak. Mam dziś coś ekstra.

– Nie mogę się doczekać.

– Pa.

– Pa.

Basia włączyła odtwarzać mp4 i wybrała piosenkę Lil Peepa. Zapomniała już o tym, co nie dawało jej spokojnie iść przed siebie. Chciała być blisko taty. On nigdy jej nie zawiódł. Chronił ją przed wszystkim, potrafił wyciągnąć z największych tarapatów. Matka nie miała o niczym pojęcia, nie wiedziała nawet tego, że Basia już od dawna uczęszczała do innej szkoły.

– Jak tu pięknie. Spokój i cisza. Mógłbym tu zamieszkać. – Włodzimierz nie mógł wyjść z podziwu. Stary dom położony w samym sercu lasu, niedaleko jeziora, jego zdaniem miał swoją duszę. Okolica była urocza. – Kurczę, jak tu pięknie – powtórzył.

– Tylko do spożywczego daleko. – Krystyna próbowała ostudzić jego nadmierny podziw. Dokładnie tak, jak kiedyś studziła zapał

i ochotę do pracy w mężu. Szybko ugryzła się w język. – W sumie sklep jest jedyne dwa kilometry stąd. Dla chcącego nic trudnego. Jarek z Basią znikali tu na całe tygodnie i jakoś żyli. W sensie nie umarli z głodu.

Włodzimierz jakby tego nie słyszał. Skupił się na oglądaniu drewnianego domku dla owadów.

– Dobra konstrukcja, solidna, gonty na dachu. Pozalepiane dziurki i szparki, czyli pierwsi lokatorzy już się znaleźli. Autorstwa Jarka?

– Dokładnie. – Krystyna przytaknęła.

– Zaledwie sto metrów do jeziora, woda czysta, plaża pusta. Idealne warunki na odpoczynek. Zazdrozczę ci. – Nie mógł skończyć podziwiać tak czarownego miejsca.

– Jak mi zazdrościsz, to przejmij moje obowiązki nad córką.

– Nie, dziękuję. – Delikatnie się uśmiechnął.

Wszyscy zamilkli.

– Dobra chłopcy, kawa na ławę, w sensie przenośnym i dosłownym w końcu przerwała ciszę prokurator.

– Co tam u Aidy? – zapytał Leon z uśmiechem. – Poznałeś swoją przyszłość? – Miał nadzieję, że szybko doczeka się odpowiedzi. – A może dowiedziałeś się, gdzie znajdują się zwłoki Dominiki?

– Nie wiadomo czy zwłoki...

– To ja zaparzę kawy, a wy tutaj poczekajcie – oznajmiła Krystyna. – Nie chcę, żeby jakieś informacje umknęły mojej uwadze.

– Nie ma sprawy – powiedzieli niemal równocześnie Leon z Włodzimierzem. Krystyna zniknęła za drzwiami, a oni trochę się rozluźnili.

– Klimatycznie tu. Kurczę, wszystko ma tu swój urok: ten stary płot zbity ze zwykłych drągów, drewniane okiennice i nawet te olbrzymie chwasty. Wszystko jest tu specyficzne. I ta wszechobecna cisza, słycać tylko świergot ptaków, bajka.

– Widzisz, nasza Krysią dopiero po śmierci męża doceniła to miejsce. Przedtem nim gardziła.

– Cicho – szepnął Włodzimierz i położył palec na ustach, żeby Leon tak głośno nie mówił. – Ciszej – powtórzył. – Weź jej nie dobijaj, nie kopie się leżącego.

– Spoko. Wiesz co, dostałem olśnienia. Po całej tej patowej sprawie namówimy Krysię, abyśmy mogli zorganizować u niej ognisko. Wielkie ognisko z tłustymi kiełbachami na patyku. Miejsca jest dość. W dodatku moglibyśmy bardziej się zintegrować.

– Ja jestem dosyć zintegrowany, ale piwko bym wypił i zagryzłbym kiełbaską.

W tym momencie Krystyna wyszła na zewnątrz, niosąc trzy kubki z kawą.

– Już mnie obgadujecie? Mężczyźni to gorsze pierdusy niż kobiety.

– My tylko w dobrej wierze. Planujemy tutaj małą imprezkę: ognisko, kiełbasy.

– To dobry pomysł. Za lasem mieszka Zenon Fatyga, ma konie i bryczkę. Mógłby nas powozić po okolicy. A z tyłu, za domem, Jarek zbudował specjalne palenisko. Głęboki dół wybrukowany polnymi kamieniami i zacementowany. Idealne miejsce na ognisko, podejrzewam, że obędzie się bez zgody leśniczego.

– Wolę mieć tę zgodę. Nie wyobrażam sobie po spożytych

procentach gasić ognia, a potem jeszcze płacić mandat.

– Pożyjemy, zobaczymy. – Leon zrobił łyka kawy. – A wracając do tematu, drugi raz powtórzę pytanie za sto punktów: poznałeś swoją przyszłość?

– Jasne, jestem po rozwodzie i wkrótce poznam rozwódkę z dwójką dzieci, moja była żona o tym się dowie i będzie chciała do mnie wrócić.

– Ciekawe, ciekawe.

Wszyscy zaczęli się śmiać.

– No, mam tylko jedno dziecko i jestem wdową – krzyknęła euforycznie na co dzień poważna prokurator, chcąc zażartować.

– Nie dowiedziałem się natomiast, gdzie jest Dominika Patyczak. Musimy ją odszukać sami, bez pomocy sił nadprzyrodzonych – poinformował już całkiem poważnie Witold.

– A ja myślałem, że ty już wiesz. – Rozczarowany Leon rozłożył ręce.

– Wiem jedno. Podobno miała tatuaż na kostce *Miki*, czy jakoś tak. Sekta, do której należała, to... – Włodzimierz szukał słów. – W sensie grozili Domi. Domi i Wandzie.

– To ten Franek, o którym wspominała Teresa Rosenberg. Mówiłem wam. Trzeba szukać we Wrześni. – Leon spojrzał na Krystynę i zaraz dodał – Wiem, jutro do niego zadzwonię, obiecuję.

Kiwnęła głową.

– Z tego, co zeznała Teresa Rosenberg, Franek nosi zarost i długie, czarne włosy. Był przywódcą wrześnińskich satanistów, ale ugrupowanie się rozdrobniło. Członkowie dojrzeli, pozakładali

rodziny. Franek „Miki”, to inaczej Franciszek Mikito. Jutro z samego rana go odwiedzę.

– Członkowie tej grupy byli niebezpieczni? – Leon dopytywał.

– Dokładnie. Wanda Wasilewska, inaczej Aida, zeznała, że się ich boi, dlatego musiała się wyprowadzić. Ale mam jeszcze coś. Z tego, co powiedziała mi Wanda, ojciec Domi był seksoholikiem. Pewnie dlatego Domi lubi ten sport.

– Ma temperament i geny, nic nie poradzisz. – Krystyna wpatrywała się w jeden punkt na zachwaszczonym trawniku. Dla niej seks mógłby nie istnieć.

– Myślisz, że ta kobieta nie ma nic wspólnego z zaginięciem Dominiki?

– Myślę, że nie. To nie ona, sama się o siebie bała, jej też grożono. Mogła grać wystraszoną, ale nie... To nie ona! Podobno ktoś od roku wysyłał im, jej i Domi, liściki z pogrózkami. Nie poszły na policję, ale czuły się zagrożone. Aida twierdzi, że to sataniści z Wrześni.

– To ci dopiero, jedno wyklucza drugie. – Leon spojrział na Krystynę, oboje nic nie rozumieli. – Co w takim razie robiła pod kawiarenką Majewska?

– Jutro się dowiemy.

– Znowu Majewska. Czego się dowiedzieliście? – wypytywał Widziu, sam był ciekawy, jak to wszystko się połączy.

– Ślęczeliśmy z Leonem nad monitoringiem, poczynawszy od dwudziestego pierwszego czerwca, skończyliśmy na dwudziestym piątym. Jeszcze zostały nam do przejrzania trzy dni i...

– I...?

– I mam już dość seansu. Wciąż to samo, ci sami goście, generalnie nuda, ale... mamy też hit.

– Dawaj.

– Taaa... – Leon przeciągnął teatralnie. – Majewska jest jedną wielką zagadką, licząc od dwudziestego pierwszego czerwca, może i wcześniej, prawie codziennie przychodziła pod kawiarenkę. Chowwała się za słupem miejskiej latarni i obserwowała Dominikę. Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że codziennie miała inną perukę i inny kapelusz.

– Gdyby zarzuciła na nos okulary przeciwsłoneczne, byłaby nie do rozpoznania. Kiedy byłam u nich w rezydencji, jej mąż powiedział mi w tajemnicy, że jego żona od niedawna cierpi na łysienie plackowate. To tłumaczyłoby peruki, ale ciekawe, dlaczego zachorowała?

– Stres – wtrącił Widziu. – Dowiedziała się, że jej mąż ją zdradza, i z nerwów rwała sobie włosy albo te same wypadły.

– Dokładnie do takich samych wniosków doszliśmy z Leonem.

– Obserwowała Domi? Planowała jej zabójstwo?

– Mogło być tak, że to ona wysyłała Domi esemesy. Jutro zarekwirujemy jej telefon.

– No to faktycznie mamy dylemat: sataniści czy Majewscy? A może razem?

– A ten DJ, Henryk? – Włodzimierz spojrzał na Leona.

– On faktycznie jest śmieciarzem. Wstyd. Jak można doprowadzić się do takiego stanu? W dodatku kobiety za nim szaleją i nadal chcą uprawiać z nim seks. Szok. Kobiet nie zrozumiesz. Widziu, ciesz się, że jesteś sam!

– Byli parą? – podpytywał Włodzimierz, udając, że nie słyszy. Nie szukał kobiety, ale samotność coraz bardziej mu dokuczała. Wizyta u Aidy wprowadziła jeszcze większy niepokój. Sam był ciekawy, czy pozna jakąś kobietę.

– Ta, ale jego też potrafiła obrazić. *Meglio che togli la giacca. Sembri molto no clown.* To znaczy: *zdejmij tę marynarkę, wyglądasz jak klaun.* Sam miałem ochotę mu to powiedzieć.

– To po włosku?

– Tak.

– Skąd wiesz, że tak do niego mówiła?

– Bo mi powiedział. Jest w chuj szczery! On nie zrobił jej krzywdy. To stary zdziwaczka kawaler. Przepraszam. – Leon spojrzał na Włodzimierza.

– To co, Majewska i sataniści? – dopytywał Włodzimierz, uszczęśliwiony, że są coraz bliżej.

– Jeszcze pozostała nam Kamila Stos. Dziwnie zapadła się pod ziemię. – Krystyna bezradnie odstawiła pustą szklankę. – Chyba, że zrobił to płatny morderca?

– Raczej sadysta, psychopata! – wtrącił się Leon. – Morderca zabija, i po krzyku. To nie było w afekcie. Majewska nie pasuje mi trochę do tej układanki. Chociaż jej obecność w kawiarence była co najmniej dziwna.

– I pamiętajmy, że to matka czwórki dzieci.

– A ten drugi Majewski, Waldek? Co z nim?

– Ma alibi. Był w tym czasie z żoną w SPA. W Poznaniu, na Dąbrowskiego. Pokazał mi bilecik wstępu na masaż. Bilecik był imienny. On i jego żona odpadają.

Widziu pokiwał głową.

– Trzeba odszukać Kamilę Stos. Co o niej wiemy? – dodał, spoglądając na Krystynę.

– Na tydzień przed tragedią była w szpitalu, miała usuwany pieprzyk z szyi. Obecnie zapadła się pod ziemię. Ale mam też dobre wieści. – Krystyna wykrzyknęła z euforią. – Wiem, gdzie wynajmuje mieszkanie. Wyszyńskiego pięć mieszkania dwa.

– Usuwanie pieprzyka? To też jest megadziwne. Dlatego nie chodziła do pracy, a tydzień po zabiegu wzięła sobie wolne? To nie operacja, to zwykły zabieg!

– Leon, tak samo pomyślałam. – Krystyna przytaknęła. Jej też wydawało się to dziwne. Ona po urodzeniu Basi, zaraz na trzeci dzień, pojechała do biura, żeby zajrzeć do dokumentów.

– Ewelina zeznała, że Kamila miała z Dominiką na pieńku. Nie wiadomo dlaczego. To był typ egocentryka. Wszystko w sobie dusiła, nie okazywała emocji, ale jednocześnie zachowywała się podejrzanie.

– Może w końcu pękła i uszkodziła Domi?

– Może!

– Ciało, ciało. Gdyby udało nam się odszukać ciało. Ryszard! Leon, jutro z rana dzwonicz do Ryszarda i jedziesz do Franka. Ja biorę Majewską, a Widziu odwiedzi Kamilę Stos. Wszystko ogarniamy jutro – zakomenderowała Krystyna. Mężczyźni spojrzeli na siebie porozumiewawczo na znak, że wszystko zrozumieli.

– Miło tu, ale komary tną jak ostre noże. – Włodzimierz zmienił temat. Nie uśmiechało mu się jutro odwiedzać Kamili. Był umówiony w Poznaniu na wróżenie do prawdziwej wróżki. Numer znalazł

w internecie. Trochę się wkręcił w to wszystko i na serio chciał poznać swoją przyszłość. – Jutro nie mogę – wydusił. – Jestem umówiony. Pojutrze nadrobię wszystkie zaległości. Teraz idziemy do domu. Zostały nam jeszcze do przejścia trzy dni nagrań z monitoringu, chociaż jeden dziś obejrzymy i znowu do przodu – szybko zaznaczył, aby nie dostać od Krysi reprimendy.

– Jak na czwarty dzień śledztwa i tak dużo wiemy – stwierdził Leon.

– Nic nie wiemy! Leon, ogarnij się, nic się nie lepi – Krystyna fuknęła na kolegę.

– Śpiochy niewytrwale. – Leon spojrzał na smacznie śpiącą Krystynę i na Widzia, który zasnął na rozkładanym fotelu. Bez przykrycia. Wstał z krzesła, wyjął z szafy, którą wskazała im wczoraj Krystyna, dwa koce i okrył kolegów.

Wytrwale, choć w samotności, przez całą noc śledził nagranie monitoringu. Został mu jeszcze jeden dzień. Kluczowy, dwudziesty ósmy czerwca. Krystyna zasnęła w połowie dwudziestego siódmego, a Widziu nie doczekał końca dwudziestego szóstego. Najprawdopodobniej wizyta u wróżki go wyczerpała. Leon niechętnie zgodził się na przyspieszone tempo obrazu. Koledzy napierali, nie chcieli oglądać wszystkiego, minuta po minucie. Czasem spowalniaли przebieg dnia w kawiarence, robili zbliżenie, żeby lepiej się przyjrzeć podejrzanym gościom kawiarenki, a czasem, kiedy nie było akcji, przyspieszali, żeby wyrobić się do rana. I tylko Leon dał radę. Kolejna nieprzespana noc, cztery energetyki, siedem kaw. Już sobie wyobrażał, jaki Jadzia dałaby mu wykład.

Przypatrywał się z uwagą każdej dziwnej scenie w dniu, w którym zaginęła Domi, bo przecież diabeł tkwi w szczegółach. W ten dzień w kawiarence było sporo ludzi, dużo więcej niż w poprzednich dniach, jakby wszyscy klienci się zmówili, żeby zrobić sztuczny tłok. *Udało im się* – pomyślał.

Był wytrwały i rzetelny, nie potrafiłby iść spać w trakcie takiej misji, a nuż coś by przeoczył. Skończył dopiero w momencie, kiedy na nagraniu zobaczył samego siebie. Jak trzęsącą się ręką trzyma kurczowo przy uchu telefon i dzwoni po posiłki. Zobaczył zapłakaną Ewelinę i to, jak próbuje reanimować leżącą na bruku Marzenę, z którą cały czas nie było kontaktu, a która może zdołałaby udzielić im jakichś informacji. Potem zobaczył, jak pomaga Ewelinie w reanimacji Marzeny. Pierwsze przyjechało pogotowie. Następnie policja i zaraz za nimi Krysia. Na tym nagranie się skończyło.

– I dupa – powiedział do siebie, po czym poszedł pod prysznic. Na zewnątrz zrobiło się widno. Postanowił, że nie pójdzie spać. Zaraz po kąpieli planował pojechać do Gulczewa. Chciał zaskoczyć Franka Mikito z samego rana niczym CBŚ.

Przejeżdżając Pt Cruiserem przez gęsty las, obserwował okolicę. Niespodziewanie zobaczył dwie postacie ubrane na czarno. Dzielił go od nich niewielki zakręt. Pora była wczesna, w dodatku było to odludzie. Leon był zaskoczony. Oprócz Krysi i pana Zenona, zazwyczaj pędzącego przez las galopem na swojej srokatej Nutce, nikogo o tej godzinie nie powinno tutaj być. Sezon grzybowy zaczynał się od września, w dodatku w takie suche lato, a spiker w telewizji zapowiedział tak samo suchą jesień, sezon grzybowy mógł w ogóle się nie zacząć. Postacie próbowały schować się za

drzewem. Leon na moment zwolnił. Ujrzał Basię z koleżanką, której twarz była zasłonięta włosami.

– To jest zapewne ta słynna Meer – powiedział sam do siebie. Basia kiedy zobaczyła, że to on, pokazała mu środkowy palec. Miał ochotę zatrzymać samochód, wysiąść i przełożyć ją przez kolano. Poczł się urażony zachowaniem niesfornej smarkuli. Koleżanka Basi odwróciła głowę w drugą stronę, machnęła energicznie włosami i tym samym odkryła kawałek twarzy. Leon był pewien, że gdzieś już ją widział. Nie wiedział, gdzie, ale jej uroda klnie była mu obca.

– Niech je licho niesie – powiedział głośno, tłukąc dalej swojego starego Pt Cruisera po leśnych dziurach.

W gruncie rzeczy się dziwił, dlaczego Krystyna wczoraj wieczoru nie zadzwoniła do Basi, nie zapytała się jej czy wszystko w porządku i czy szczęśliwie dojechała do domu. Owszem, mogła być zła na córkę, ale to jednak jej dziecko. Mogła chociaż napisać esemesa, nie zrobiła tego. Uważała, że Basia jest dorosła, ale po Basi zachowaniu było widać, że wciąż potrzebuje opieki i troski. Krystyna była na to ślepa i to był jej problem. Zastanawiał się czy aroganckie zachowanie Basi, to faktycznie nie jest wina Krysi. W życiu nie odważyłby się jej tego powiedzieć, to by ją zabiło. Co innego pomyśleć.

Przypomniał sobie swoją matkę. Regina była czuła i troskliwa, dokładnie taka jak jego żona, Jadzia. Miał dwadzieścia lat, a jego mama ciągle zostawiała mu przyczepioną magnesem na lodówce kartkę: *Śniadanie masz w lodówce, zupę na palniku, wystarczy odgrzać. Drobne na łakocie w puszcze po kawie.* Codziennie miała mu coś do przekazania i codziennie zostawiała mu liściki, mimo że

bardzo dużo ze sobą rozmawiali. Był pełnoletni, ale Regina do końca swojego życia traktowała go jak małego chłopca.

Szefowa zadziwiła go wczorajszą obojętnością wobec Basi. Dziewczyna szła osamotniona przez ciemny, gęsty, momentami wydawało się, że niekończący się las. Przecież Krystyna mogła odpalić auto i podjechać po nią. Wciągnąć do samochodu, wstrząsnąć nią. Dać klapsa, przytulić albo najzwyczajniej porozmawiać. Nic nie zrobiła, stwierdzając, że Basi nic nie będzie. *Bądź tu mądry i pisz wiersze* – pomyślał.

– Kierunek Witkowo, Gniezno, Gulczewo, dajesz – powiedział bardziej do samochodu niż do siebie.

W Gulczewie, przy samej głównej trasie, przywitał go rząd ekskluzywnych domków jednorodzinnych. To właśnie w jednym z nich, pod szóstką, mieszkał Franciszek Mikito. Leon przyjechał tutaj po to, by poznać go bliżej, wyczuć, a przede wszystkim wypytać go o Dominikę. *Numer adekwatny do lokatora* – pomyślał.

Stanął przed drzwiami i zapukał. Ku jego zdziwieniu drzwi otworzył mu przystojny, krótko obcięty mężczyzna, pachniał dobrą wodą kolońską. Leon w pierwszym momencie pomyślał, że pomylił adresy.

– Witam serdecznie. Starszy aspirant Leon Krajewski.

– Witam, Franciszek Mikito – usłyszał, nie zdążywszy zapytać go o jego godność.

– Ja w sprawie Dominiki Patyczak. Widzę, że zmienił pan fryzurę.

– Leon nie chciał być miły. Całą noc nie zmrużył oka, śledząc zapiski z monitoringu, potem Basia wraz z intrygująco znaną mu dziewczyną

pokazała mu środkowy palec, a na końcu jego bordowy pituś zaczął fiksować wskutek leśnego toru przeszkód.

– Słucham. To znaczy zapraszam do środka. – Franek miał idealnie skrojony garnitur i wypastowane, skórzane buty. – Spieszę się do biura, ale z chęcią poświęcę panu czas.

– Do biura powiada pan. – Leon rozsiadł się w fotelu. – A gdzie pan pracuje?

– Mam swoją agencję ubezpieczeniową.

– To pięknie. Już nie zabija pan kotów?

– Skąd to pytanie? Nigdy nie zabijałem kotów. Może pan wyrażać się jaśniej?

– Jaśniej?

– Kawy? – przerwał mu Franek.

– Nie, dziękuję. Kiedy ostatni raz widział pan Dominikę Patyczak?

– O to chodzi.

– O co?

– O Domi, słyszałem.

– Kiedy ostatni raz pan ją widział?

– Z pół roku temu – odpowiedział dość obojętnie.

– Jest pan pewien, że nie w ostatnim tygodniu?

– Jestem pewien. Wiem co mówię.

– Yhm. Dlaczego zmienił pan fryzurę?

– A co to ma do rzeczy?

– Tak pytam. Może pan odpowiedzieć?

– Powiedzmy, że czas było dorosnąć i zmądrzeć.

– Czyli, jak ostatni raz spotkał pan Dominikę, to miał pan długie

włosy. Odprawialiście czarną mszę?

– Bzdura, jakie tam czarne msze, to tylko zabawa. Coś trzeba było robić.

– W jakich okolicznościach się spotkaliście? Zaprosiła pana, pan ją...

– Przypadkiem.

– Sąsiadka Dominiki, Teresa Rosenberg twierdziła, że był pan u Domi, nachodził ją.

– Skądże. Nie nachodziłem jej. No może na początku, kiedy się wyprowadziła z Wrześni, ale potem poznałem Laurę i dałem sobie z nią spokój.

– Wanda Wasilewska, sąsiadka Dominiki zeznała, że wysyłał im pan liściki z groźbami.

– Po pierwsze nie znam żadnej Wandy, a po drugie, nic o tym nie wiem.

– Nie wie pan? Nie zna pan Wandy Wasilewskiej? – Leon patrzył Frankowi prosto w oczy, próbował coś z nich wyczytać. Bezskutecznie. W dodatku Franek miał opanowane ruchy, nie był zdenerwowany. Niezbyt dobry znak dla Leona.

– Nie znam.

– Powiada pan, że poznał pan Laurę. Czyli znalazł pan swoją drugą połówkę. Ile czasu trwa wasz związek?

– Rok!

– Rok?

– Tak, dwanaście miesięcy, w przyszłym roku bierzemy ślub. Razem pracujemy, to nasza firma. Wspólnie ja zakładaliśmy.

– Czyli pół roku temu był pan u Dominiki, tak? Ale od roku

spotyka się pan z Laurą. Jaki to ma sens?

– Tylko u niej byłem, nic poza tym!

– Po co?

– Ponieważ dzwoniła do mnie roztrzęsiona, ktoś wysyłał do niej listy z pogrózkami. Myślała, że to ja. Dzwoniła do mnie z płaczem i z wyzwiskami. Ja nie pisałem do niej żadnych listów. A tym bardziej esemesów. Przyjechałem do niej, ponieważ mnie o to prosiła. Chciałem udowodnić jej, że to nie ja. Pogadać z nią, pocieszyć. Gdzieś tam głęboko jeszcze ją kochałem.

– I co wtedy?

– Wtedy ona mi uwierzyła, albo i nie. Nie chciałem jej się tłumaczyć z czegoś, czego nie zrobiłem. Powiedziałem raz i wyszedłem.

– Wyszedł pan?

– Tak. I to w ten dzień swoje kroki skierowałem do najbliższego fryzjera. Właśnie wtedy zrozumiałem, że czas na zmiany. Toksyczne życie nie jest dla mnie. Tyle.

– Tyle? I będąc u Dominiki, w Gnieźnie, pan to zrozumiał?

– Tak, może Domi mnie zainspirowała, fajnie wyglądała, ładnie pachniała. Wtedy poczułem, że czas na zmiany.

– Może wyglądała tak dobrze, że postanowił pan się jej pozbyć. Może stwierdził pan, że lepiej jak zniknie niż ma żyć szczęśliwie bez pana.

– Zrobiłbym to pół roku temu.

– Taaa... – Leon notował. – Kto mógł pisać do niej te listy?

– Nie wiem. Domi była kontrowersyjna, każdy mógł to robić. Może kochanek, miała ich sporo, ale to nie ja.

– Był pan zazdrosny?

– Nie, to przeszłość.

– Skąd pan wie, że nie żyje?

– Nie wiem, czy nie żyje, ale wiem, że znaleźliście jej język. Jest o tym głośno w całym powiecie, w Polsce, a może i na świecie.

– Wie pan, kto mógł to zrobić?

– Nie wiem.

– Proszę sobie coś przypomnieć, pomóc nam.

Franek chwilę się zamyślił.

– Wie pan, to mógł być każdy. Naprawdę każdy. Ja panu nie pomogę i tak dużo czasu już straciłem. To nie ja.

– Długo byliście razem?

– Niezbyt.

– Domi jednak zdążyła wytatuować sobie pana godność na kostce.

– Stare dzieje, a ja muszę już lecieć.

Franek wstał i tym samym zmusił, by wstał też policjant. Ramię w ramię szli do wejściowych drzwi.

– Ja tu wrócę, być może nie sam.

– Zapraszam. Będę czekał. Proszę wrócić z jakimś świstkiem, nakazem, inaczej nie zgodzę się na rozmowę.

Leonowi buzowała krew, poczuł złość, czego nie można było powiedzieć o wyluzowanym Franciszku, którego uśmiech zdobił szereg białych zębów.

– Aż niemożliwe, że był pan kiedyś satanistą.

– To tylko głupia ideologia, każdy błądzi i czegoś szuka. Taka jest młodość. Pamięta ją pan?

– Pamiętam, pamiętam, jak to grało. – Przypomniały mu się słowa DJ-a. – To co, teraz w niedzielę do kościółka, tak?

– Dokładnie tak. Z Laurą bierzemy ślub kościelny. Wszystko w życiu się zmienia.

– Moje błogosławieństwo – powiedział cicho.

Byli już na zewnątrz.

Oboje wsiedli do swoich samochodów.

– Wszystko w życiu się zmienia – powtórzył w aucie. Poczł się tak, jakby przed momentem rozmawiał z nieudolnym politykiem.

Obudziła się około dziewiętej i z przykrością stwierdziła, że w domku na wsi została sama. Leona i Włodzimierza nie było, a ją jak na złość wybudził kolejny zły sen. Zły, bo przypominał jej, jaką jest okropną matką. Jak beznadziejną była żoną.

Śniły jej się dwunaste urodziny Basi. Wszystko dokładnie tak, jakby historia ją goniła i nie dawała o sobie zapomnieć.

Jarek zorganizował je w restauracji Tuleja i zaprosił całą rodzinę oraz wszystkich znajomych. Krysia tego dnia była w pracy, której było w brud, i jak zawsze się spóźniła.

Do restauracji wbiegła zdyszana, z jęzorem wywalonym do samego pasa. Nie zdążyła odśpiewać Basi „sto lat”. Weszła w momencie, gdy jej dwunastoletnia córka trzymała w dłoni ogromny, błyszczący nóż i próbowała pokroić nim tort. Małej trzęsły się ręce. Była blada. Gdy Krystyna to zobaczyła, zrobiła Jarkowi karczemną awanturę. Potem na wszystkich zebranych gości krzyczała w niebo głosy, nie mogła zrozumieć, że dorośli ludzie pozwolili Basi trzymać w ręce tak ogromny nóż. Ktoś powinien ją

wyręczyć, pomóc. Długo żałowała impulsu, zepsuła całą imprezę. Zapłakana i wystraszona córka nie odezwała się do niej do końca dnia. To nie nóż ją wystraszył, tylko własna matka. Nawet nie odpakowała prezentu. *Byłam beznadziejna – pomyślała. – Zrobiłam im awanturę, bo byłam zła sama na siebie, że się spóźniłam, tyle razy ich zawodziłam. Bo pilna sprawa, bo praca, bo Leon mnie potrzebował.*

Zrobiło jej się zimno. Grube ścianki domu nie pozwoliły wtargnąć do środka porannym promieniom słońca. Wzięła prysznic, ubrała się w kwiecistą sukienkę i wyszła z domu.

Wybrukowanymi schodami wchodziła na posterunek, cały czas biła się z myślami, czy dobrze robi, angażując Ryszarda w śledztwo. Zastanawiała się, czy Leon zgodnie z obietnicą do niego zadzwonił. Chociaż ona powinna to zrobić, tak wypadało. Pełniła funkcję prokuratora. Taka z niej prokurator, że boi się zderzenia z przeszłością. Znowu to robiła, znowu się biczowała i katowała krytyką, której nie było końca. Niby już wszystko zrozumiała. Czasem bywało dobrze, ale złe wspomnienia wracały. Dwa miesiące wcześniej odpuściła sobie tę wyimaginowaną, urojoną miłość. Już nie myślała o Ryszardzie tak intensywnie. Ale bała się z nim spotkać. Nadal nie był jej obojętny. Bała się, że gdy go zobaczy, to wszystko do niej wróci. A ona znowu obudzi się ze złamanym sercem i z ręką w nocniku. Dołoży sobie niepotrzebnych problemów. Chciała naprawić relację z córką, to był jej priorytet. Na tym chciała skupić resztki swoich sił.

Cały czas się wstydziła tego, że przed dziewięcioma latami wysłała Ryszardowi tę wiadomość. Uchodziła za osobę

zrównoważoną, która wie, co robi. *Cóż, wyjątek potwierdza regułę.* Weszła prędko, omijając co drugi stopień, ale ze spuszczoną głową. W dłoni trzymała teczkę z dokumentami i płytami z rejestratora miejskiego monitoringu.

Rozpamiętywała Ryszarda i swój sen. Przeszłość, Jarka. W dodatku niebieskooki nieznajomy znowu za nią jechał do samego Gniezna, jakby ją śledził. To też wydawało jej się dziwne. Do tego kolejny raz zapomniała podjechać do Zenona po jajka. Od czterech dni do niej wydzwaniał, bądź wypisywał esemesy. Tyle razy prosiła go o dwa mendle świeżych jaj, a nie potrafiła ich odebrać.

Krystyna machała bezradnie głową. Nagle potknęła się, ateczka z ważnymi dokumentami wyleciała jej z rąk. Wysoki mężczyzna chwycił ją w ramiona.

– Nic się pani nie stało? – zapytał zatroskany.

– Nie, przepraszam. To moja wina. Zamyśliłam się. – Spojrzała na twarz mężczyzny i serce przestało jej bić, tylko na moment. Bo po chwili rozpedziło się jak pociąg ekspresowy i Krystynie wydawało się, że za moment wyskoczy jej z klatki piersiowej. – Ryszard!!! Co ty tutaj robisz?

– Cześć. Właśnie ja... – zaczął się jąkać – ...ja do ciebie. Ślicznie wyglądasz. – powiedział dokładnie to samo, co zwykł mówić, kiedy nie wiedział co powiedzieć.

– Do mnie, ale ja... Leon... – Krystyna w pierwszej chwili chciała go przeprosić za to, co zrobiła dziewięć lat wcześniej, ale na szczęście w porę się opamiętała. – O co chodzi? Dlaczego? Leon do ciebie zadzwonił? Dobrze, w końcu obiecał.

– Nie rozumiem. Nikt do mnie nie dzwonił. Sam przyjechałem. To

mój wybór. Musiałem... – Znowu zaczął się jąkać. – Musiałem, ponieważ...

– Ponieważ? – Poczwała od niego woń alkoholu. Starła się uwolnić z jego silnego uścisku.

– Dominika. – W Ryszarda oczach pojawiły się łzy. Jedna zdążyła uciec i umyć jego śniady policzek.

– Dominika Patyczak? Już wiesz, że potrzebujemy pomocy?

– Tak, to znaczy nie! Dominika Patyczak to moja córka. Chodź do pokoju, wszystko ci opowiem.

– Twoja córka?! Ryszard, przecież wy macie inne nazwiska? Jak to?

– Dominika nosi nazwisko po matce, wyrzekła się mnie. Wszystko ci opowiem – powtórzył.

– Dlaczego więc tak późno przyjechałeś?

– Proszę cię, ciszej. Ja jestem w niebezpieczeństwie, chodź do pokoju, błagam. – Przetarł łzy.

– Jasne.

Na końcu korytarzu wyłoniła się sylwetka potężnego mężczyzny, który był coraz bliżej. To był Leon. Stał i bez większych emocji przyglądał się kompanowi Sadowskiej. Brak emocji i kamienna twarz Leona świadczyły o tym, że kotłują się w nim emocje. Policjant zsunął na nos okulary. Cały czas lustrował wzrokiem wysokiego, szpakowatego mężczyznę z niechlujnym zarostem i zbyt długim wąsem, który szedł ramię w ramię z Krystyną. Leon był więcej jak pewny, że widział go na nagraniu monitoringu. Przyglądał się dokładnie temu nagraniu, jeszcze dzisiejszej nocy, kiedy śledził w samotności zapiski z dwudziestego ósmego czerwca. Ten facet,

zdaniem Leona, był tamtego dnia gościem kawiarni. Nie witając się z Krystyną, zachowując tajemniczy dystans, poinformował ją, że przyjdzie do niej później. Zapewnił, że ma ważną informację odnośnie Mikito i kogoś jeszcze. Mówiąc „kogoś jeszcze”, miał na myśli tajemniczego mężczyznę z siwym wąsem z nagrania, który panoszył się po jego posterunku. Nie miał bladego pojęcia, że ów mężczyzna to Ryszard, przez którego Krystyna zmarnowała sobie połowę życia. Nie tylko swojego.

– Ja też mam ci coś do powiedzenia. Do zobaczyska.

Była tak zdenerwowana, że nie przedstawiła Leonowi swojego towarzysza, nie miała siły. Grały w niej niechciane emocje. Miała wrażenie, że za moment eksploduje. Weszła do pokoju, zapraszając gestem ręki Ryszarda. Ruchy wykonywała automatycznie. Leon jeszcze raz spojrzął na mężczyznę. Ryszard poczuł dziwne dreszcze. Nie polubił stojącego w bezruchu policjanta, ze spuszczonej na czubek nosa okularami. I wiedział, że tak szybko nie polubi.

Usiedli naprzeciw siebie. Krystyna nalała sobie czubatą szklanę wody i jednym duszkiem wlała ją do gardła.

– Chcesz?

– Nie, dziękuję. – Patrzył na nią z pożądaniem. Tyle chciał jej powiedzieć i wytłumaczyć.

– Wiesz, gdzie może znajdować się twoja córka? Masz jakieś informacje? Kto to zrobił? Masz jakieś swoje przypuszczenia, jak daleko jesteś w śledztwie?

– Nie ma żadnego śledztwa.

– Nie rozumiem.

– Posłuchaj! – Zamilknął na moment, jakby zastanawiał się, co powiedzieć. – Posłuchaj – powtórzył po krótkiej chwili. – Jestem wdowcem. Po śmierci mojej żony Domi odeszła. To znaczy wyprowadziła się z rodzinnego domu i z miasta. Nie chciała mieć ze mną kontaktu i nigdy nie próbowała go ze mną nawiązać. Nie posługiwała się moim nazwiskiem.

– Dlaczego?

– Nie będę owijał w bawełnę, powiem ci prawdę. Zdradzałem Jolę, ciągle i notorycznie! Jestem wstrętnym seksoholikiem. Nic za to nie mogę, taki się urodziłem. Leczyłem się. Twój ojciec chciał mi pomóc.

– Mój ojciec? O czym ty mówisz? – Krystyna nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę.

– Tak, twój ojciec o wszystkim wiedział, dlatego zmusił mnie, żebym od ciebie odszedł.

Krystyna usiadła na krześle. Miała wrażenie, że wszyscy ją oszukali, schwyciła się za pierś i modliła, żeby nie zeszła na zawał tak jak Jarek.

– To jest ode mnie silniejsze – kontynuował Ryszard. – Żadna terapia mi nie pomogła. Twój ojciec kochał cię ponad życie. Wiedział, że jak się ze mną zwiążesz, to nie będziesz szczęśliwa.

Wydawało się, że szczęka opadnie jej do pasa. Starła się nie okazywać zdziwienia.

– Czyli zostawiłeś mnie z troski?

– Z troski i z miłości. Twój ojciec uznał, że tak będzie lepiej. – Ryszard chciał urwać ten temat, nie chciał wygadać się przed Krysią, że wziął w zamian za to od Hieronima pieniądze. W dodatku

Krystyna cały czas mu się podobała, jej kwiecista sukienka współpracowała z jej feromonami, które atakowały go z podwojoną siłą. Jego przyrodzenie zaczęło wariować.

– Nie wierzę, że to się dzieje, mam nadzieję, że śnię.

– Nie śniesz. Krystyna, co z Domi? Co wiecie i co byście chcieli wiedzieć?

– Za wiele nie wiemy. To znaczy mamy kilku wytypowanych podejrzanych w sprawie, ale w tym śledztwie nic nie jest spójne i jednoznaczne. Próbowalesz jej szukać?

– Dowiedziałem się wczoraj wieczorem, kiedy włączyłem telewizor. Kiedy usłyszałem w wiadomościach... – Zaczął płakać. – Nie mogłem uwierzyć, że spiker mówi o mojej córeczce.

– Podejrzewasz kogoś?

– Za wiele o niej nie wiedziałem, bo byłem kiepskim ojcem i mężem. Od lat się z nią nie kontaktowałem. Nie pamiętam jak wygląda. Krystyna, pomóżcie.

Pomyślała, że nadal wiele ich łączy, ona też była kiepską żoną i kiepską matką. Kiedyś łączyła ich tylko wzajemna miłość i upodobanie do drogich gadżetów, ubrań. Wspominała, jaką byli piękną parą. Jak z żurnala. Obydwoje modnie ubrani, zadbani, młodzi i szczęśliwi, z obiecującą przyszłością.

– Nie próbowalesz jej odszukać i pogadać?

– Bałem się jej. Tego, że nie będzie chciała. Jestem u kresu wyczerpania. Nie wiem, od czego zacząć. Nic nie wiem i dlatego przyjechałem do ciebie, prosząc o pomoc.

– A ja myślałam, że ty nam pomożesz. Przypuszczasz chociaż, kto mógł to zrobić? Dlaczego, po co? – zadała Ryszardowi

tendencyjne pytania. Nie potrafiła inaczej. Chciała zachować dystans, choć miała ochotę wstać i go przytulić. Nie dlatego, że cały czas go kochała. Dlatego, że było jej go żal.

– Nie, ale wiem, że wielokrotnie była narażona na niebezpieczeństwo. Boję się, że... Krysiu, to bardzo skomplikowane, to sprawa złożona.

– Ryszard, mów wszystko, co wiesz. Spróbuję ci pomóc, ale musisz mi powiedzieć.

– Nie wiem od czego zacząć, ale wiesz jak to jest... Lubię szpanować, chciałem najpiękniejszy dom i najpiękniejszy samochód. Kredyt popychałem kredytem. Kiedy bank odmówił mi następnego, wtedy skorzystałem z pożyczki na warunkach lichwiarskich. Odsetki mnie przerosły, zjadały po kawałku. Cały czas mam długi, a wierzyciele nie dają mi spokoju.

– Czyli krzywdę twojej córce mogła zrobić mafia, tak? Twoi wierzyciele?

– Tak myślę, ale nie jestem pewien. Zresztą niczego im nie udowodnimy, oni są bystrzy i mają swoich Murzynów.

– Kto to jest? – Krystynie z nerwów zaschło w ustach, uniosła szklaneczkę z wodą i lekko umoczyła wargi.

– Są z Gniezna, nazywają się Majewscy.

W tym momencie całe biurko i zebrane na nim dokumenty opluła wodą ze szklanki.

– Majewscy?!

– Tak.

– Są na liście podejrzanych, dziś na przesłuchanie ma przyjść żona Majewskiego, Magda. Wiedziałam... Czułam to!

– Magda powiadasz.

– Tak. Znacie się?

Ryszard spojrział w sufit i obiema rękoma chwycił się za tył głowy, jakby chciał ją uratować przed... sam nie wiedział czym, może oderwaniem się od szyi i upadkiem na podłogę.

– Kurwa, to jakiś koszmar.

Krystyna z kolei obniżyła głowę. Skupiła wzrok na jego złotym, dość okazałym łańcuchu wykonanym z szerokich oczek. Zdobiał jego do połowy odkryty tors. Koszula była częściowo odpięta.

– Magda Majewska, żona Przemysława Majewskiego, matka czwórki dzieci. Domi wynajmowała mieszkanie w kamienicy będącej własnością Majewskich. Miała romans z Majewskim. Żona o wszystkim się dowiedziała. Ponoć jej groziła. Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Domi romansowała też z braćmi Przemka, jeden z nich popełnił samobójstwo. Ktoś sądził, że przez Domi. Jak dla mnie logistycznie niemożliwe. To było pięć lat temu, Domi miała zaledwie siedemnaście lat. I jeszcze wtedy nie mieszkała w Gnieźnie.

– Najmłodszy Majewski się nie zabił, Przemek mu pomógł. Podkochał się w Magdzie. Magda pierwotnie była narzeczoną najmłodszego Majewskiego. Przemek zrobił wszystko, żeby ją zdobyć, posunął się nawet do tego, że unicestwił brata.

– Skąd masz takie informacje?

– Zęby zjadłem na tym śledztwie. Magda prosiła mnie, żebym udowodnił Przemkowi winę, zrobiłem to i znalazłem niepodważalne dowody. Dlatego wyleciałem z roboty. A Majewski i tak postawił na

swoim. Magda została jego żoną, matką jego dzieci, a zarazem niewolnicą.

– Zabił brata?

– Tak. Kiedy odkryłem prawdę, zaczął się mścić. Wtedy zaczął podwyższać mi odsetki. Nadal nie odpuszcza. On chce mojej śmierci.

– Przekopię kulę ziemską centymetr po centymetrze. Muszę znaleźć na gnoi jakiś haczyk.

– To będzie trudne, z tendencją do niemożliwego.

– Grozi ci niebezpieczeństwo? – zapytała całkiem poważnie.

– Spore. Chyba nie mam wyjścia, tak czy siak zginę.

– Przestań gadać głupoty. Zamkniemy ich. Wszystko im udowodnimy i ich zamkniemy, obiecuję ci. Jesteś dobry i szybki, razem damy radę.

– Jestem szybki, lecz czy dobry... Wszystko co ważne gubię po drodze. Wieki nie widziałem Dominiki, nie wiem, czy w ogóle zobaczę choćby jej ciało. Może gnój rozpuścił ją w kwasie.

– Ryszard, nie mów tak, proszę. Ty musisz być silny...

Ktoś zapukał. Nie chciała się z nikim widzieć. Kasztanowe loki spadły na jej oczy, a ona nie próbowała ich odgarnąć.

– Pójdę już. – Ryszard wstał. Kolejny raz rozległo się pukanie. – Muszę.

– Wejść! – krzyknęła w stronę zamkniętych drzwi. W progu stanął bardzo poważny Leon. Spojrzał na Ryszarda pogardliwym wzrokiem.

Krystyna nie miała siły żegnać się z Ryszardem, on też nie chciał się z nią żegnać. Dobrze się czuł w jej obecności. Chciał z nią zostać. Nie potrafił podać jej ręki na pożegnanie, bał się, że tym

samym więcej jej nie zobaczy. Wyszedł, wpuszczając tym samym do pokoju Leona Krajewskiego.

Leon patrzył na oddalającego się znajomego z nagrania. Kiedy był w bezpiecznej odległości, podszedł do Krystyny i zaczął szeptać:

– Kto to jest i skąd go znasz?

Usiadł na wygrzanym krześle i złożył ręce jak do pacierza.

– To Ryszard Koszuba, ten Ryszard Koszuba... – Patrzyła na reakcję Leona. Obserwowała każdy skurcz jego mięśni mimicznych.

– Detektyw, do którego miałeś zadzwonić. Już nie musisz. Pojawił się pierwszy, wyprzedził nas. Dominika to jego córka.

– Co? Nie... – Leon wstał z krzesła, ale tylko na moment. Legł z powrotem jak długi. – Jaja, Kysiu, jaja jak berety.

– W dodatku jest seksoholikiem, dlatego mnie zostawił. Nie chciał mnie skrzywdzić. Mój ojciec wszystko wiedział i tyle... Masz już odpowiedź po kim Domi odziedziczyła temperament.

Leon wpatrywał się w nią i jakby próbował ułożyć sobie w głowie to, co usłyszał.

– Jak się czujesz?

– Chyba się potnę gumką myszką. Mam wkurw, ale co mam zrobić?

– Pat!

– Kurwa, kolejna kłoda. Zapożyczył się u Majewskich i uważa, że to oni maczali w tym palce.

Leon patrzył na nią, miał nadzieję, że Krystyna domyśli się, co chce jej powiedzieć. Nie domyślała się.

– Co się tak gapisz? Co się dzieje?

– On jest na nagraniu monitoringu. Był w dzień zniknięcia Domi

w kawiarence z samego rana. Rozmawiał z nią. Krysiu, czy on ci to powiedział?

– Powiedział, że wieki jej nie widział. Chodzi ci o dwudziestego ósmego czerwca?

– Dokładnie. Dwudziestego ósmego czerwca. Był w ten dzień w kawiarni. Gdybyś nie zasnęła, zobaczyłabyś na własne oczy.

– Leon, to niemożliwe. Przecież powiedział mi, że Domi wyprowadziła się z domu jakieś cztery lata temu i od tego czasu ich kontakt się urwał. Dlaczego miałby mnie okłamywać? Po co?

– Może to on zrobił jej krzywdę.

– Leon... Nie sądzę. To Majewscy!

– Za namową wierzycieli? Pokażę ci nagranie, chodź.

Krystyna śledziła każdy ruch Ryszarda, kiedy próbował dotknąć swoją córkę i coś do niej mówił. Jej twarz pozostawała kamienna. Widać było, że próbował ją objąć, a ona odepchnęła jego rękę. Potem uklęknął przed nią, ale ona weszła do kawiarenki, zostawiając go samego na drewnianych dechach ogródka. Tłum gapiów mu się przyglądał, jeden facet pokazywał palcem i się z niego śmiał. Krystyna wyobraziła sobie, jak go wyzywają od starego, głupiego piernika. W końcu wstał i odszedł w kierunku rynku. Cała akcja toczyła się o godzinie dziesiątej pięćdziesiąt, na godzinę przed wyjściem Dominiki z kawiarni.

– Może on do niej zadzwonił? Groził jej, namówił ją na wyjście z pracy, by zwabić w pułapkę? Teraz ukrywa ciało, jej samochód, telefon...

– Może, ale Krysiu, pomyśl! – Leon przerwał jej, choć ta wyraźnie

już otwierała usta, żeby kontynuować swój wywód. – Gdyby miał moc przekonywania myślę, że Domi usiadłaby z nim na moment przy stoliku i porozmawiała. Myślisz, że spławiwszy ojca, w następnej godzinie dałaby mu się zaprosić na kawę w inne miejsce? To dziwne, więc nie sędzę.

– Zataił przede mną fakt, że u niej był. To też jest dziwne.

– Właśnie, to jest zagadka. Dlaczego to zrobił? Działa wspólnie z Majewskimi? Na ich prośbę?

– Może kogoś poprosił, żeby do niej zadzwonił. Może Majewscy poprosili go o skórę Domi. Może tak naprawdę ze strachu z nimi współpracuje. Oddał Domi na tacy, żeby ratować swój tyłek!

– Może przyszedł ją ostrzec, bo coś przeczuwał?

– Powinniśmy go przesłuchać, ale na poważnie. Nie możemy pozwolić sobie, żeby go wystraszyć.

– Przesłuchać na poważnie i nie wystraszyć?

– Nie wystraszyć go do czasu przesłuchania, zająć się nim zniemacka! Wtedy najwięcej wyśpiewa.

– Leon, to musi mieć sensowne wytłumaczenie.

– Musi – powtórzył Leon, ale w to nie wierzył. Jeżeli Majewscy są wplątani w tę zbrodnię, to całe śledztwo będzie się ciągnęło latami, tak długo, że na końcu je umorzą. – A jak serduszko? – zmienił temat.

– Sama nie wiem, obecnie niczego nie jestem pewna. Kiedy go zobaczyłam, to nic nie czułam, ale podczas rozmowy z nim znowu mnie paraliżowało, brakowało mi tchu i tak dalej.

– Nie ładuj się w kolejne problemy. Nie w takim momencie. Nic nie jest jasne. Popracuj nad relacjami z Basią.

– Dzięki za mądre słowa, ale nie wydają mi się piękne.

– A co mam ci poradzić? Żebyś leciała za nim i klęczała tak, jak on klękał przed Domi?

Krystyna bała się, że Leon wypowie te słowa w złą godzinę i faktycznie przyjdzie jej lecieć za Ryszardem. Postanowiła szybko zmienić temat:

– Co tam u pana Mikito?

– Idealny mężczyzna, jak z żurnala, pachnący, obstrzyżony, wypolerowany jak psie jaja.

– Nie pomyliłeś adresów?

– Też tak pomyślałem, ale nie. To był Franek, pewny siebie, niczym niepodenerwowany Franek Mikito.

– Jest szansa, że to on albo jego kumple? Pociesz mnie.

– Nie sądzę, ale to niepewny typ.

Krystyna zasłoniła oczy rękoma

– Kto to, kurwa?! Bo zwariuję. Boję się, że sprawdzi się najgorsza opcja, że Ryszard z Majewskim. Leon, nie chcę tego!

– Za moment przyjdzie Majewska, wszystko się wyjaśni.

– Ona była dziewczyną najmłodszego z braci, tego o gołęmbim sercu, dlatego musiał zginąć.

– Skąd wiesz?

– Ryszard mi powiedział.

Zenon wbił widły w ostatnią kupkę obornika. Zarzucił ją na swoją ręcznie robioną wywrotkę i przetarł ręką pot z czoła. Spojrzał w niebo, było bezchmurne. Czekał na deszcz, przyroda również czekała, nawet ksiądz w kościele modlił się w imieniu rolników

o opad. Bezskutecznie.

Poczuł chęć na przejażdżkę konną. Wczoraj jeździł na Warce, srokatej klaczy, którą ostatnio nabył. Jednak dzisiaj kara Nutka tak przymilnie na niego spoglądała, że kolejny raz poczuł chęć na klepanie dupki. Nałożył siodło i uzdę. Sprzęt miał nowy, zakupiony w Budziszawiu, w sklepie jeździeckim. W piorunującym tempie wziął prysznic i szukał w szafie kowbojskiego przebrania.

– Jajka, miałem zawieźć Krystynie jajka – powiedział niby do siebie, niby do kici, która siedząc na parapecie, oczekiwała czegoś pysznego. – Ale ona zajęta jak prezydent.

Nie zważając na kicię, bo przecież dostała dzisiaj ulubioną saszetkę karmy, włożył ulubione kowbojskie spodnie, flanelową koszulę w czarno-czerwoną kratę i kamizelkę. Na głowę zarzucił swój ulubiony kapelusz. Takie przebranie towarzyszyło mu na wszelakich imprezach, głównie Hubertusach i tym podobnych spędach miłośników koni. Pełen podziwu dla swojego wyglądu, przeglądał się w lustrze. Chciałby, żeby Krystyna zobaczyła go w tym stroju. Odpiął sobie dwa górne guziki od koszuli i wyeksponował ozdobiony siwym włosom tors.

Krystyna od zawsze mu się podobała. Nawet jak żył Jarek. Zawsze taka elegancka i zadbana, ładnie pachniała, wykształcona, a przede wszystkim, tak samo jak on, lubiła samotność. Posiadała wszystkie cechy, którymi zdobywa się serce mężczyzny. A Zenon był pewny, że jej mężczyzny brakuje. Jego zdaniem to ich łączyło, bo jemu brakowało kobiety.

Spojrzał na rozgardiasz w swojej kuchni. Chyba tylko widok szczura zmobilizowałby go do ogarnięcia brudnych naczyń w zlewie.

Wyszedł z domu, nie zamykając drzwi na klucz. W stajni poklepał Nutkę po zadzie.

– To jest najbezpieczniejsza i najpiękniejsza z możliwych okolic – szeptał do niej, gdy wyczesywał ją zgrzebłem. Koń pokiwał łbem, że się z nim zgadza. Czegokolwiek Zenon by do niej nie powiedział, to ona na dźwięk jego głosu zawsze kiwała łbem.

Sporo wiedział o koniach, tak samo jak Jarosław o rybach. Mieli w planie razem napisać książkę. Każdy o swoich doświadczeniach i zdobytych informacjach na ulubione tematy. Mieli podzielić się z innymi czytelnikami swoimi przemyśleniami. Dla Zenona Jarek był klawym gościem. Godnym szacunku. Kochał Krystynę ponad życie. Często prosił Zenona: *Pamiętaj, brachu, jak mnie zabraknie, to zaopiekuj się moimi dziewczynami*. Jakby coś przeczuwał, jakby wiedział, że zostało mu niewiele życia. Przed śmiercią coraz częściej narzekał na swoje samopoczucie, a i robota nie szła mu tak dobrze jak zawsze. Rozmyślając o tym wszystkim, nawet nie spostrzegł, że Nutka zaprowadziła go na swoim grzbiecie w głąb zielonego gaju.

Łazęgował po lesie i rozmyślał, co by było, gdyby dziwnym trafem Krystyna go zechciała. Marzył i wyobrażał sobie swoją przyszłość z panią prokurator.

Siedział w siodle na grzbiecie swojej ukochanej Nutki i czuł się jak król na tronie. Mocno się wygiął, próbując pogłaskać Nutkę po chrapach.

– Dobrze, że mam ciebie – westchnął. – Ty jesteś wierna i mnie rozumiesz.

Ze spokojnego stępu wszedł w kłus. W pewnej chwili drogę przeciął mu spłoszony lis. Rudy zwierzak wyłonił się ze stromego

wąwozu. Zenon Fatyga odruchowo spojrzął w dół, a widok spokojnej, gładkiej, tafli wody, ukoił jego tęsknotę, niepewność i pragnienia.

Nutka nagle zaczęła się dziwnie zachowywać. Zatrzymała się i nie chciała dalej iść. Nawet zaczęła się cofać i dziwnie, zbyt często jak na nią, prychać. Zenon delikatnie trącał ją łydkami. Nie chciał zrobić jej krzywdy. Chciał dać jej do zrozumienia, że za wcześnie na odpoczynek.

– Może chce ci się pić, co? Wytrzymaj, połamiesz sobie nogi na tych nierównościach, stromo tu jak cholera.

Koń wciąż zachowywał się niespokojnie i drobił w miejscu. Gdy w końcu Zenon mocniej ścisnął ją nogami, klacz prawie zrzuciła go z siodła.

– Co ci, Nutka? Do jasnej ciasnej, franco jedna, idź! – Nie chciała. Zenon zszedł z siodła, spojrzął na stromy wąwóz. Po drzewem leżał zwinięty w rulon dywan, był poplamiony brunatną cieczą. Koń wysoko podniósł uszy. – Co się dzieje malutka? – Jeszcze mocniej chwycił wodze. – To tylko dywan, bez nerwów.

Zaciekawił go ten dywan, schodził więc coraz niżej, by w razie czego przyjechać po niego i zabrać do domu. Stwierdził, że taki wyrzucony przez kogoś dywan, przydałby mu się w budynku gospodarczym. Tam, gdzie trzymał narzędzia i przybory ogrodnicze. Schodził stromym wąwozem w stronę Jeziora Powidzkiego. Był już coraz bliżej. Nutkę prowadził za sobą, ale ta odmawiała mu posłuszeństwa. Hamowała kopytami, które zagrzebywały się w piasku.

– Typowa baba jesteś, musisz tu i teraz, tylko co? Cholera, psia

mać.

Nutka nie chciała zejść. Wreszcie wyrwała się jeźdźcowi i uciekła w głęboki las. Zenon stał i patrzył, bo nic więcej nie mógł. Nie zamierzał gonić konia. Wiedział, że Nutka tak czy siak trafi do domu. Znała tę okolicę, a koń zawsze znajdzie drogę do swojej stajni. Stał na środku stromej góry i spojrzał na zwinięty dywan. W tym momencie chwycił się za usta. Z dywanu wystawała ludzka stopa. Była drobna, brudna i... bez palców. Usiadł, by za moment energicznie wstać. Nie podszedł bliżej.

Nerwowo zaczął szukać telefonu i w końcu wyjął go z bardzo ciasnej kieszonki swojej kamizelki. Wiatr zwał mu z głowy kapelusz, który zatrzymał się na okaleczonej stopie.

– Cholera jasna!!!

Krystynie cały czas było słabo. Nie mogła oddychać. Przed kwadransem ciało Dominiki Patyczak zostało przewiezione do medycyny sądowej w Poznaniu. Zdawało się jej, że fetor poszedł za nią na sam posterunek i że pójdzie jeszcze dalej. Może będzie za nią szedł przez całe życie? Próbowwała wytępić go zapachem drogich perfum, które miała w torebce. Bezskutecznie.

– To Domi. Na kostce widniał tatuaż „Miki”. To ona – powtórzył Leon.

– Trzeba jak najszybciej poinformować Ryszarda. Dzwon! Wszystko dokładnie trzeba sprawdzić. Nie możemy niczego przeoczyć. Pilnuj techników, nie mogą niczego przegapić. Psy, trzeba zaangażować psy. I trzeba przeczesać las.

– Jak będzie konieczność, to go przekopujemy i wyślemy

helikopter.

– Dziękuję, Leon. I dzwoni do Ryszarda.

– Jasne. – Leon usiadł na biurku i wsparł ręce na biodrach, jakby chciał pokazać, że jest gotowy na misję odszukania i podstawienia przed sądem sprawcy śmierci Dominiki Patyczak. – Miała pozdzierane paznokcie, bardzo precyzyjnie, to musiał być jakiś specjalistyczny sprzęt. Najprawdopodobniej dentystyczna frezarka.

– Żona Majewskiego jest protetyczką.

– Była przed zamążpójściem. Mieliśmy ją przesłuchać. Pewnie przyszła, ale jak mogliśmy przewidzieć, że Zenon z samego rana dokona takiego znaleziska.

– Spokojnie, przyjdzie jutro. – Krystyna pocieszyła Leona. Zadzwoiła wcześniej do Majewskiej i przełożyła spotkanie na następny dzień. Magda zgodziła się bez żadnego sprzeciwu, a Krysia niczego nie zamierzała jej tłumaczyć. – Musimy poczekać na wyniki ekspertyzy. Choćby wstępne.

– To jakiś sadysta, psychopata, czort wie. – Leon bezradnie kiwał głową.

– Była rozebrana do naga. Gdzie mogą być jej ubrania? Telefon, dokumenty? Leon, musimy znaleźć cokolwiek.

– Dywan wyprodukowano w dwutysięcznym roku, moja córka miała podobny w swoim pokoju. Taka wtedy była moda. Pamiętasz?

– Pamiętam. W tamtych czasach były modne takie wiejskie kolory. Wiem, bo Jarek niegdyś kupił identyczny dywan, przegoniłam go z nim. Do dziś nie cierpię żółtego i niebieskiego koloru, jeszcze te kwiaty. Nie wiem, co on z nim zrobił, czy spalił, czy sprzedał, ale nigdy więcej go nie widziałam.

– Jutro z rana osobiście pojedę do Poznania, pogadam z medykiem, obejrzę ciało. Ty musisz być na miejscu.

– Tak, wiem, Majewska. – Krystyna przecierała stale zbierający się pot z czoła. – Najlepiej jakby nikt się nie dowiedział, że mamy ciało Patyczak. Chcę mieć więcej dowodów, chcę zamknąć Majewską.

– Kamila Stos. Widziu obiecał, że do niej pojedzie.

– No właśnie, gdzie on?

– Wziął wolne. Po prostu wziął wolne – wydukał Leon. Oznajmił, że do Kamili Stos pojedzie na drugi dzień, ale Leon wiedział, że to jemu przypadnie zaszczyt odwiedzenia kobiety. Tak czuł i już.

– Dziś pojedę do Ryszarda, porozmawiam z nim. – Krystyna nie drażyła tematu związanego z nieobecnością Widzia.

– Wiesz, że mógł maczać w tym palce.

– Wiem...

– Uważaj na siebie, Krysiu.

– Muszę się dowiedzieć, co robił tego dnia w kawiarence, i dlaczego mnie okłamał, twierdząc, że od czterech lat nie widział córki. To nie daje mi spokoju.

Stała przed otwartą, lustrzaną szafą i próbowała coś w niej wyszukać. Nerwowo przewracała wieszakami. Szukała czegoś odpowiedniego na dzisiejsze popołudnie u Ryszarda. Coś, co nie byłoby ani zbyt odważne, ani zbyt eleganckie. Najlepiej jakaś skromna, ale wymowna sukienka. Po śmierci Jarka odpuściła sobie zakupy, już nie musiała mieć najnowszej kolekcji ubrań. Zrozumiała, że zakupy i posiadanie przedmiotów, nie jest najważniejsze. Niby jej

nie zależało, żeby spodobać się Ryszardowi, ale w głębi duszy chciała wyglądać dobrze.

Cały czas nie mogła uwierzyć w to, że jej własny ojciec knuł za jej plecami. Tak jej żałował, głaskał po głowie, próbował uspokoić, zapewniał, że jeszcze kogoś spotka. Kogoś lepszego od Ryszarda, a tymczasem sam stał za jej nieszczęściem. Czuła się oszukana. Pomiedzy myślami o tym „co by było gdyby” wreszcie udało jej się znaleźć coś odpowiedniego. W tyle szafy ujrzała sukienkę w kolorze pudrowego różu od Gucciego. Już dawno o niej zapomniała. Była prosto skrojona, z klasyczną długością za kolana, bez rękawków, z niewielkim dekoltem.

Cieszyła oko zapomnianą sukienką, choć momentami oblatywał ją nieuzasadniony strach. Ryszard wiedział o tym, że odnalezione w lesie ciało, to ciało Dominiki. Leon do niego zadzwonił, była świadkiem tej rozmowy. Dziwne było, że nie przyjechał na miejsce zbrodni i nie odwiedził komisariatu w Gnieźnie. Nie zadzwonił do niej. Mógł, przecież opowiedziałby mu o wszystkim ze szczegółami. Z tego, co wiedziała, nie kontaktował się z lekarzem medycyny sądowej.

Zaczesła loki w regularnego koczka i delikatnie podmalowała krótkie rzęsy. Musiała, gdyż brwi ozdobione makijażem permanentnym nie kontrastowały dobrze. Na usta nałożyła pomadkę w kolorze bladego różu, zacementowała je błyszczkiem, choć wiedziała, że błyszczek rozpuszcza pomadkę. Była gotowa do wyjścia.

Basia szczelnie zamknęła się w swoim pokoju, zapewne słuchała muzyki przez bezprzewodowe słuchawki Galaxy Buds Live, które

Jarosław zdążył kupić jej przed swoją śmiercią. Nie wiadomo dlaczego, ale przed południem była dla Krystyny łaskawsza. Pierwsza ją zagadała. Zapytała nawet o to, jak się czuje. Krystyna nie potrafiła pohamować łez ze szczęścia i wszystko jej opowiedziała. O śledztwie, o Dominice i o Ryszardzie. Nie powinna tego robić, ale cieszyła się, że Basia wykazała się jakąkolwiek inicjatywą, zaciekawieniem i w końcu troską. Po rozmowie podeszła do Krystyny i ją przytuliła. Tylko przez moment, ale zrobiła to pierwszy raz w życiu. W dodatku od samego rana używała bezprzewodowych słuchawek. Jakby chciała pokazać Krystynie, że się stara. Córka zrobiła postępy, nie chciała jej ani denerwować, ani prowokować do kłótni. Oszczędziła matce nerwów i zapewniła spokój. Krystyna miała cichą nadzieję, że wkrótce jej relacje z córką staną się normalne z tendencją do idealnych. W wyciszonej komórce pokazał się napis: *Zenon*. Esemes. Weszła w wiadomość i po chwili na jej twarzy pokazał się rzadko goszczący tam uśmiech.

Jajeczka jak ta lala czekają.

Krystyna roześmiała się w głos.

– Ciekawe czyje. Twoje czy kurek? – powiedziała na głos. I znowu się zaśmiała. Cieszył ją fakt, że Zenon po tym, co odkrył w lesie potrafił wrócić do normalnego życia. Nie czuł się zdołowany i, z tego co twierdził, nie potrzebował rozmowy z psychologiem. Kiedy Krystyna wciskała mu karteczkę z numerem telefonu do znajomego psychologa, wstał i oznajmił, że musi wywalać obornik u koni, bo mu się utopia. Krystyna przez cały czas była czujna, przyglądała mu się, ale nie zauważyła żadnych oznak depresji ani dziwnego zachowania. Był jak zawsze uśmiechnięty, rumiany i wyluzowany,

a nawet wysilił się na żart. Jedyne, czego żałował, to kapelusza, postanowił oddać go matce naturze, a za następną emeryturę kupić sobie nowy.

Esemes o tematyce jajecznej świadczył o tym, że nie kłamał i dobrze się czuł. To znaczyło, że ze wszystkim przeszedł do porządku dziennego. *Jest silny. Tak samo jak silny był Jarek* – pomyślała.

Nie chciała robić Zenonowi przykrości, wiedziała, że dziś nie da rady odebrać kurzych „jajeczek”. Przemilczała wiadomość i nie odpisała. Postanowiła odwiedzić go po przyjeździe z Wrześni. Teraz się spieszyła.

Wiedziała też, że musi trzymać z Zenonem zdrowy dystans. Był dla niej bardzo miły, czasem zbyt miły. Wszystko, co robił względem jej osoby, robił nad wyraz delikatnie. Jakby się popisował albo próbował przypodobać. Jednym słowem jasno dawał jej do zrozumienia, że między nimi kiedyś coś się może zrodzić. Coś poważniejszego i coś trwalszego. Z ust Krystyny nie schodził uśmiech. Wyobraziła sobie siebie w gumowcach na nogach i z widłami w rękach, jak wywala obornik od koni na wielką, częściowo pordzewiałą, ręcznie robioną wywrotkę. Potem wyobraziła sobie jak z koszykiem w ręku wybiera z kurnika jajka. Jak peeli chwasty i robi wianki. Te wszystkie obrazy, które stworzyła jej wyobraźnia, spowodowały jeszcze głośniejszy wybuch śmiechu.

– Czego tak rechoczesz? – Basia wyszła z pokoju i, ostentacyjnie żując gumę, puściła w jej stronę mordercze spojrzenie. Czarne, wyrysowane, brwi nadały dramaturgii. Zdecydowanie nigdy nie lubiła, jak jej matka była w dobrym humorze, i to się nie zmieniło.

Wolała oglądać ją zapłakaną i zdołowaną. Krystynę zdziwiło tak zadane pytanie, przecież jeszcze przed paroma godzinami było dobrze. Może za bardzo wszystko idealizowała.

– Coś sobie wyobraziłam. Przepraszam.

– Niby co?

– Zenona z widłami. – Próbowała jakoś podtrzymać rozmowę z córką.

– Nie każdy facet z widłami to Posejdon. Pamiętasz? Tak mówiłaś, kiedy śmiałaś się z ojca.

– Basiu, rozmawialiśmy o tym, wiesz, że żałuję. Wiesz, że wszystkiego żałuję.

Basia oparła się o futrynę i aroganckim spojrzeniem taksowała matkę. Widać było, że mimo uszczypliwości też chce z nią rozmawiać.

– Gdzie się tak wystroiłaś? Ojciec jeszcze nie ostygł, a tobie romanse w głowie.

– Żadne romanse, jadę do Ryszarda. W sprawie znalezionych zmasakrowanych zwłok jego córki. Opowiadałam ci. Wiesz, że tęsknię za ojcem tak samo jak ty. Dlaczego znowu jesteś niemila? Cieszyłam się, że z uwagą mnie wysłuchałaś, wcześniej nie interesowała cię moja praca. Wręcz nią gardziłaś.

– Wybacz. Stare nawyki. – Basia jakby się zreflektowała, ale nadal bardzo wymownie żuła gumę. – Jeszcze raz przepraszam.

– Nie szkodzi, Basiu, nie szkodzi. Cieszę się, że rozmawiamy.

– Kto znalazł to ciało? Tego mi nie powiedziałaś.

– Wyobraź sobie, że Zenon. Nasz sąsiad. Dlatego dziś o nim tyle myślę. Jestem zadowolona, ponieważ wierzę, że jego zeznania są

wiarygodne. Technicy zabezpieczają wszelkie ślady i mam nadzieję, że wkrótce uda nam się znaleźć mordercę.

– Może Zenon ją ukatrupił? Jajeczka i jajeczka mu w głowie, może ma jakąś schizę i zabija po lesie!

– Skądże znowu, to nie on. Szczerze, to troszcę się o niego. Wiesz, taki widok... – Krystyna się zająknęła. – To był wstrząsający widok.

– Jedziesz do Wrześni?

– Tak. Skąd wiesz, gdzie mieszka Ryszard?

– Tak przypuszczam, bo powiedziałaś, że ta Dominika pochodzi z Wrześni. Tak powiedziałam, z głupoty bardziej niż z mądrości. – Basia zaczęła się dziwnie plątać.

– Kochanie, ty jesteś mądra. Bardzo mądra – powtórzyła Krystyna. – Lecę, pa, papatki.

– Pa, papatki.

Basia weszła do swojego pokoju, starała się nie trzaskać drzwiami, ale jej nie wyszło. Krystyna nie zwróciła uwagi na to, że ściany aż się zatrzęśły, przywykła. Wyszła z domu. Uniosła kciuki do góry, żeby samej sobie pokazać, jak bardzo jest szczęśliwa, że Basia poświęciła na rozmowę z nią więcej niż dwie sekundy. Nie krytykowała, nie wypędzała jej z mieszkania, po prostu najzwyczajniej w świecie z nią rozmawiała. Tak jak robią to dorośli i kochające dzieci.

Wypląnęły z niej wszystkie możliwe soki. Stała przed drzwiami mieszkania Ryszarda i drżała z podniecenia. Galareta, która utworzyła się jej między nogami dawała niemiły komfort. Czyli jednak

jej zależało, sama nie wiedziała, co czuje. Wspomnienia... Tyle razy czekała na ten moment i wyobrażała sobie, jak to będzie, kiedy go spotka. Modliła się o to, żeby go spotkać, choćby przypadkowo. Pobyć z nim chwilę sam na sam.

Teraz los to wszystko podał jej na tacy, a ona nie potrafiła określić, co czuje. Okoliczności? Ryszard podczas pierwszej wizyty na posterunku nic nie wspominał o tej nieszczęsnej wiadomości na Naszej Klasie, może w ogóle jej nie przeczytał, może uznał, że to żart, albo że ktoś podszył się pod Krysię. Może wiedział, że Krysia zawsze będzie go kochać, może on też ją kochał. Był chory, wiedział o tym, wiedział, że ją skrzywdzi i dlatego odszedł. Następnego dnia usunęła konto z portalu. Może ta wiadomość w ogóle do niego nie dotarła?

Stojąc przed jego drzwiami, nie chciała tego rozpamiętywać. Miała ważną misję. Chciała z nim porozmawiać. Wyjaśnić jego obecność tego dnia w kawiarence i to, dlaczego teraz milczał. Wszyscy ciężko pracowali, by schwytać mordercę, a on schował głowę w piasek. Kogo się bał? Majewskich czy siebie?

Nacisnęła dzwonek i cały czas wycierała spoconą rękę. Pot wcierała w suchą, zrogowaciałą skórę łokci. Słyszała, jak ktoś podchodzi do drzwi, serce przestało jej bić. Zrobiło jej się słabo. Próbowwała odgarnąć loki, ale one zaczesane były do tyłu. Już o tym zapomniała. Odgarnęła tylko powietrze. Drzwi się uchyliły, poczuła zapach koniaku.

– Cześć, Krysiu. Spodziewałem się ciebie, wejdź.

– Cześć, spodziewałeś się mnie? To dziwne. Widzę, że twoimi detektywistycznymi zdolnościami rządzą siły nadprzyrodzone. – Nie

miała wyjścia, musiała rozładować napięcie i zażartować. Na twarzy Ryszarda pojawił się grymas. – Musimy pogadać – dodała, a jej ton zabrzmiał bardziej oficjalnie niż chciała.

– Wiem, wszystko wiem. To ona! Krysiu, ja to wiem.

– Skąd wiesz? Dlaczego nie przyjechałeś zidentyfikować ciała? Leon do ciebie dzwonił? Gdyby nie tatuaż, to mielibyśmy prawdziwy problem. Potwierdzenie DNA trwa kilka dni.

– Mam swoje znajomości, wszystko wiem, ale opadłem z sił. Nie potrafię!

– Ryszard, musimy pogadać, ale tak szczerze. Wpuścisz mnie w końcu? – Krystyna stojąc przed wejściem, trochę się niecierpliwiła. Ryszard był niezwykle tajemniczy, z posępną miną, ledwo trzymał się na nogach. Jakby pił alkohol całą noc i całe rano. Takiego go nie znała. Może faktycznie go wcale nie znała?

– Jasne, wchodź. – Weszła, a Ryszard zamknął drzwi na klucz. – Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję. – Usiadła w peerelowskim fotelu przypominającym wielkiego cukierka toffi.

– I co? – Kryształowa szklaneczka stojąca na szklanej ławie do połowy zajęta była bursztynowym trunkiem. – Pijesz?

– Tak dla animuszu. Czasem trzeba.

– Dajesz sobie czas na wytrzeźwienie?

– Staram się o tym nie myśleć.

– Ryszard?

– Krysia?

Nastąpiła niezręczna pauza. Krystyna ją przerwała.

– Powiedz coś. Coś, co to wytłumaczy, co nam pomoże.

– Nie wiem. Nic nie wiem. Boję się.

– Ryszard, wiem, że tego dnia, kiedy zaginęła Dominika, byłeś w kawiarence. Wytłumacz mi to.

– Monitoring? – Ryszard nie chciał się zbytnio tłumaczyć. Jego wypowiedzi z początku były krótkie, ale treściwe.

– Tak, monitoring.

– Byłem u Dominiki, chciałem ją ostrzec. Mówiłem ci, mam horrendalne długi. Groziło mi niebezpieczeństwo. To Majewscy, to ich sprawka.

– Tak też przypuszczałam, ale to ty mataczysz. Nie wiem, co myśleć.

– Powiedział, że wie gdzie jest moja córka i obiecał, że ją zabije. Pojechałem do niej, żeby ją ostrzec, ale ona nie chciała mnie słuchać.

–Wiedziałeś, gdzie jest?

– Tak, wiedziałem.

– To po co te kłamstwa?

– Sam nie wiem. Domi zginęła przeze mnie.

– Ryszard, nie zrobiłeś jej krzywdy?

– Nawet tak nie mów, nie mógłbym.

– Od kiedy zaczął ci grozić? – podpytywała byłego narzeczonego, choć tak naprawdę nie miała już na to ochoty. Wolałaby zwyczajnie porozmawiać o pogodzie.

– Od roku, dwóch.

– Jest możliwe, żeby sam się przyznał?

Spojrzał na nią tępym wzrokiem.

– Dziś rano byłem u niego z ratą. Wszystkiego się wyparł. Sam

już nie wiem. To są bardzo niebezpieczni ludzie.

– Powinien zgnić w więzieniu. Domi paznokcie zostały oszpecone specjalistycznym, bardzo precyzyjnym sprzętem dentystycznym. Bodajże frezarką. Magda Majewska jest protetyczką, ale to zbyt oczywiste. Ryszard, co ty wiesz, czego my nie wiemy? Oświeć mnie.

– Krysiu, oni mają ludzi od czarnej roboty. Zniszczyli mnie. Najpierw pożyczali mi kasę, potem mnie udupili. Za dużo wiedziałem.

– Dlaczego Domi, nie ty?

– Nie wiem.

– Dużo masz jeszcze tych zobowiązań?

– Z pół miliona. Może i więcej licząc z odsetkami. Po śmierci Joli sprzedałem dom i wynająłem kawalerkę, ale i to nie wystarczyło na pokrycie długów. Krysiu, boję się.

– Jutro ma przyjść na przesłuchanie żona Majewskiego, Magda. Przycisnę ją do muru.

– Magda? – Ryszard się zamyślił. Chciał powiedzieć Krysi, że miał z nią romans, chciał jej tyle powiedzieć. Przemilczał.

– Tak. Magda. Dlaczego nic z tym nie zrobiłeś? Ty też masz swoje znajomości. – Krystyna w tym momencie pomyślała o sobie. – Dlaczego nie zadzwoniłeś? Pomogłabym ci!

– Nie wiem, boję się, że i tę sprawę będziecie musieli umorzyć. To wszystko mnie przerosło. Jestem zerem. – Ryszardowi zanosilo się na płacz, ale nie chciał pokazać, że jest słabeuszem. Nie mógł, bo i tak już czuł się pokonany i nie na rękę mu było, że tak atrakcyjna kobieta jak Krysi, jest tego świadkiem.

– Nigdy nie umorzę tej sprawy, choćbym miała zginąć! – Krystyna wiedziała, co mówi. – Ryszard, ja tego śledztwa nie zamiotę pod dywan.

– Krysiu, co ty, gapami jesteś karmiona. My nic nie możemy, nic a nic. Może być tylko gorzej, przypominam ci, że ty też masz córkę.

Krystyna pomyślała o Basi, w duchu waliła siebie w pierś. Faktycznie, dopiero teraz do niej dotarło, na jakie niebezpieczeństwo każdego dnia narażona była jej Basieńka. Przed rozmową z Ryszardem nie była tego świadoma. Dopiero w tym momencie sobie to uświadomiła, w końcu była prokuratorem, każdy mógł pragnąć jej nieszczęścia, każdy przestępca. A Basia chadza sama po lasach, nie skarży się. Na szczęście ma Meer. Krystyna nie lubiła Meer, ale w tym momencie inaczej na to wszystko spojrzała.

Ryszard położył jej dłoń na kolanie. Sam nie wiedział dlaczego. Czy dlatego, że Krysiu cały czas mu się podobała, czy dlatego, że był chory. Spojrzała na jego twarz, w oczach miała dziki błysk. Ten błysk widział u niej tylko raz, kiedyś, kiedy pierwszy raz...

W szyby delikatnie stukał deszcz, długo wyczekiwany deszcz. Obydwoje pomyśleli o tym samym. To też była długo wyczekiwana przez oboje konieczność.

Z głębokiego snu wybudziło ją mocne trzaśnięcie drzwiami. Kiedy otworzyła oczy stwierdziła, że to jednak jej się śniło. Nie wyczuwała obecności intruza. Zresztą Ryszard poprzedniego wieczora zamknął drzwi na klucz. Potem, kiedy byli nadzy jak Adam i Ewa, cofnął się do korytarza, by to sprawdzić. W dodatku zamknął na przysłowiowe cztery spusty. Tłumaczył się tym, że się boi, a ona w zaistniałej

sytuacji to rozumiała.

Jeżeli energiczne, głośne trzaśnięcie drzwiami, które słyszała było snem, to był on co najmniej dziwny. Gdyby nie jej zrelaksowane ciało i różne dziwne sny, które nawiedzały ją po śmierci Jarka, dałaby sobie uciąć rękę, że przed momentem, ktoś był w mieszkaniu Ryszarda i stał nad łóżkiem. Z każdą sekundą wydawało jej się to bardziej realne.

Przez ten dziwny sen zapomniwała o tym, że wczoraj było miło. Nie było jej tak dobrze, jak to sobie wyobrażała. Ale spełniła swoje marzenie. Nie czuła skowronków, motyli, ciarek. Było normalnie. Wiedziała, że nie będzie chciała tego powtórzyć. Tego była pewna. Teraz priorytetem było doprowadzić śledztwo do końca i wyjechać z Basią na wakacje.

Seks był seksem, ale nic więcej poza tym nie czuła. Obok, odwrócony do niej plecami, spał Ryszard. Wyciągnięty na łóżku z twarzą zwróconą do ściany. Z tego, co pamiętała Krystyna, jemu było dobrze, a nawet bardzo dobrze, stękał jak prawiczek, tak jak wtedy, za pierwszym razem. Drżał, trząsał się, pocił, jakby przez moment stracił głowę. Był gorący jak rozżarzony węgiel.

Krystyna kiedyś też tak czuła, razem uczyli się miłości, ale od tego momentu wiele się wydarzyło i podzieliło ich morze codziennych spraw. Nieszczęśliwych zbiegów okoliczności. To już było i nie wróci. Zrobiło jej się gorąco, łóżko zaczęło ją parzyć. Odgarnęła kołdrę i zarzuciła ją na Ryszarda.

Mogłam urodzić się facetem, może wówczas połowa moich problemów by nie istniała – pomyślała.

Ciało Ryszarda było śniade i wysportowane, ale Krystyna nie

chciała się do niego przytulać. Energicznie wstała z łóżka. Chciała jak najszybciej wyjść z jego mieszkania. Nie patrząc na niego, cicho jak myszka, nałożyła swoją sukienkę, którą wczoraj delikatnie poplamiała czerwonym winem, wzięła czarne szpilki i wymknęła się z mieszkania. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Widocznie wczoraj Ryszard w stanie upojenia alkoholowego się pomylił i zamiast zamknąć drzwi, jednak je otworzył. Mogło tak być. Pokręciła bezradnie głową, ale nie chciała się cofnąć, żeby to wyjaśnić. Nie chciała z nim teraz rozmawiać. Wiedziała, że między nimi nic nie będzie, natomiast Ryszard, z tego, co jej wczoraj szeptał, liczył na coś więcej. Nie potrafiłaby mu odmówić, ale nie chciała w to brnąć. Uciekła. Jeszcze raz zaczesła ręką włosy do tyłu i wsiadła do auta.

Może dobrze się stało – rozmyślała, wyjeżdżając z Wrześni. – Może dobrze, że nie było tak super, jak sobie wyobrażałam. Czas odciąć się od przeszłości.

Była już pod mostem wjazdowym do Wrześni. Czuła moralnego kaca. Zaczęła się pocieszać. Może gdyby do tego nie doszło, nadal by czekała, zastanawiając się, jak by jej było z Ryszardem. A było tak sobie. Cieszyła się, że udało jej się wyjść z mieszkania niepostrzeżenie. Nie musiała się z nim żegnać i obiecywać następnego spotkania. Nie musiała dawać mu buziaka na do widzenia. Nic nie musiała. Czuła się od wszystkiego wolna, jakby wszystkie koszmary z przeszłości odeszły jak ręką odjął. Nawet ten, że przed momentem ktoś stał nad łóżkiem, w którym spali z Ryszardem. Zatrzymała samochód na poboczu w Gulczewie i wyciągnęła z torby telefon. Wybrała numer do Leona.

– Cześć, zaraz będę. Gdyby Majewska przyszła prędezej, niech

na mnie poczeka. Tylko jej nie wypuszczajcie, ona musi zostać zatrzymana. Wiem, że to okrutne, to matka czwórki dzieci.

– Nie ma problemu. Krysiu, wstępne oględziny potwierdziły, że najprawdopodobniej sprawcą morderstwa była kobieta.

– Za moment będę, wszystko mi opowiesz.

– Co tam u Ryszarda? To znaczy... – zająknął się Leon. – Spaliście ze sobą? – zapytał, ale zaraz się zreflektował: – Przepraszam.

– Tak, spaliśmy, ale te wszystkie lata żyłam w przekonaniu, że... – Krystyna zamilkła. – Wiesz, to nie istnieje, ja nic nie czuję. Jestem wolna. – Dokładnie tak się czuła, jakby przez ostatnie lata żyła w iluzji.

– No widzisz, czasem na coś czekamy, czujemy ból i smutek, podniecenie, a kiedy przychodzi ta długo oczekiwana chwila, to się okazuje, że wcale nie było nam to potrzebne.

– Masz rację. Zasypiałam z myślą o nim, i budziłam się, myśląc o nim. Dodatkowo mi się śnił. Bezsensownie straciłam kawał swojego życia. Teraz najważniejsze jest dorwanie Majewskich, a potem chcę wyjechać razem z Basią.

– Nie mamy wystarczających dowodów, żeby zatrzymać Majewską i nie wiem, czy możemy. Zresztą również policja ze Słupcy jest w to wciągnięta, odtąd musimy kontaktować się z nimi. Rozumiesz.

– Oj, Jola! Pewnie dzwoniła, miałam wyciszony telefon – zauważyła strapiona, ale i poczuła radość, że razem z Jolą będą pracować nad tym śledztwem. – Mamy nagrania monitoringu,

możemy ją zatrzymać – dodała. – Pojadę do Kamili Stos, ty przesłuchaj Majewską. Potem będziemy tworzyć i spekulować.

– Włodzimierz miał do niej pojechać.

– Jest w Warszawie, u wróżki, wkręcił się chłopak. Wczoraj był w Poznaniu, ale tam mu nie odpowiadała. Znalazł na necie adres do wróżki, z której usług korzystają celebryci. Kazał przeprosić.

– Kurwa, to my się dwoimy i troimy, a on...

Magda Majewska najpierw bladła, by za moment znowu się zarumienić. I tak na zmianę. Trzęsły jej się kolana i łokcie, była przykładem ewidentnej nerwicy. Krystyna taksowała ją wzrokiem, a kiedy upewniła się, że kobieta jest w kiepskim stanie psychicznym, przeszła do ataku.

– Mamy nagranie monitoringu i wynika z niego, że w ostatnim tygodniu życia Dominiki Patyczak, pani ją obserwowała. Dlaczego? – Zderzyła się z chwilowym milczeniem, po czym Majewska podjęła temat, wcale nie patrząc na prokurator.

– Bo byłam ciekawa, co w takiej puszczalskiej widzi mój mąż. Dlaczego ona?

– A dzieci? Ma pani małe dzieci, nie było pani szkoda czasu?

– Nie, musiałam to sprawdzić. Mój mąż w tym czasie spędzał czas z Klaudią i resztą dzieci. Chciał raj, to dostał raj. Całą moją ciężę... – Magda wręcz zawyła. – Całą moją ciężę bzykał ją. On wiedział, że ja wiem, dlatego bez żadnego sprzeciwu zostawał z córką. Myślę, że doskonale zdawał sobie sprawę, po co idę do miasta. On wiedział. – Kobieta podrapała się po głowie, przesuważąc tym samym swoją perukę.

Nagle zmieniła temat, jakby straciła zmysły, lub chciała odwrócić uwagę.

– Żaden przeszczep mi nie pomógł, żadne amputki nie pomagały, żaden zabieg z botoksem, to z nerwów. To przez niego wyłysiałam – kontynuowała.

– Przez kogo?

– Przecież pani wie!

– Przez męża?

– Tak. To wszystko jego wina. Dostarcza mi samych problemów. I tak już od lat. To z nerwów wyłysiałam. To przez nich i przez ich romans. Dobrze jej, oj dobrze. Moje prośby zostały wysłuchane.

– Ile czasu byliście parą z Przemysławem Majewskim? To znaczy, jak długo znaliście się przed ślubem?

– Krótko!

– Tęskni pani za jego bratem?

– Nie rozumiem. Skąd pani wie?

– Wiem dużo! Najpierw była pani narzeczoną najmłodszego z rodu Majewskich, tęskni pani za nim?

– Skąd to pani wie? – powtórzyła przesłuchiwana.

– Proszę odpowiedzieć.

– Tak. Tęsknię. On był inny, dobry, wrażliwy, sentymentalny. Zupełnie inny niż jego bracia.

– Jest pani pewna, że sam się zabił?

– Nie wiem. To było tak dawno, proszę mnie nie męczyć. – Magda zdjęła perukę, zaczęła się drapać po głowie. Potem spojrzała pod paznokcie, utkwilo pod nimi kilkadziesiąt oderwanych włosów. Pod oczami miała rozmazany tusz.

– Dlaczego obserwowała pani Dominikę? Chciała jej pani zrobić krzywdę? – Krystyna nie przestawała zadawać pytań. Trochę było jej żal Majewskiej, jednak postanowiła być twarda.

– Ktoś powinien zrobić z nią porządek, ale to nie byłam ja. Nie ja – powtórzyła.

– A domyśla się pani kto?

– Skąd mam wiedzieć?

– Jeżeli zrobił to pani mąż, to powinien za to odpowiedzieć. Chce pani żyć pod jednym dachem z mordercą?

– To nie on. zawyła Magdalena. Widać było, że te pytania ją wyczerpują.

– Skąd ta pewność?

– Gdyby to był on, wiedziałabym o tym.

– I co wtedy?

– Wtedy bym z wami współpracowała. Ja go nienawidzę, jestem jego żoną, ale go nienawidzę. Życzę mu śmierci, ale to nie on.

– Jest pani protetyczką? – zapytała Krystyna, mrużąc oczy.

– Byłam, teraz od czterech lat nie pracuję. Mam dzieci.

– Wie pani, że Dominika miała zdarte paznokcie rąk i stóp? Najprawdopodobniej sprzętem dentystycznym.

– Nie wiedziałam.

– Posiadała pani taki sprzęt, prowadziła pani praktykę zawodową.

– Tak, cały czas posiadam. Jest zawinięty w strecz i leży w piwnicy. Można sprawdzić, nie znajdziecie tam śladu krwi.

– Sprawdzimy.

– Szkoda by mi było poświęcić taki sprzęt. Domi to nic nie warta

wywłoka.

– Nie chciała pani zrobić jej krzywdy?

– Chciałam, ale to nie ja. Nie zdążyłam. Przemek też nie zdążył.

Ktoś nas wyręczył.

– Jak pani myśli, kto to był?

– Nie wiem, ale znał moje myśli, znał moje pragnienia. Rozumiał mnie bez zbędnych słów.

– Tak, mąż zawsze rozumie swoją żonę bez zbędnych słów. – Krysia pomyślała o Jarku, znowu poczuła tę gulę w żołądku.

– On, on od takich rzeczy ma ludzi, ale tłumaczę pani, że to nie on. Chcę żeby poszedł siedzieć, chcę się go pozbyć, ale to nie on.

– Czyli wynajął kogoś?

– Nie zdążył. Zresztą nie mógłby, bzykał ją. Nie podcina się gałęzi na której się siedzi.

– Znała pani Ryszarda Kaszubę?

– Nie wiem, kto to taki.

– Ojciec Dominiki Patyczak.

– Mąż powiedział, że była sierotą.

– Nie była. Mąż o tym wiedział, czyli okłamuje panią w każdym aspekcie, a pani go broni. A może coś ukrywacie? Może razem staliście za śmiercią Dominiki?

– Po co by nam to było? Przepraszam, ale muszę stąd wyjść. Spociłam się z nerwów. – Kobieta nie przestawała się trząść. Chwyła szklankę z wodą, ale w drżących dłoniach woda zaczęła się rozchlapywać, przez co zmoczyła kraciatą spódniczkę, jednocześnie peruka osunęła się na podłogę.

– Proszę z nami współpracować. Prędzej czy później dojdziemy

do prawdy, a wtedy wyrok nie będzie tak łagodny.

Magda jakby nagle dostała nową porcję energii i wybuchła:

– Przecież pani tłumaczę, to nie my! I oczywiście, że cieszy mnie śmierć tej kurwy, ale to nie ja, ani mój mąż. Niech mi pani wierzy, gdyby to był on, to ja bym była pierwszą osobą, która by o tym wiedziała. Powiedziała bym to pani, bo go nienawidzę. – Wstała z krzesła i skierowała się do wyjścia.

– Będę musiała panią zatrzymać.

– Znam swoje prawa, nie może pani mnie zatrzymać, nie macie żadnych merytorycznych dowodów. – Krystyna w duchu przyznała Magdzie rację. – To tylko insynuacje wysrane z palca.

– Proszę usiąść, mam jeszcze tylko kilka pytań.

– Słucham, pora karmienia się zbliża, spiesz mi się.

Krystyna musiała wymyślić coś takiego, aby zatrzymać Majewską, zaczęła zalewać ją tymi samymi pytaniami, ale ubranymi w inne słowa. Wiedziała, że jeżeli nie mówi się prawdy, to raz dwa się polegnie, wtedy miałyby pretekst, by już jej nie wypuścić. Przynajmniej przez następne dwadzieścia cztery godziny.

– Skąd pani wiedziała, że mąż panią zdradza?

– Od samego początku.

– On pani powiedział?

– Kobieta takie rzeczy wie i już.

– Dlaczego pani były partner się zabił?

– On się nie zabił. To znaczy... – Majewska zawahała się.

– Nie?

– Nie wiem.

– Ktoś mu pomógł? Przemek na przykład?

– Nie pamiętam, to stare dzieje.
– Wybaczyła pani mężowi?
– Dobrze jest jak jest. Powiedzmy, że się poddałam.
– Gdyby się pani poddała, nie obserwowaliby pani Dominiki Patyczak. Nie nachodziłaby jej. Dlaczego teraz? – Krystyna miała ochotę walnąć pięścią w blat.

– Wcześniej miałam to w nosie, ale potem ona stała się natarczywa. Namawiała Przemka na rozwód. Szantażowała go, nie wiedział jak ma się wyrwać z jej szponów, nie chciał i chciał. Miał wiele romansów, wiedziałam o wszystkich, ale Dominika stała się upierdliwa. Nie potrafiła odpuścić. Jeszcze ten jej żaloszny tatuś, co siedział u mojego męża w kieszeni. Kiepski policjant, jeszcze bardziej do dupy detektyw.

– Czyli wiedziała pani, że Ryszard Kaszuba to ojciec Dominiki? Wcześniej pani zaprzeczyła.

– Tak, wiedziałam. Kiepski glina, dno! – ryknęła podejrzana.

– Kiepski, bo odkrył, że młodszy brat Majewskiego nie popełnił samobójstwa, bo odkrył, że ktoś mu pomógł i tym kimś był pani obecny mąż.

– Nie chcę o tym rozmawiać. To nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

– Pani mataczy, muszę zasądzić areszt. Nie mam wyjścia.

– Szukajcie prawdziwego mordercy, bo tracicie tylko czas. Jeżeli chcecie mnie zamknąć, to proszę, ale nic nie wskóracie, nic a nic.

Magda wyciągnęła do Krystyny dłoń na znak, że chce się pożegnać. Widząc, że ta nie odwzajemnia gestu, podała jej drugą, oczekując na założenie kajdanek. Na jej ustach zagościł szyderczy

uśmiech. Prokurator zmierzyła Magdę wzrokiem i kazała jej usiąść. Poinformowała ją o przysługujących prawach.

W głębi duszy wiedziała, że to nie Majewska. Bardzo jej zależało, żeby wsadzić ją do pudła, bo może Majewski wówczas sam by się przyznał. Wewnętrzny głos podpowiadał Krystynie, że to nie Majewska. To było zbyt oczywiste. Mataczyła i Krystyna musiała ją nastraszyć, zamykając na jedną dobę. To były tylko procedury i chęć pokazania, że może ciut więcej niż oni.

Na zegarze wybiła jedenasta trzydzieści, a ona nie miała w telefonie ani jednego nieodebranego połączenia. Łudziła się, że dokumenty w torebce wygłuszyły dzwonek. Liczyła na to, choć już nie pragnęła, że Ryszard pierwszy się odezwie. Nie zrobił tego, milczał. Krystyna czuła się urażona i wykorzystana. Nie wiedziała, jak to nazwać, ale była staroświecka. Jej zdaniem po takiej nocy, to mężczyzna powinien pierwszy zadzwonić do kobiety.

Telefon nadal milczał. Jeszcze wczoraj tak bardzo się w nią wtulał, był ciepły i serdeczny. Jakby przez te wszystkie lata pragnął jej tak samo, albo i mocniej, jak ona jego. Może to wszystko było wynikiem bursztynowego trunku i trudnej sytuacji w jakiej znalazł się Ryszard, a ona miała być lekiem na całe zło. Wyprostowała ramiona i jeszcze raz spojrzała na telefon, echo. Ona też nie zadzwoniła.

Do pokoju wszedł policjant z portierni. Popatrzył na Krystynę, potem na zapłakaną Magdę. Krystyna właśnie wkładała do przezroczystego worka telefon Magdaleny. Wykonywała tę czynność w gumowych rękawiczkach.

– Ale ta twoja matka jest głupia. Tępa i głupia, tyle czasu z nią grasz, a ona nie wie, o co lata. Ja pierdolę, jakim cudem została prokuratorem?

– Chyba dawała dupy na studiach. Fakt, jest tępa – przytaknęła Basia.

– Basiu, to już czas.

– Ojciec byłby ze mnie dumny! – Basia jakby nie słyszała.

– Jesteś gotowa?

– Z pewnością jestem gotowa. Matka za wszystko mi zapłaci. Zapłaci za śmierć ojca, za wszystko zapłaci. Zgnije w więzieniu, choć jak dla niej to zbyt łagodna kara.

– Zawsze możesz na mnie liczyć, pamiętaj o tym.

– I tak już bardzo mi pomogłaś. Zobacz jaki zbieg okoliczności. Gdybym nie znalazła tego pudełka w piwnicy, nigdy nie dowiedziałybyśmy się, że twoja popaprana kierowniczką, to córka twojego ojca. To przez niego nie miałam matki. To przez Ryszarda.

– A jak twoja matka się wybroni?

– To ją wtedy zabije. Zresztą czas pokaże.

– Czas pokaże – powtórzyła Meer. – Jak się czujesz po tych białych drażetkach?

– Wiesz co, chyba dobrze. – Basia roześmiała się w głos, uwidoczniając tym samym srebrny aparat na zębach. – Ta kręta, leśna droga wydaje mi się prosta.

Teraz obydwie wybuchły śmiechem. Mętny, szklisty wzrok, rozszerzone źrenice i zakłócona percepcja Basi cieszyły Meer. Czują, że ma nad wszystkim kontrolę.

– Mówiłam ci, te tabletki są niezawodne, to najlepsze

pocieszacze.

– Mam wrażenie, że jestem naga. – Znowu zaczęły się śmiać. Meer chwyciła koleżankę za rękę.

– Muszę cię prowadzić, chyba przedawkowałaś.

– Tylko ty mnie rozumiesz. Gdyby nie ty, moje życie nie miałooby sensu. Znasz wszystkie moje tajemnice, moje i ojca. Tyle razy nam pomagałaś.

– Wiem, dlatego zatrudniłam się w tej, śmiesznej, podrzędnej kawiarence. Dlatego znosiłam te wszystkie obelgi, dla ciebie. Wiedziałam, że zemsta będzie słodka.

– Mam cukier między zębami. – Dziewczyny znowu zaczęły się śmiać. Z głębokiego lasu dobiegały je odgłosy łamanych gałązek.

– Chyba jakiś dzik albo wilkołak. Musimy uważać.

– Lepiej niech sam uważa. – Rozległ się gromki śmiech. Meer pogłaskała Basię po policzku. – Jestem cała twoja.

– Wiem, i vice versa. Matka jest głupia, za głupia, żeby rozszyfrować tę zagadkę. A jak będzie trzeba, to na wszystkich dokonamy egzekucji. To nie problem. Problemem jest to, że nadal nie mam spódnicy. – Basię znowu ogarnął niekontrolowany śmiech.

– Jasne, za moment będziemy w twoim domku, to zdejmę swoją i ci dam.

– Dasz, czy nie dasz? Dam to po ślubie, jak cię polubię. – Znowu wybuchły śmiechem.

– Basiu? – Meer nagle oprzytomniała.

– Co?

– On ma do mnie przyjść.

– Kto?

– No wiesz, ten spocony glina.

Basia również oprzytomniała. Zrobiła się skupiona i świadoma rzeczywistości.

– Dasz radę, wymyśl coś. Pamiętaj o różowej kokardce.

– *Tutto chiaro*, wszystko jasne, jakby to powiedziała Domi.

Dziewczęta rozbawionym, głośnym, śmiechem wypędziły wszystkie ptaki z gałęzi.

Kolejne przesłuchanie, kolejna kamienica. Leon miał dość. W dodatku technicy i medyk jednogłośnie określili, że mordercą Dominiki jest kobieta. Stawiali z Krystyną na Majewską albo Kamilę Stos. Nic poza tym nie mieli. Żadnych odcisków palców, żadnych śladów, które zazwyczaj zostawia po sobie morderca. Zbrodnia niemal doskonała. Tylko mnóstwo popiołu i brudny od krwi dywan w niemodne niebiesko-żółte wzory.

Pamiętał te dywany, ponieważ projektował wtedy pokój dla swojej córki Wandzi. Wandzia już od dwóch lat mieszkała i studiowała w Poznaniu, ale takie właśnie kolory przed dwoma dekadami gościły w jej pokoju. Wziął wówczas kredyt z kasy zapomogowej, by móc przeprowadzić remont.

Podobnie jak Krystyna dziwił się Ryszardowi, że przyjechał do Poznania, że nie chciał zapoznać się ze wstępnymi wynikami sekcji zwłok. O nic nie pytał. Nie chciał nic wiedzieć. Z nikim się nie kontaktował. Nadal nie mieli telefonu Dominiki, jakby zabójca celowo go zniszczył. Być może był w popiele, który otaczał na wpół rozłożone ciało. To wyjaśni się z czasem. Oni nie mieli czasu, musieli działać szybko. Majewska była zatrzymana, to mogło skończyć się

źle dla ich całej trójcy. Tylko patrzeć, a góra się do nich przypierdoli, Majewscy byli wpływowi, mieli znajomości niemal wszędzie.

Leon z samego rana próbował dodzwonić się do Ryszarda, potem napisał do niego esemesa. Bezskutecznie. Ojciec Domi milczał. Gdyby Krysia nie spędziła nocy z Ryszardem i nie zapewniła Leona, że u Ryszarda jest wszystko dobrze, to zapewne pofatygowałby się do niego osobiście. Ze zwykłej ludzkiej troski. Były policjant nie odezwał się nawet do niej. Leon w jej oczach widział zawód, chociaż się nie skarżyła. Niby jej nie zależało, ale kobieta zawsze czeka na jakiś znak.

Ojciec denatki nie odzywał się po prostu do nikogo. Nie tak zachowuje się ojciec, który stracił córkę. Detektyw. Leon nie potrafił tego zrozumieć. Spojrzał na wolnostojącą kamienicę przy ulicy Wyszyńskiego. To w niej mieszkała Kamila Stos. W przeddzień do niej zadzwonił, żeby umówić się na rozmowę. Jej głos się łamał, a Leonowi wydawało się, że Kamila płacze. Wszedł ze swojego Pt Cruisera i ruszył w stronę domofonu. Nacisnął dwa razy, starając się dawać krótkie sygnały.

– Proszę – usłyszał zdławiony głos.

Wszedł. Będąc na parterze, zaczął rozglądać się za numerem dwa, ale drzwi same się uchyliły. Otworzyła mu drobnej budowy dziewczyna z różową opaską na głowie i idealnie zaczesanymi do tyłu włosami. Na głowie miała z pięć kolorowych spineczek, wyglądała wręcz śmiesznie. Z tyłu głowy zdobiła ją ciasno związana kitka. Miała na sobie różową bluzkę z dekoltem w łódkę i czerwone spodnie. Jej oczy były zapłakane, a ruchy pingwinie. Wyraźnie było widać, że dziewczyna nie czuje się dobrze w swojej skórze, może

w tych kolorach. Leon stał w progu i dałby sobie rękę odciąć, że gdzieś już ją widział.

– Ja panią skądś znam.

– Niemożliwe, ja widzę pana pierwszy raz – zachlipała.

– Może ma pani rację. Wie pani, tylu ludzi się na co dzień spotyka. Mam prawo coś pomylić, ale... jestem pewien...

– Wydaje się panu! – Jej głos z zapłakanego nagle zmienił się w stanowczy. Leon wszedł do środka nie czekając na zaproszenie. Zawsze tak robił.

– Co pana do mnie sprowadza? – Kobieta wyjęła z toaletki mieszczącej się na korytarzu czerwoną pomadkę i przemaalowała usta. Robiąc do lustra całusa, przetarła niewidoczne łzy.

Dwubiegunowa – pomyślał Leon i usiadł na jedynym w tym mieszkaniu fotelu.

– Skromnie tu, ale ładnie. Spojrzał na stary peerelowski kredens ze sporą kolekcją tanich bibelotów.

– Staram się, wie pan, pensję mam kiepską, a teraz jak kawiarenka jest nieczynna, to w ogóle nie zarabiam.

– Tęskni pani za pracą?

– Bardzo.

– A za szefową?

– Też.

– Lubiliście się? – zapytał niepewnie, choć może tylko chciał takiego udać.

– Bardzo, to taka dobra kobieta była. Zaradna i zawsze służyła pomocą.

– To jakaś nowość, zazwyczaj każdy na nią narzekał.

- Ja nie narzekam, dla mnie była miła, bardzo mi pomogła.
 - W czym na przykład?
 - Dała mi pracę. Wie pan, moja mama prędko umarła, a ojciec się na mnie wypiął. Jestem sierotą.
 - To przykre! I uważa pani, że Dominika była dobra?
 - Bardzo dobra. Zresztą o umarłych źle się nie mówi. Mam nadzieję, że wkrótce znajdą zabójcę i powieszą łotra za jaja.
 - Rozumiem, że przez cały tydzień przed śmiercią Dominiki Patyczak miała pani urlop? Nie kontaktowałyście się?
 - Nie, nie było potrzeby, pragnęłam odpoczynku. – Kamila cały czas przecierała niewidoczne łzy. Jej oczy były czerwone. – Miałam zabieg na pieprzyk.
 - Duża blizna? Mogę zobaczyć?
- Kamila wyraźnie się zmieszala.
- W miejscu intymnym, nie mogę.
 - A nie na szyi? Ewelina Wąs zeznała, że miała mieć pani zabieg usuwania pieprzyka na szyi. W okolicy karku.
 - Tak im powiedziałam, wstydziłam się. Zresztą Ewelina nie wie, co gada. Domi to potrafiła zrobić z nią porządek.
 - Wydaje się zrównowazona.
 - To pozory.
 - Dla partnera postanowiła pani usunąć sobie pieprzyk?
 - Jestem samotna, dla siebie.
 - Dlaczego wynajmuje pani mieszkanie? Ma pani dom po przybranych rodzicach. Można było go sprzedać, wyremontować.
 - Stara rudera, nie mam sentymentu do tego miejsca.
 - A rodzice? Ma pani do nich sentyment? Odwiedza ich pani na

cmentarzu? – Leon wiedział, że nie. Był na cmentarzu, na którym leżeli przybrani rodzice Kamili Stos. Grób był zaniedbany, częściowo podmyty przez deszcz. Kamila nie odpowiedziała, udawała, że nie słyszy. Zaczęła głośniejsz chlupać w rękaw. Leon starał się nie reagować, aczkolwiek, gdyby miał przy sobie chusteczki, to z chęcią by jej użyczył.

– Jak zginęli pani rodzice?

– Dwutlenek węgla, nieszczelna wentylacja.

– Sąsiedzi twierdzą, że to nie był nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Kamila nie odpowiedziała.

– Wcześniej korzystała pani z urlopu?

– Nie. Jestem rzetelna, zresztą krótko tam pracowałam, jakiś miesiąc. Urlop mi się należał i w końcu kierowniczka wyraziła zgodę. Ewelina musiała przejąć większość obowiązków, choć nie było to jej w smak. Sadziła się na mnie, była wściekła. Michał miał przyjechać do Polski, a jej przybyło obowiązków.

– Wcześniej miała pani jakieś zatrudnienie?

– Tak, ale w innym mieście.

– We Wrześni?

– Tak.

– W Majówce?

– Skąd pan wie?

– Dużo wiem. Została pani zwolniona dyscyplinarnie. Kradzież?

– Zostałam niesłusznie oskarżona – fuknęła.

– Co jeszcze pani robiła podczas urlopu? Tydzień to sporo czasu,

a to był tylko pieprzyk. – Leona zdaniem Kamila ewidentnie coś kręciła.

– Odpoczywałam, trochę w Skorzęcinie, trochę w Powidzu. Wie pan, urlop to urlop.

– Czyli nie spotykała się pani z Dominiką.

– Nie.

– Pisała pani do niej?

– Nie!

– Odpisywała pani w ogóle? – Leon postanowił wziąć ją z zaskoczenia.

– Raz.

– Czyli pisała pani z nią czy nie?

– Nie pamiętam. Czasem. – Kamila znowu zaczęła płakać. – Tak bardzo za nią tęsknię – mówiła przez łzy. – Gdzie ja teraz znajdę pracę? Co ze mną będzie? Widzi pan ten sznurek? – Wskazała palcem na zwinięty, szary sznurek, który leżał pod ławą, tuż przy jego stopach.

– Co to jest?

– Sznurek, wczoraj próbowałam...

– Co? – Leon wstał z fotela, żeby po chwili znowu ciężko na niego opaść. Zawsze tak robił, kiedy coś go szokowało.

– Tak, wczoraj próbowałam. To przez Domi, już miałam go na szyi, już prawie kopnęłam nogą taboret, ale w końcu zrezygnowałam. Nie mogłam. Wszystkie obrazy wróciły. Tak bardzo mi jej brakuje, była dla mnie jak matka. Bo Domi, mimo że miała za uszami, to mnie uwielbiała, miała bardzo dobre serce.

– Pani powinna iść do szpitala. Pani potrzebuje pomocy.

– Wiem, jutro zamierzam zadzwonić do psychiatry, umówię się na wizytę. Dzisiaj muszę pobyć sama.

– W takim stanie nie powinna pani być sama.

– Proszę się o mnie nie martwic. Poradzę sobie, zawsze sobie radzę. Sierota przez nikogo niekochana, musi sobie sama radzić. – Nie przestawała wycierać łez.

– Czy podejrzewa pani, kto mógł to zrobić?

– Myślę, że jej ojciec, to on. On jej nienawidził.

– Ryszard Kaszuba? Znała go pani? Skąd? Nikt nie znał ojca Dominiki.

– Ja sporo o niej wiedziałam, pochodzę z Wrześni, to małe miasto. Mniejsze od Gniezna.

– Myśli pani, że to Ryszard?

– Tak, to on. Proszę, aresztujcie go, jest niebezpieczny!

Leon miał mętlik w głowie. Najgorsze było to, że Kamila była wiarygodna, kręciła jak każdy, ale miała taką niewinną minę.

W duchu planował wyjazd do Wrześni, nie pozostało mu nic innego jak porozmawiać z Ryszardem. Może faktycznie to on stał za zabójstwem córki, może to on kogoś wynajął. Może współpracował z Majewskimi. Coś musiało być na rzeczy. W końcu był seksoholikiem, może wdał się w romans z protetyczką i razem coś uknuli.

– Ładna bransoletka – powiedział na odchodne.

– Dziękuję. Mnie też się podoba.

– Domi miała identyczną. Widziałem na zdjęciu.

– Tak mi się spodobała, że musiałam mieć taką samą.

– Mogę? – Wziął rękę Kamili i przyglądał się złotej bransoletce

z czerwonym koralem.

– Zapięcie ze srebra?

– Tak, pękło mi. Nie było mnie stać na to, żeby zreperować ponownie złotem. Na pierwszy rzut oka nie widać różnicy.

– Mądry nie zauważy, a głupi pomyśli, że tak musi być – skwitował. – Do zobaczenia – dodał i skierował się do wyjścia.

Kamila jeszcze raz przetarła łyzy.

– Do zobaczenia. Znajdźcie mordercę, błagam.

– Myślę, że jesteśmy blisko. Gdyby pani potrzebowała pomocy, proszę zadzwonić. – Wręczył jej wizytówkę.

– Będę pamiętać.

Usiadła nad brzegiem Jeziora Powidzkiego. Kolejny raz wspominała dzieciństwo. Babcię Stasię i to, jak robiąc z nią makaron, wycinała z rozwałkowanego ciasta kwadraciki, tak zwane mace. Piekła je na rozgrzanej płycie pieca kaflowego.

Czuła się oszukana. Ryszard milczał, kolejny raz ją zawiódł, od rana się nie odezwał. Było popołudnie. Jego córka leżała w prosektorium pokrojona wzdłuż i wszerz, a Ryszard nie interesował się tym, co ustalili technicy, co ma do powiedzenia medyk. Od wszystkiego umył ręce. Na wszystkich się wypiął. Wspominała noc, którą razem spędzili w jego łóżku. Nic nie czuła, ale duma nie pozwoliła jej pierwszej zadzwonić.

– Krysiu, przecież ty nic do niego nie czujesz, dawaj. To on pierwszy zainicjował seks, nie chciałaś. Sprawa jest pilna, dzwoń – powiedziała do siebie i ze skórzanej aktówki wyjęła telefon. Wewnętrzne ja, mówiło NIE. Patrząc na telefon jak

zahipnotyzowana, w końcu wybrała kontakt do Ryszarda. Włączyła się poczta. Ucieszyła się. Odłożyła telefon do aktówki, po czym znowu go wyjęła. Sytuacja się powtórzyła. Znowu włączyła się poczta. Posiedziała jeszcze kilka minut nad brzegiem jeziora, spoglądając na zachód słońca. Jezioro na samym środku zrobiło się pomarańczowe. Na brzegu pojawiły się pojedyncze raki. Uśmiechnęła się do nich i wstała. W skórzanej aktówce rozległ się dzwonek telefonu. Ryszard! Zaczęła szarpać złotą spinkę od torby. Nie spojrzała na telefon, tylko od razu przyłożyła go do ucha w nadziei, że usłyszy głos Ryszarda.

– Słucham.

– Krysiu, jest problem, duży problem! – usłyszała charkotliwy głos kolegi.

– Co się stało?

– Masz problem!

– Leon, możesz jaśniej? Nic nie rozumiem.

– Nie wiem jak ci to powiedzieć, ale chyba będę musiał cię aresztować.

– Jak to? Co ty bredzisz, Leon?

– To dla twojego dobra. Ktoś próbuje cię zrobić. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

– O co chodzi, Leon?

– Znaleźliśmy ciało Ryszarda w jego mieszkaniu.

– Co ty pieprzysz?

– On nie żyje. Najprawdopodobniej został uduszony. Gdyby nie biały guzik z poduszki w jego zębach, pomyślałbym, że to zwykłe niedotlenienie. Krysiu, to ty spałaś u niego ostatniej nocy. Co mam ci

powiedzieć? Przyjedź na komisariat albo ja będę musiał się pofatygować do ciebie.

– W dupie mam twoje: *co mam ci powiedzieć*. – Krystyna wybuchła. – Ja go nie zabiłam, oszalałeś.

– Krysiu, musimy to wyjaśnić. Ja wiem, że to nie ty, ale procedury.

– No to co, że byłam tam poprzedniej nocy, do jasnej kurwy. Spałam z nim.

– O której od niego wychodziłaś?

– Około siódmej rano.

– Zgon nastąpił o szóstej pięćdziesiąt. Masz, w chuj, problem. Co tam się wydarzyło?

– Nic, spałam z nim i tyle. Rano wstałam i pojechałam do domu.

– Musisz przyjechać na posterunek.

– Jestem w Anastazewie. To potrwa!

– Jadę do ciebie! Lepiej, jak mi wszystko opowiesz, a potem coś zaradzimy.

– Ty naprawdę chcesz mnie aresztować? – podpytywała, nie dowierzając, że to się dzieje naprawdę.

– Dla twojego dobra, ale wierzę w twoją niewinność. Czekał na mnie.

Faktycznie ktoś nad ranem był w jego mieszkaniu. Dobrze słyszała. Tylko kto? I czy Leon naprawdę jej uwierzy? Co teraz z nią będzie?

Kręciła się po celi bez telefonu i bez swojego łańcuszka. Wszystko jej skonfiskowali. Nawet wyjęli jej z trampek ozdobne

sznurówki. To były tradycyjne procedury, jednak Krystyna nigdy wcześniej nie czuła się tak upokorzona. *To za karę – pomyślała. – Przez tyle lat upokarzałam Jarostawa, przez tyle lat nie przejmowałam się losem córki, mam za swoje. Na wszystko zasłużyłam.*

– To jedynie czterdzieści osiem godzin, to musi się wyjaśnić – powtarzała bezsensu, próbując się pocieszyć. Musiała to robić, musiała się pocieszyć, żeby przez te dwie doby nie zwariować. Ona w celi, to był prawdziwy paradoks. Bała się tego, co pomyśli Basia. Ich relacje uległy nagłej poprawie, a teraz wszystko może runąć.

Dlaczego to wszystko tak się pierdoli?

Miała ochotę krzyczeć do szarego sufitu. Usiadła na twardej pryczy. Spojrzała na zielony koc i jej łzy na moment przestały wypływać. W tym momencie miała ochotę roześmiać się w głos. Zza żeliwnych drzwi usłyszała szmery, strażniczka je otworzyła i z sarkastycznym uśmiechem poinformowała Krystynę, że ma widzenie z Leonem Krajewskim. Czyli ludzie z jej środowiska w to wierzą, wierzą w to, że zabiła Ryszarda. Uśmiech strażniczki utwierdził ją w tym przekonaniu. Tak samo wczoraj zachowali się policjanci z jej rewiru. Jak mogą w to wierzyć? Nie mogła tego zrozumieć, bo jej niewinność była dla niej oczywista.

Szła, nie wierząc, że to wszystko dzieje się naprawdę. Nie potrafiła przełknąć tej gorzkiej pigułki. W dodatku świadomość tego, że Ryszard nie żyje, powodowała dodatkowe zawroty głowy. Ból w klatce piersiowej był z minuty na minutę coraz silniejszy. Chciała się obudzić z tego koszmaru, a potem umrzeć. Kroczyła na spotkanie z Leonem na wiotkich jak słomki nogach.

– Cześć. Jak się czujesz? – Leon starał się nie okazywać zbyt litości, bo wiedział, że Krysia tego nie lubi.

– A jak mam się czuć? Siedzę za niewinność, a Ryszard został uduszony. Co ze mną będzie? Jak mam udowodnić, że jestem niewinna?

– Fakty są oczywiste i policja twierdzi, że nie potrzebuje dowodów. Ale ja im je dostarczę. Krysiu, wytrzymaj.

– Jak? Wiesz co, pociesza mnie jedynie fakt, że Ryszard jest teraz w tym samym miejscu, co Domi. Może leżą w innych salach, ale w tym samym budynku. To jest jedyna budująca myśl.

– Pokrojeni na kawałki.

– Masz coś? W sprawie Patyczak? Czy coś się wyjaśniło?

– Wiem, kto mógł ją zabić, szukam tylko innych powiązań. Za wiele nie mogę ci powiedzieć, w tej sytuacji... ale wyjdiesz stąd. Jak będzie trzeba, to wpłacę kaucję. Teraz muszę z tobą pogadać o tym, co wydarzyło się nad ranem w domu Ryszarda. Co dokładnie pamiętasz?

– Niewiele, obudziłam się nad ranem około szóstej pięćdziesiąt pięć, Ryszard spał. Chwilkę poleżałam, jakieś dwie minuty, ale łóżko mnie kłuło. Ubrałam się i wyszłam. Skąd mogłam wiedzieć, że Ryszard nie żyje? Wydawało mi się, że smacznie śpi.

– Zeznałaś, że ktoś był w mieszkaniu? Kto? Coś widziałaś, czułaś, pamiętasz, przypuszczasz?

– Tak mi się wydawało, czułam coś, jednak nikogo nie widziałam. Słyszałam trzaśnięcie drzwiami, ale to mógł być sen. Może sąsiedzi Ryszarda coś widzieli.

– Nikt nic nie widział, o tej godzinie wszyscy spali. Gdyby nie

moje starania, miałabyś problem jak cholera.

– Jakie starania? Opowiedz mi!

– Za wcześnie, nie mogę.

– Powiedz mi to, co możesz.

– Byłem u Kamili Stos. Udaje depresję i bawi się z nami. Gdybym był naiwny i niedoświadczony, to bym dał się nabrać na te jej gierki. A ja byłem pewny, że gdzieś ją widziałem, i ta jej bransoletka. To jest petarda.

– Co? Błagam, wyduś to z siebie.

– Ta bransoletka przez cały pobyt w jej mieszkaniu nie dawała mi spokoju. Wiesz, kiedy przeszukiwaliśmy mieszkanie Domi, znaleźliśmy jej zdjęcie. Nie było szczególne, więc go nie zabrałem. Domi miała identyczną bransoletkę na nadgarstku. Pamiętam to, ponieważ miała charakterystyczne złote serce, wokół którego był czerwony koralik.

– Spozregawczy jesteś, takich bransoletek u jubilera jest na pęczki.

– Kamila Stos miała dokładnie taką samą bransoletkę. Kiedy zapytałem, gdzie ją kupiła, odpowiedziała, że u jubilera. Ale to nie jest prawda. Nikt, kto narzeka na brak pieniędzy, nie kupuje sobie bransoletki ze złota.

– Dlaczego w to wątpisz? Taka bransoletka nie kosztuje fortuny.

– Nie powinienem ci tego mówić, wiesz, jesteś podejrzana w sprawie, ale w dupie mam przepisy i trochę ci powiem. Nie chcę, żebyś kolejnej nocy nie przespała. – Spojrzał na jej wydającą się teraz o dziesięć lat starszą twarz.

– Opowiadaj.

– Kiedy wyszedłem z mieszkania porwałem jej szczotkę do włosów. Chciałem wykonać badania DNA, ponieważ naprawdę uważałem, że znam tę dziewczynę. Kogoś mi przypomniała. I do tego ta bransoletka, złota ze srebrnym zapięciem, dziwne, co? Niby jej się zerwała i nie miała kasy na naprawę, dlatego kazała zrobić srebrne. W Domi przypadku było podobnie. Na zdjęciu mogło się coś przeświecić w blasku fleszy, ale byłem u Eweliny i ona mi powiedziała, że Domi miała identyczny problem. Też zerwała jej się bransoletka i też nie miała na naprawę, więc zrobiła to tańszym kosztem. Podobnie jak Kamila kazała wykonać srebrne zapięcie.

– Czyli Kamila porwała Domi bransoletkę?

– Mogło tak być, ale i tu mam hit. W dniu zaginięcia Domi miała ową bransoletkę na nadgarstku.

– To kiedy ją wzięła?

– Kiedy porwała Domi.

– A co ze szczotką?

– Badania DNA wykazały, że... – Leon przełknął ślinę. – Że Kamila Stos, to córka Ryszarda Kaszuby.

– Nie wierzę. – Prokurator zasłoniła usta dłonią. – Czyli faktycznie bzykał wszystko, co się rusza. Wiedział w ogóle o jej istnieniu?

– Raczej nie, ale ona od dawna wiedziała, że jest córką Ryszarda.

– Chorował. Miał problem i nie liczył się z konsekwencjami. Może dobrze, że nie był moim mężem.

– Bardzo dobrze. Kamila mogła stać za zabójstwem Domi, a potem z zemsty zabiła Ryszarda.

– Tylko czemu ja tu jestem? Gdyby nie bransoletka... Jesteś dobrym gliną, spostrzegawczym.

– Byłaś w niewłaściwym czasie i w niewłaściwym miejscu. I teraz ruszam do ataku. Wyjdiesz stąd, obiecuję.

– A jeżeli to zbyt słabe dowody, żeby mnie wyciągnąć?

– Mam więcej dowodów, ale...

– Ale?

Leon musiał się otworzyć, naprawdę nie potrafił trzymać Krysi w niepewności. Część informacji jednak musiał zachować dla siebie.

– Tego dnia, kiedy zginął Ryszard, widziano Kamilę na dworcu we Wrześni. Przyjechała pociągiem o szóstej trzydzieści, po upływie pół godziny wróciła na dworzec i dokładnie o siódmej trzy wsiadła do pociągu, który jechał do Gniezna. Tyle dokładnie potrzebowała, by dotrzeć do mieszkania Ryszarda i go zabić. Z tym, że ona musiała wiedzieć, że tego dnia Ryszard nie będzie sam. Musiała wiedzieć, że ty tam jesteś.

– Skąd?

– Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. To dla twojego dobra. Nadal jestem pewien, że gdzieś ją widziałem i powoli zaczynam kojarzyć fakty.

– Na nagraniu monitoringu?

Leon nie odpowiedział. Krystyna nie pytała dalej.

– Mam nadzieję, że to się wyjaśni.

– Muszę udowodnić policji, że nad ranem w mieszkaniu Ryszarda, był ktoś jeszcze. Szukam śladów, mamy mało czasu.

– Kiedy wychodziłam od Ryszarda drzwi od mieszkania były otwarte, to też było dziwne.

– Ślady, świeże ślady. Tej nocy nad ranem kropił deszcz, zrobiło się małe błotko. Przed furtką, zanim zaczyna się bruk, odcisnęły się ślady butów. To były musiały być ciężkie glany. Nie pasują ani do twojego śladu, ani do śladu Ryszarda.

– Z tego, co mówiłeś, to Kamila jest typem słodkiej idiotki. Różowe buciki, różowe spineczki. Ble, ble, ble. Leon, to się nie chce kleić!

– Ja to połamam.

– Co z Basią? – Krysia słysząc o śladach butów, zaraz pomyślała o córce. – Wie, że tu jestem?

– Nie mam pojęcia.

– No to czekam na cud! Leon, wiesz, że nie mogłabym.

– Wiem.

Strażniczka zaczęła chrząkać na znak, że czas przeznaczony na rozmowę dobiegł końca. Krystyna słysząc to, szybko zapytała:

– Co z Majewską?

– Musieliśmy ją wypuścić, rozkaz z góry – wyszeptał Leon i zebrał się do wyjścia. – Pa.

Krystyna nie odpowiedziała. Pogrzeżyła się w żałobie, tak bardzo tęskniła za Jarkiem, Ryszardem, Basią. Ogarnęła ją też wszechogarniająca złość, że Majewska wyszła na wolność. Nic nie mogła na to poradzić.

– Marność – wydukała do strażniczki, która popatrzyła na nią jak na ufo.

Zenon usiadł na krześle w swojej peerelowskiej kuchni. Szafki ledwo trzymały się zawiasów, ale sentyment do mebli nie pozwalał

mu przeprowadzać żadnych remontów. Jego ojciec urządził kuchnię w latach osiemdziesiątych za swoją pierwszą emeryturę. W niezmięnionej postaci kuchnia przetrwała do dziś, a sześćdziesięcioparoletni Zenon postanowił nie zmieniać jej aż do swojej śmierci. Spadkobierców nie miał, bo był samotny. W dodatku był jedynakiem. Sam jeszcze nie wiedział, co się stanie z jego majątkiem po jego śmierci. Starał się o tym nie myśleć, a jak już myślał to jedynie o Basi. To jej chciał zapisać domek z ogródkiem na znak jego długoletniej przyjaźni z Jarkiem. No i przy okazji przypodobałby się Krysi. Smarkula musiała jeszcze dojrzeć. Na ten moment Zenon nie widział jej w roli gospodyni.

Kilka drzew wiśni i czereśni, które postanowił obciąć, bo tak przystało na lipiec, spowodowało ból pleców. Zsunął spodnie i majtki do kostek. Sam wstydził się przed sobą, że to robi, ale tłumaczyła go samotność. Zresztą jego ojciec powtarzał, że najlepsza na ból jest przyjemność. Każdy mężczyzna powinien spuścić z krzyża. Dotknął członka, który od samego rana sterczał mu jak antena. Wstał z krzesła, żeby upewnić się, że zamknął drzwi na klucz. Podreptał, szurając spodniami o stare, częściowo pożarte przez korniki dechy podłogowe. Spinka od paska, która poszła w ślady szurających spodni i majtek, wydobywała drażniące, jeżące włoski na skórze, dźwięki. Trzy razy ruszył klamką drzwi, były zamknięte.

Wrócił na swoje miejsce, by oddać się codziennej przyjemności. W takim momencie zazwyczaj myślał o Krystynie. Może dlatego, że to była jedyna kobieta w jego otoczeniu. W dodatku ładna i samotna. Ile by dał, żeby móc znaleźć się z nią w jednym łóżku. Poczul ulubione drętwienie, przyjemne ciarki przebiegły po jego ciele.

Zamknął oczy. Jego rozkosz przerwało energiczne ruszanie klamką od drzwi wejściowych. To znaczyło, że ma niespodziewanego gościa. Nie było mu to w smak, w dodatku to musiał być ktoś bliski, skoro nie pukając do drzwi, zaraz brał się do wejścia. Pomyślał o Krysi, że w końcu przypomniała sobie o tym, że od pięciu dni czekają na nią dwa mendle jajek. Nie chciał otwierać jej w tym momencie. Bał się siebie i tego, że się na nią rzuci i jeszcze zrobi jej krzywdę. To nie był odpowiedni moment na wizytę wypachnionej, eleganckiej prokurator.

Wypowiedział wulgaryzm, wstał z krzesła i, ponownie szurając spodniami, próbował podejść do okna, żeby zobaczyć kogo lichoniesie i czy jego przypuszczenia okażą się prawdziwe. Nie zamierzał podnosić spodni i ich zapinać, bo i tak zamek odmawiał posłuszeństwa. Członek był spuchnięty i zapewne by się nie zmieścił. W dodatku Zenon nie chciał zdradzić nieoczekiwanemu przybyszowi, że jest w domu. Wolał w tym momencie zostać sam. Chciał ze spokojem dokończyć to, co zaczął.

Stał w odległości około dwóch metrów przed oknem w stołowym pokoju, to stamtąd było wyraźnie widać, kto jest przed wejściowymi drzwiami. Starł się nie podchodzić za blisko, by nie zdradzić swojej obecności, ruszając firanką. Zdziwił się, widząc ubraną na czarno postać. Stała tyłem do okna, jakby próbowała wypatrzyć go na podwórku. Jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy się odwróciła i okazało się, że to Basia. W ręce trzymała coś na podobieństwo drewnianej pałki. Poczł złość, a potem się przestraszył. Raz jeszcze rozległo się głośne, natarczywe pukanie. Basia wiedziała, że Zenon jest w tym momencie w domu. Jego

obecność zdradzał zaparkowany na podwórku czerwony kadett. Stał przy blaszanym garażu.

Czekał, aż Basia odejdzie, ale ta wydawała się być nieugięta. Zenon miał wrażenie, że zaraz usiądzie po turecku i tak długo będzie siedziała, aż on nie otworzy jej drzwi. Kurczowo trzymała pałkę i energicznie, zdaje się mocno, uderzała w otwartą dłoń. Wyraźnie miała zamiar kogoś pobić. Jego? Młoda była uparta, ale nie usiadła. Cały czas stała i czekała. Znowu odwróciła się tyłem do okna i wypatrywała go na podwórku. Przestraszył się, że pałkę grzeje na niego. Tylko za co? Za to, że chciał zapisać Basi cały swój majątek? Może Basia dowiedziała się, że Krysia mu się podoba. Zastanawiał się nad tą łamigłówką i w duchu modlił się, żeby dziewczyna odeszła. Po paru minutach jego prośby zostały wysłuchane. Odeszła, ale swoje kroki skierowała do stajni. Tam poszła go szukać. Jakby była pewna, że go znajdzie. Potem wyszła ze stajni i weszła do budynku gospodarczego.

Mężczyzna w pewnej chwili pomyślał, że być może Basia go szuka, bo coś przytrafiło się Krystynie, ale gdyby nawet, to jej córka byłaby ostatnią osobą, która chciałaby jej pomóc.

Po oględzinach budynku gospodarczego, Basia wyszła z posesji i pełną ścieżką skierowała się w kierunku ciemnego lasu. Szła powoli i jeszcze kilkakrotnie oglądała się za siebie. Przystawała, po chwili oddalała się na kolejnych kilka metrów, by znowu przystanąć i spojrzeć na dom Zenona. Przyrodzenie Zenona zmniejszyło objętość, stracił ochotę i nie doczekał uniesienia. Czuł, jak po całym ciele niczym drobne jaszczurki pełzają pod jego skórą nerwy. Przed swoimi oczami cały czas widział Basię z drewnianą bejsbolową

pałką. Największą jego uwagę, i tego nie zapomni, przykuło jednak spojrzenie Basi. Było dzikie, wyuzdane i szalone. Niebezpiecznie świecące zadziorne iskierki, które czegoś chciały. Nie dowiedział się czego. Nie mógł odejść od okna, zrobił to dopiero wtedy, kiedy Basia zmieniła się w małą kropeczkę ginącą w ciemnozielonym borze. Poczł strach. Usiadł na krześle i, nie zakładając spodni, zaczął intensywnie myśleć. Kojarzył fakty, wspominał Jarka.

Sam nie wierzył, że to może być prawda, ale wszystko zaczęło mu się układać w solidną całość. Jarek wtedy w tym lesie, z dwunastoletnią Basią, i ta zaginiona turystka. Tak. Te czerwone kozaczki. Jarek trzymał jednego w dłoni i skłamał, że znalazł. Potem to pływające oko, Jarek je znalazł, ale to Zenonowi kazał zadzwonić do Krystyny, sam się bał. I wreszcie ten dywan, dokładnie pamiętał ten dywan. Jak mógł o tym zapomnieć. Dywan, w którym zawinięte były zwłoki Dominiki Patyczak, pochodził z Jarka piwnicy. Zenon nałożył spodnie, nie zapiął paska. Wyjął z szuflady największy i najostrzejszy nóż i wybiegł z domu, nie zamykając drzwi. Wskoczył do bordowego kadetta i ruszył z impetem. Nie chciał jechać drogą, którą oddaliła się córka prokurator. Chciał jak najszybciej dojechać do Gniezna, ale wybrał dłuższą drogę przez gęściejszy las. Lęk zadecydował. Dla swojego dobra postanowił nadrobić kilometrówkę. Będąc w samochodzie zorientował się, że nie wziął z domu telefonu komórkowego, już się po niego nie wrócił. Pędził okrężną drogą, spocone dłonie ślizgały mu się na kierownicy, a strach paraliżował jego mięśnie. Poczł ulgę, gdy znalazł się na asfáltówce.

Pół godziny później, był już pod budynkiem gnieźnieńskiej prokuratury. Wbiegł po schodach, wykrzykując:

– Gdzie Krystyna, gdzie jest Krystyna?

– Spokojnie. – Leon niosący kawę, szturchnięty przez rozwścieczonego Zenona, próbował go uspokoić. Na jego koszuli pojawiła się brązowa plama od kawy.

– Przepraszam, jeszcze raz przepraszam, ale gdzie Krystyna?

– Wybaczam. I tak miałem ją zdjąć i przebrać się w podkoszulek

– oznajmił Leon, który był szczęśliwy, że nie został poparzony zawartością kubka – Te jajka to ze złota? – dodał.

– Co? Jakie jajka? Gdzie Krystyna? To pilne, musicie na nią uważać.

– Uważamy, jest bezpieczna, nic jej nie grozi. Właśnie. – Leon się zamyślił, żeby sprzedać Zenonowi jakiś żart. – W tych jajkach jest cyjanek?

– Nie żartuj pan sobie.

– Ja żartować? Przed chwilą Krysia dostała od pana esemesa. *Przyjedź szybko, jajka czekają*, no więc pojechała do Anastazewa. Nie chciała, żeby pan czekał. Zresztą po tej całodobowej odsiadce chciała odreagować. I tak wybierała się w te rejony, żeby odpocząć. Tym razem obiecała, że pierwsze, co zrobi, to podjedzie do pana po jajka. Nie są chyba zatrute?

– Ona nie może tam jechać, ja nie pisałem jej żadnego esemesa. Słyszysz? Nie może tam jechać. Ja już wszystko wiem. Dzwoń do niej, to Basia, to Basia zamordowała Dominikę Patyczak, może i więcej tego było. To Basia z Jarkiem. To oni za wszystkim stali, ja już wszystko wiem. Już to wszystko zrozumiałem.

Leon patrzył na niego ze zdumieniem.

– Przecież widziałem na własne oczy esemesa od pana, sam go

nawet czytałem, bo Krysia drukowała protokół. Przed momentem pan napisał, że ma pan dla Krysi dwa mendle świeżych jaj i żeby się pospieszyła. Dokładnie przed kwadransem.

– Przed kwadransem byłem w Witkowie. A telefon zostawiłem w domu. To Basia. Basia u mnie była, ale jej nie wpuściłem, ponieważ grzała się na mnie razem ze swoim kijem bejsbolowym. Teraz pewnie buszuje w moim domu i zapewne to ona napisała do Krysi wiadomość. Chce wciągnąć Krystynę w pułapkę, może i zabić. Jedźcie za nią. Uratujcie moją Krysię. Musicie coś zrobić. Ta Basia to pewnie i tego Ryszarda zabiła. Ratujcie Krystynę!

Gdyby Leon nie był w temacie, pomyślałby, że szok wywołany znalezieniem w wąwozie zwłok Dominiki Patyczak, dopiero teraz dał o sobie znak. Jednak on był w temacie. Wyjął telefon i zadzwonił do Włodzimierza.

– Kurczę, niezła afera! Wierzysz w to? – podpytywał Leon Włodzimierza. – Obyśmy zdążyli.

– Kurwa, jak mogliśmy się nie domyśleć. Meer to Kamila.

Leon jechał bardzo szybko, włączył sygnał świetlny i dźwiękowy, pędził jak nigdy przedtem.

– Nie zdążymy! – rzucił nerwowo, i naprawdę w to wierzył.

– Meer to Kamila Stos. Nieślubna córka Ryszarda, pracownica Incognito, koleżanka Basi. Nie było jej na nagraniu monitoringu, bo miała urlop. Tak to sobie zaplanowała. A zdjęcia, kurczę... Ona z nami grała. Z rockandrollowej panienci potrafiła przeinaczyć się w słodką Barbie. Byłem u leśniczego, poprosiłem go o nagranie z leśnych kamer z tego dnia, kiedy widziałeś w lesie Basię i Meer.

W tym czasie w lesie była wycinka i wszystkie kamery działały, a nawet zawisło kilka nowych. Dziewczyny się znają. Od lat się przyjaźnią. Czaisz bazę?

– To niemożliwe, niemożliwe. Kamila Stos jest od Basi sporo starsza.

– Sporo? Jakieś trzy, cztery lata. Wcale nie tak sporo. Słuchaj, Kamili chodziło o Ryszarda, a Basi o Krysię, może spotkały się przypadkiem, może poznały się na czacie. Zorientowały się, jak wiele je łączy, pokombinowały z faktami. Tak to pewnie było. Jedź, jedź! – ponaglał nerwowo.

– Dzwon do Krysi.

– Dzwoniłem wiele razy, nie odbiera. Abonent jest poza zasięgiem.

– No to dupa.

Sadowska skręcała w leśną ścieżkę prowadzącą do Ostrowa Wielkiego. Gęsty las ograniczał jej widoczność, a cienkie gałązki uderzały w szyby. Postanowiła wyjąć telefon i zadzwonić do Joli. Chciała ją poinformować o tym, że została zwolniona z aresztu za kaucją i poinformować, że zjawi się u niej ze świeżą dostawą jajek.

Niestety w gęstym borze zgubiła zasięg. Nie musiała mieć tych jajek, ale obiecała Joli, no i Zenek cały czas się przypominał. *Tak to jest, jak się nie ma czasu na przyjaźń.* No i znowu to robiła, znowu się obwiniła. *Na nic nie miałam czasu, dla własnej rodziny, dla męża i córki. Jestem beznadziejna.* Bezradnie kiwała głową. Basia znowu przestała się do niej odzywać. Nie dzwoniła. Kolejny raz zaburzyła córce poczucie bezpieczeństwa, a szło im tak dobrze.

Droga leśna zdawała jej się jeszcze bardziej zarośnięta i niewidoczna niż przed paroma dniami. W dodatku ciągnęła się, jakby zakręt do Zenona zarósł gęstymi gałęziami, a Krystyna przez nieuwagę go przejechała. Już chciała zawrócić, jednak w ostatnim momencie zauważyła wyłaniający się zza gęstych gałęzi biały domek Zenona. Ponarzekła na siebie i na swoje roztargnienie, a przy okazji na tutejszego leśniczego. Starła się nie zdejmować nogi z gazu. Na szczęście suzuki samuraj, który w spadku zostawił jej Jarek, był na tego typu drogach niezawodny. Wszedł w ostry, wąski zakręt, jak nóż w świeże masło. Była coraz bliżej białej chatki pokrytej wyblakłym eternitem. Z komina wydobywał się dym. Zdziwiło ją to, bo przecież był środek lata. Pomyślała, że Zenon albo pali w piecu na ciepłą wodę, albo wypala śmieci.

Postawiła samochód przy dwóch starych topolach. Wysiadła z Samuraja i, nie zamykając drzwi na kluczyk, pobiegła do bielonego wapnem domku. Brama była otwarta. Na podwórku beztrąsko biegały kury. Kogut przy płocie stał jak stróż. Wiadro z wodą na studni, zaczepione grubym łańcuchem, czekało na spragnionego gościa, ewentualnie na spragnione suszą roślinki. Tylko przez moment to analizowała. Uśmiechnęła się.

– Zenon, jestem – krzyknęła Krystyna. Podwórko świeciło pustką. Dotknęła klamki. Ku jej zdziwieniu drzwi wejściowe były otwarte. – Zenon? – Poczowała silne uderzenie w doły podkolanowe. Upadła.

– Co to znaczy? Zenon!

– To ja, mamusiu. – Basia stanęła nad nią z kijem bejsbolowym. Wyraźnie triumfowała. – I co, zdziwiona?

– Basiu, to bolało, dlaczego? Co ty tutaj robisz? Gdzie jest

Zenon?

Krystyna nie mogła się podnieść, nie mogła stanąć na nogi. Bolało ją, ale adrenalina nie pozwoliła jej o tym myśleć. Zupełnie nie rozumiała zaistniałej sytuacji. Wystraszona usiadła na betonowej posadzce. Nagle wszystko zaczęło się jej układać w jedną, solidną całość. Wymowne spojrzenie Basi, jej szyderczy uśmiech, ciężkie obuwie, to wszystko tłumaczyło.

– To ty? Tak?! To ty zrobiłaś krzywdę Ryszardowi, to były twoje ślady. – Popatrzyła na ciężkie buty córki. Basia wyjęła z kieszeni czarnych spodni sznurek i, nic nie mówiąc, związała matce ręce. Krystyna nie krzyczała. Przygotowała się na najgorsze. Modliła się o to, żeby nagle w drzwiach pojawił się Zenon.

– Co mu zrobiłaś? Co zrobiłaś Zenonowi?

– Dopiero mu zrobię, jak się tu pojawi. Nie wiem, czy tego doczekasz. Już dawno chciałam to zrobić, chcieliśmy z ojcem, ale on z dnia na dzień coraz gorzej się czuł. Remont domku i kredyty go wykończyły. Czekałam do momentu, kiedy będę pełnoletnia. Wyjadę stąd, wiesz. Tylko bez nerwów. – Basia uspokajała szarpiącą się Krystynę. – Przyjdę na twój pogrzeb, tak wszystko zaaranżuje, że będzie na Zenona. Napalony, stary emeryt, nie wytrzymał i zgwałcił Krysię. Zmuszę go, żeby to zrobił. Zaraz dołączy do mnie Meer.

– Meer to Kamila, tak?

– Tak, widzę, że pracujesz. To dobrze, ale kiepsko, skoro tak późno odkryłaś prawdę.

– Puszczaj mnie, smarkulo.

– Nigdy. Zgnijesz tu, spałuję ciebie, jajcarza też. A gdybyś nie wiedziała, bo zapewne nie wiesz, to wierz mi, nienawidzę jajeczniczy.

– Basiu, przegrasz życie, powstrzymaj się! Dlaczego ty?

– Bo cię nienawidzę. – Krysia z całych sił zaczęła krzyczeć, wrywać się z uwięzi. Próbowwała stanąć na nogi i kopnąć córkę. Nie dała rady. – Nikt ci nie pomoże. – Raz jeszcze uderzyła matkę, tym razem w kolano. Sprawdziła czy sznur jest dobrze związany, następnie związała jej nogi i zakneblowała usta. – Teraz ty posłuchasz, co ja mam ci do powiedzenia. Będziesz słuchać, czy chcesz zarobić pałką przez łeb?

Krystyna kiwała głową na znak, że się zgadza. Siedziała na zimnej, betonowej posadzce w sieni u Zenona. Tak nazywał to pomieszczenie. Miała okazję się przyjrzeć seledynowej farbie zdobionej brązowymi kwiatami, które namalowano specjalnym wałkiem. Lep na muchy, po brzegi wypełniony owadami, dyndał jej nad samą głową. Był stanowczo za długi, a sądząc po ilości much, musiał wisieć tutaj co najmniej od maja.

– Tatuś celowo kupił dom w tym miejscu, to dla mnie. Wiesz, wiedział, a nawet kazał mi zrobić z tobą porządek. – Basia ukucnęła naprzeciwko matki, była blisko niej, tak blisko jak nigdy wcześniej. – Pamiętasz moje dwunaste urodziny? Pamiętasz. – Basia pałką głaskała jej kasztanowe loki. – Wtedy wszystko zepsułaś, weszłaś jak zawsze spóźniona i wszystko zepsułaś. Ja to pamiętam. Wtedy nie po raz pierwszy trzymałam w swojej ręce nóż. Wiesz, poczułam coś dziwnego i tylko ojciec to rozumiał. On jedyny wiedział. Wszystko potrafił wyczytać z mojego spojrzenia. Od tamtego momentu wszystko się zaczęło. Pracowałam, ale tak naprawdę wolałam myśleć o nim... Słodki Ryszard. Twój guru, gdyby nie Gadu-Gadu, nigdy nie poznałabym Kamili. To był prawdziwy przypadek.

Kamila wychowywała się w domu dziecka, potem trafiła do rodziny zastępczej we Wrześni. Byli dla niej okrutni, dlatego musiała ich unicestwić. Rozumiesz. Jej matka zmarła, kiedy Kamila miała roczek, a Ryszard dla dobra rodziny nie chciał uznać córki. Był zasranym egoistą, myślał tylko o sobie, jebany seksoholik. Bzykał inne i zapewne od tego momentu, kiedy zapłodnił matkę Kamili, zaczął się zabezpieczać.

Krystyna kiwała głową, materiał, którym miała zakneblowane usta, zrobił się cały mokry od jej łez i cieknącej z nerwów śliny.

– Wiesz, jaką miałam frajdę, jak ty leżałaś obok, a Kamila zadusiła go poduszką? Celowo włożyła mu guzik do ust, żeby ciebie zamknęli, chciałam w tym czasie zrobić porządek z Zenonem. On coś podejrzewał. Śledził mnie w lesie, stary debil. – Basia roześmiała się w głos. – Chodził w kombinezonie i kominiarce, tylko te jego niebieskie oczyska było widać. Od razu wiedziałam, że to on. – A pamiętasz tę rękę, którą znalazł turysta będący na grzybach? To też sprawka moja i taty. Tak się z tobą bawiliśmy, nawet twoja Jolcia poddała się bez walki. Nie ma ciała, nie ma zbrodni. Tylko tydzień. – Basia popatrzyła w sufit, by znowu spojrzeć na matkę. – Zaledwie tydzień – poprawiła się. – Ty, Jola i wasi ludzie szukaliście ciała. Znowu wkradło się lenistwo, znowu wam się nie chciało. Tłumaczyłaś się tym, że to nie twój rewir. Ludzie z Gniezna ginęli, a ty zwałałaś robotę na psiapsiółkę, leniwa dupo. Szczerze to myślę, że Jola też ma cię dosyć. Jesteś męcząca. Toksyčna!

Krystyna tak się właśnie czuła, czuła, że na to wszystko zasłużyła. Czekwała na koniec, na ostateczne uderzenie pałką.

– Tak bardzo staraliśmy się z tatą. Tak bardzo chcieliśmy dać ci

jakąś wskazówkę. Sprawdzić, jak pracujesz, ale ty się spalałaś na tym, żeby wymarzyć swojego Ryszarda i masz ci los, wymarzyłaś go. Tak mamusiu, to tu, w tym lesie, mordowaliśmy ludzi, a tobie podrzucaliśmy ich siłą wyrwane części ciała, ale ty byłaś i jesteś głupia. A za moment już cię nie będzie. To są twoje ostatnie minuty życia. Naciesz się nimi. Za kilka miesięcy mam osiemnastkę. Spadam stąd. Jestem ciekawa, czy ten gruby łysy glina albo ten podstarzały gej bez fiuta rozgryzie tę zagadkę. Zginęła prokurator Krystyna Sadowska, została brutalnie zgwałcona przez swojego sąsiada. Ten zaś popełnił samobójstwo. Co ty na to? Kamila mi pomoże. Może ukryjemy wasze zwłoki i podrzucimy im wasze palce albo nosy. Jeszcze to przemyślę. – Basia wstała i zaczęła masować pałką ucho Krysi, uderzyła ją, nie za mocno, ale Krysię bolało. Wyobrażała sobie najgorsze. – Tata był super, kochał cię, wiesz? Tylko ty nie byłaś go warta. Niczego nie jesteś warta. Miałaś nas w dupie, robiliśmy wszystko, żebyś nas zauważyła. Zawsze wolałaś być bliżej niebezpiecznych ludzi. Mam Meer. Jest bystra. Przesłuchaliście ją i nic, zero. Jechała z wami jak z dziećmi. Łykaliście jej kłamstwa jak świeże bułeczki. Depresja, próby samobójcze, Leon chciał załatwić jej leczenie w szpitalu psychiatrycznym, debil, niech sam się leczy. Na niego też przyjdzie kolej. Wrócę tu i porachuję mu kości. Zastanawiasz się pewnie, skąd wiem o Ryszardzie? Wiedziałam, od dawna wiedziałam, mogłaś skrzętniej schować to twoje zasrane pudełeczko z zasranymi pamiątkami.

Krystyna nie mogła nic powiedzieć, nie mogła wytłumaczyć się córce, ponieważ miała zakneblowane usta. Mogła tylko płakać. Jej

łyzy rozcierała na całej twarzy pałka Basi. Córka pozostawała nieczuła na jej łkanie. Widać było, że się dobrze bawi.

– Jak widzisz, to my z ojcem za wszystkim staliśmy, tylko Domi musiała się zająć sama Meer. Nie mogłam pozbawić jej tej frajdy. Tata pokochał Meer. Byliśmy jego kochanymi córeczkami.

Krystyna zacisnęła oczy. Łzy ciekły jej jak z pękniętej rury. Basia uderzyła ją w ramię, dość mocno. Krystyna zawyła. Poprawiła w drugie ramię.

– To tak dla równowagi. Za chwilę rozwalę ci łeb. *Szatan reprezentuje odpowiedzialność wobec odpowiedzialnego, a nie troskę o psychiczne wampiry.* Cytat z La Vey'a, Co ty możesz o mnie wiedzieć? Wydawałaś kupę kasy na kosmetyki i nic ci to nie pomogło. Nic, a nic!

Za plecami Basi, Krystyna ujrzała mężczyznę w kominiarce, jego niebieskie oczy przykuły jej uwagę. To te lazururowe oczy, które od ostatniego tygodnia, a może od dawna, jej towarzyszyły. Poczowała cienką nić nadziei. Mężczyzna w ręku trzymał broń. Odwróciła wzrok, żeby na niego nie patrzeć, musiała to zrobić, żeby Basia się nie zorientowała. Córka zamachnęła się kijem, żeby oddać silny i zapewne skuteczny cios. Krystyna schyliła głowę, zamknęła oczy.

Usłyszała szarpaninę. Poczowała się bezpiecznie. Usłyszała krzyk Basi.

– Co to jest? Zostawcie mnie. – Basia próbowała się wyrwać. Nagle, nie wiadomo skąd, do Krystyny podbiegł Leon, rozwiązał jej ręce i zdjął opaskę z ust.

– Już dobrze. Już dobrze.

– Zapłacicie mi za to. Za wszystko mi zapłacicie – krzyczała

córka prokurator.

– Posiedzisz dłużej, tak długo, że zmądrzejesz. Może i do końca życia. Wyślę ci paczkę! – krzyczał Leon, patrząc jak niebieskooki nieznajomy wyprowadza Basię.

Dziewczyna zaobrączkowana kajdankami na rękach i nogach nie miała mocy, żeby się wyrwać. Leon nie mogąc się powstrzymać, wstał, uwalniając z uścisków Krystynę, chwycił kij bejsbolowy i przywalił Basi w pośladek.

– Już dawno powinnaś być lana. Krystyna była dla ciebie stanowczo za dobra. Gdybyś była...

Nie dokończył.

– Wystawiłam dom na sprzedaż. Nie chcę już tutaj przyjeżdżać, czas zamknąć ten rozdział.

– Krysiu, kieruj się głosem serca i rozumu zarazem. Pamiętaj, wszystko, co najlepsze, cały czas jest przed tobą.

Krystyna kroїła pomidorki, które dostała od pana Zenona. Wyjęła z lodówki ser feta i nie przestawała rozmawiać z Leonem.

– Wiesz co? Ten Zenon to silny facet, ostatnio tyle przeżył, zwłoki w dywanie, sytuacja z Basią, a jakoś się trzyma.

– Uważaj jeśli zachoruje na psychozę reaktywną i teraz on będzie zabijał.

– Co ty bredzisz, Leon? – powiedziała karcąco Krystyna, ale jednocześnie się zaśmiała.

– Tak tylko cię przestrzegam. Dobrze, że sprzedajesz ten domek.

– Ja też się cieszę. Jola to... – Krystyna chciała powiedzieć „szuja”, ale się powstrzymała. Nie mogła wybaczyć koleżance, że od

dawna słupecka policja pracowała nad tą zgadywanką. Podejrzewali Basię i Jarka, brakowało im tylko żelaznych dowodów. – Mogła mi powiedzieć. Czego się bała? Że jestem w to wplątana? Że ja też razem z nimi morduję tych ludzi?

– Myślę, że przyczyna była inna – odpowiedział Krajewski. – Chciała oszczędzić ci nerwów. Gdyby jedna z zamordowanych kobiet nie pochodziła ze Słupcy, nie wiadomo, jakby się to skończyło. Od dawna węszyli spisek, mieli swoje podejrzenia, ale sama wiesz, to tylko podejrzenia.

– A ten „Klawitter”... Zaskoczył nas, co? Wszystko wiedział, z niczym się nie zdradził. Śledził mnie, a ja myślałam, że mu się podobam.

– Wszystkich nas śledził. Trzymał nas na dystans, dla dobra śledztwa.

Do kuchni wszedł Roman Budniak, pseudonim „Klawitter”.

– Co tam? Jak samopoczucie?

– Dziękuję, dobrze. I dziękuję za wszystko.

– Nie ma problemu. Krysiu, pięknie wyglądasz.

– Dziękuję.

– Zbyt pięknie.

– Dziękuję – powtórzyła kolejny raz i zarumieniła się.

– Jak by co, to jestem do wzięcia. – Spojrzał na nią bardzo poważnie. – Jestem szybki pod każdym względem, sorry za szczerość.

– Niemoralne propozycje, spadam. – Leon wyszedł na zewnątrz.

– Wy sobie pogruchajcie.

– Przykro mi, ale nie...

– Jestem też cierpliwy. Poczekam.

Uśmiechnęła się.

Sadowska kurczowo trzymała się metalowych prętów. Od nieszczęśliwego wydarzenia minął tydzień, a ją cały czas bolały ramiona i nogi, na szczęście głowa była cała. Ścisnęła pręty z całej siły, tak jak cytrynę. Basia siedziała na drewnianej ławeczce i nawet teraz nie próbowała zaszczycić matki ani jednym spojrzeniem. Krystyna z kolei nie mogła wydusić z siebie głosu. Czuła złość, żal. Sama nie wiedziała co. Czuła, jakby stała nad grobem córki. Miała nadzieję, że sąd będzie dla niej łaskawy. Basia w areszcie. Krystyna nie sądziła, że kiedykolwiek będzie świadkiem tak dramatycznej sytuacji. Miała ochotę wziąć winę na siebie.

Zamknęła oczy. Przypomniła sobie małą Basię, jak zataczała kółeczka w drewnianym łożeczku. Wtedy jeszcze z naiwnością dziecka wyciągała rączki do Krystyny. Ale ona nie miała czasu na czułości, starała się tego nie widzieć. Nie chciała rozbudzać macierzyńskiego instynktu. Została asesorem i tam musiała się spełnić. Jarek brał córkę na rękę, robił helikopter i przeróżne wygibasy. Krystyna potrafiła powiedzieć tylko, żeby uważał na lampy, brała torebkę i wychodziła. Tak to pamiętała.

Otworzyła oczy, drewniane pręty łożeczka zamieniły się w metalowe pręty celi. Teraz choćby chciała, nie mogła wziąć córki na rękę.

Za późno, na wszystko jest już za późno!

Spis treści

Rok 2007 5

Pięć lat później 26

Pięć lat później 37

Pięć lat wcześniej. Dominika Patyczak 122

Dominika Patyczak. Tuż przed tragedią 162

Miesiąc później 165

Spis treści

[Rok 2007](#)

[Pięć lat później](#)

[Pięć lat później](#)

[Pięć lat wcześniej. Dominika Patyczak](#)

[Dominika Patyczak. Tuż przed tragedią](#)

[Miesiąc później](#)